

LYNN MICHAELS

I PORUSZYŁA SIĘ ZIEMIA...



PROLOG

Zostało niewiele czasu. Powinni być tu lada chwila. Kiedy wczoraj odłożył słuchawkę po rozmowie ze Smithem, człowiekiem, od którego przez ostatnie pięć lat brał pieniądze, choć go nigdy w życiu nie widział - zrozumiał, że tym razem przyjdą na pewno.

Najpierw zwolnił personel. Wystawił wszystkim wysokie czeki, oczywiście na rachunek Smitha, a potem sprzedał im historyjkę, że zamyka laboratorium i wyjeżdża w teren, testować TAQ - najnowszą aparaturę. Uwierzyli mu bez zastrzeżeń. Doktor Addison Wexler, laureat Nagrody Nobla, nigdy nie kłamał. Ostatni pracownik wyjechał do Barstow, najbliższego cywilizowanego miejsca, niespełna trzy godziny temu.

Potem włączył system alarmowy - niezwykle czułe urządzenie, które natychmiast go powiadomi, jeśli ktoś pojawi się w promieniu dziesięciu kilometrów. Na razie syrena milczała, ale Wexler już czuł spływający po czole zimny pot. Przygotował specjalną dyskietkę. Kiedy odezwie się alarm, będzie miał jeszcze dwie minuty. To zupełnie wystarczy, żeby wprowadzić wirus do komputera i zredukować jego pamięć do pseudonaukowego bełkotu.

Zawartość twardego dysku zdążył zniszczyć już wcześniej, a Smithowi wysłał raport, który zawierał olbrzymią ilość obliczeń wystarczająco pogmatwanych, żeby zapędzić w kozi róg każdego, kogo sobie Smith upatrzy na jego następcę. Naukowcy nie powinni do końca zdradzać swoich tajemnic. Nikomu. Nawet rodzonej matce. Sheridan zlekceważył tę zasadę, no i proszę, jak skończył...

No ale Sheridan był głupcem. Podobnie zresztą jak on. Bo on też był głupcem, do tego chciwym i aroganckim.

Wexler siedział w głównym laboratorium i czekał.

Za otaczającymi go ścianami z grubego przyciemnionego szkła rozciągały się po horyzont piaski pustyni Mojave. Anne kochała pustynię. Dlatego właśnie tu wybudował swoje laboratorium. Na szczęście Anne już nie żyła, a Rockie kręciła film w Hiszpanii. Na szczęście, bo żadna z nich nie zostawiłaby go samego w takiej chwili.

Mógł jeszcze opuścić stalowe ekrany, zainstalowane zresztą na życzenie Smitha, albo zejść do schronu... Tylko po co? Niech już lepiej przyjdą i niech to wszystko nareszcie się skończy.

Wziął ze stołu ciężki, okrągło zakończony młotek.

Obok leżała półautomatyczna dziewiątka z jedną kulą w środku i dwa prototypy T AQ, urządzenia wczesnego ostrzegania, służącego do wykrywania drgań sejsmicznych. Pięć lat pracy. Dzieło ich życia - jego i Sheridana. Miałoby teraz wpaść w ręce Smitha?

Uniósł młotek i wtedy usłyszał telefon. To była jego własna, prywatna linia. Zamarł,

wpatrzony w migoczące światelko. Tylko dwie osoby znały ten numer. Pierwszej wolałby nigdy w życiu nie spotkać. A druga? Oddałby pięć ostatnich lat, żeby ją jeszcze raz zobaczyć. Odłożył młotek i podniósł słuchawkę.

- *Buenos dias*, tato - odezwała się jego córka.

- Właśnie wróciłam.

- Rockie! - Przed oczyma stanęła mu jej twarzyczka o zielonych oczach Anne, otoczona masą splątanych, ciemnych włosów. - Chyba za wcześnie wróciłaś.

- Nie chciałam się rozebrać, więc mnie wylali.

- Podobno miało nie być nagich scen w tym filmie.

- Ale to nie było na planie, tylko w przyczepie reżysera. - N a moment zamilkła i zaciągnęła się papierosem. - Więc pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli wrócę do domu i dam sobie spokój z karierą filmową. Może bym się załapała u ciebie w laboratorium? Mówię serio. Jeżeli jeszcze mnie chcesz, tato.

W jej głosie zabrzmiały tłumione łzy. Wexler poczuł ucisk w gardle. Nim wdał się w całą tę aferę ze Smithem i z TAQ marzył o tym, że któregoś dnia Rockie zajmie miejsce Anne.

- Głowa do góry, Rockie - powiedział, wpatrzony w rewolwer. - Wexlerowie nigdy się nie poddają.

- Nie tym razem. Chcę wrócić do domu i zrobić doktorat z chemii. Zawsze mówiłeś, że może mi się to kiedyś przydać. - Znowu zaciągnęła się papierosem. - Chyba że już mnie nie chcesz albo się boisz, że mnie to znudzi i ucieknę do Nowego Jorku, a ciebie zostawię na lodzie.

- : Zawsze chciałem, żebyś tu ze mną była, córeczko. Dobrze o tym wiesz. Tylko że...

Dźwięk syreny sprawił, że mimowolnie odwrócił się i spojrział na ekran. Trzy światelka nieubłaganie zbliżały się od północnego zachodu.

- Tato? - Głos Rockie zabrzmiał nadspodziewanie ostro. - Dlaczego alarm się włączył?

- To tylko burza piaskowa, kochanie. - Wexler wyciągnął rękę i przekręcił gałkę, żeby ściszyć sygnał. - Burza piaskowa? O tej porze roku? O co chodzi, tato? Co się tam dzieje?

- Wyjaśnię ci to innym razem. Teraz nie mam czasu. - Przytrzymując brodą słuchawkę, Wexler uruchomił komputer i wsunął dyskietkę do szczeliny. - Zostawiłem ci wiadomość na sekretarce. I numer, pod który masz zadzwonić, jak tylko się rozłączymy. Zrozumiałaś?

- Przerażasz mnie, tato. Zaraz wyjeżdżam. Dżip jest już załadowany. Będę u ciebie za...

- Ale mnie już tu nie będzie. Muszę na jakiś. czas wyjechać.

„Na jakiś czas”. Niezłe określenie na wieczność.

Palce Wexlera przesunęły się po klawiaturze. Już niemal słyszał monotony warkot helikopterów i widział tumany piasku, wzbijane przez maszyny, lądujące po tej stronie

zasieków.

- Chodzi o TAQ, prawda? I o tego wstrętnego typu Smitha? Przecież mi obiecałeś...

- Kocham cię, Rockie. żegnaj.

Odłożył słuchawkę i tracąc bezcenne sekundy, upewnił się, że połączenie zostało przerwane. Potem sięgnął po młotek, ale trzonek wyslizgnął mu się z rąk. Kiedy schylił się, żeby go podnieść, usłyszał metaliczny szczęk odbezpieczanej broni. Zaskoczony, zamarł w pół gestu.

Powoli się wyprostował. W drzwiach stał największy człowiek, jakiego kiedykolwiek widział. Mierzył do niego z pistoletu maszynowego uzi, który w jego potężnych łapskach wyglądał jak zabawka.

- Smith? - Wexler zwilżył językiem spierzchnięte wargi.

- Nie, doktorze Wexler. - Intruz uśmiechnął się i miłym głosem dodał: - Przyjaciele nazywają mnie Conan.

ROZDZIAŁ 1

Nic nie było w stanie oderwać Nevina Maxwella od jego zadań. Nawet potężny kac, który mógł co najwyżej opóźnić moment wyjścia do pracy. Dziś wybiegł z domu o jedenastej trzydzieści, ale zazwyczaj zjawiał się w biurze najpóźniej o dziesiątej.

Pędził autostradą na Manhattan z uczuciem, że głowa mu pęka. Najmniejsza nierówność jezdni powodowała ból, jakby ktoś bił go pięścią w czaszkę. Nigdy więcej nie będzie siedział w barze „U Elaine” aż do świtu. Zwłaszcza we wtorek. Choćby rudowłosa piękność miała wyjątkowo ognisty temperament, a blondynka niewiarygodnie długie nogi.

Wyjął pocztę ze swojej skrzynki na parkingu i wsiadł do windy. W drodze na czwarte piętro nie przeglądał listów - robił to dopiero za biurkiem - oparł się tylko o ścianę kabiny i zaczął sobie masować umięśniony żołądek. Robił te ćwiczenia dwa razy dziennie, ale tym razem sprawiały mu rozdzierający ból. No, ale w końcu obie dziewczyny były warte chwilowej niedyspozycji. Zwłaszcza ta blondynka.

Biuro Maxwella składało się z dwóch pokoi. W poczekalni stało biurko, którego nikt nigdy nie używał, a szatki na kartoteki służyły wyłącznie jako dekoracja. Maxwell włączył ekspres do kawy, połknął cztery proszki przeciwbólowe i rozsunął zasłony, żeby wpuścić trochę przyćmionego smogiem słońca. Kiedy kawa się zaparzyła, zasiadł przy biurku, żeby przejrzeć pocztę.

Kiedy rozzwoniła się „gorąca” linia, rzucił w słuchawkę krótko:

- Maxwell.

- Kevin Maxwell? Z „Maxwell i Spółka Prywatni Detektywi”? - odezwał się spokojny, choć lekko drżący głos, należący bez wątpienia do młodej kobiety.

- Nevin Maxwell - odpowiedział. - Z „Maxwell i Spółka, Prywatni Konsultanci”.

- Mówi Rockie Wexler. Czy pan zna mojego ojca? Fotograficzna pamięć Maxwella nigdy dotąd go nie zawiodła, choć chętnie zapominałby wiele twarzy i nazwisk. Natomiast Wexler to nazwisko, którego wolałby nigdy nie usłyszeć;

- Tak, znam doktora Addisona Wexlera.

- Kazał mi zadzwonić do pana. Wie pan może dlaczego?

- Gdzie pani teraz jest, panno Wexler?

- W Los Angeles.

- A pani ojciec?

- Miałam nadzieję, że pan mi to powie.

Skronie Maxwella znów zaczęły pulsować bólem. Po cholernie długiej nocy trochę za

wcześniej na takie rozmowy. - Nie widziałem pani ojca ani z nim nie rozmawiałem od ośmiu lat. Żegnam, panno Wexler.

Rzucił słuchawkę. Telefon odezwał się po czterdziestu pięciu sekundach. Pozwolił mu zadzwonić siedem razy, nim w końcu odebrał.

- Słuchaj no, ty gnoju. - Tym razem głos kobiety trząsał się ze złości. - Dwadzieścia minut temu telefonowałam do ojca. W połowie naszej rozmowy w laboratorium rozdzwonił się alarm. Ojciec powiedział, że nie ma czasu i że mam skontaktować się z numerem, który mi zostawił na automatycznej sekretarce. To był pański numer. Potem ojciec się wyłączył. Zadzwoiłam jeszcze raz, ale nikt nie odpowiadał. Próbowałam połączyć się przez centralę, ale telefonistka poinformowała mnie, że linia została uszkodzona. Wobec tego zrobiłam to, o co mnie prosił - zadzwoniłam do pana. Teraz muszę jak najprędzej dostać się do Barstow.

- Panno Wexler.

Trzask rzuconej słuchawki przyprawił Maxwella o dreszcz cierpienia. Rozłączył się, a potem wystukał numer w Springfield. Odebrała automatyczna sekretarka; „Biuro doktora Leslie Sheridana. Przyjmuję od poniedziałku do piątku, w godzinach od jedenastej do dwunastej i od trzeciej do piątej. Wydział Nauk o Ziemi, drugie piętro”.

- Tu Maxwell - powiedział i odłożył słuchawkę. Kiedy nalewał sobie kolejną kawę, odezwała się linia numer dwa, zarezerwowana tylko dla jego współpracowników. Odebrał po trzecim sygnale.

- = - Dzień dobry, Sherry - rzucił do słuchawki.

- Cokolwiek to jest, Max, nie mogę. - Głos doktora Sheridana brzmiał bardzo stanowczo. - Jest sesja.

- A od czego masz asystentów? Przed chwilą dzwoniła córka Wexlera. Wygląda na to, że jej stary w końcu orznął niewłaściwego faceta: - Maxwell powtórzył rozmowę z Rockie.

- W co się wdał tym razem? Ropa naftowa?

- Tak ostatnio słyszałem. Mógłbyś być w Barstow o trzeciej?

- Jeszcze jestem przy zdrowych zmysłach, Max.

- Myślałem, że chcesz tej roboty.

- Źle myślałeś. Mówiłem ci, że mamy egzaminy.

Sheridan wyłączył się. Maxwell odłożył słuchawkę i powoli dopił kawę. Poczul, że jego rozdygotane, serce zaczyna się wreszcie uspokajać.

Skoro Sheridan nie mógł albo nie chciał być w Barstow o trzeciej, to przecież on może zdążyć tam na czwartą.

ROZDZIAŁ 2

O dwunastej trzydzieści Rockie Wexler dotarła do Barstow. Zatankowała czerwonego dżipa i napełniła benzyną dodatkowy kanister. Potem kupiła pięć butelek wody destylowanej, dwie - paczki papierosów i gumę do żucia.

Zdawała sobie sprawę, że nie będzie mogła palić w dżipie. Na tylnym siedzeniu spoczywało pięć dwudziestolitrowych kanistrów, wypełnionych po brzegi paliwem. Uzupełniła też poziom oleju, choć bardzo jej się spieszyło. Gdyby utknęła gdzieś w pół drogi na pustyni na pewno nie pomogłoby to ojcu. Zresztą, czy w ogóle uda jej się tam dotrzeć na czas?

System alarmowy laboratorium musiał zostać włączony przez jakiś większy obiekt, poruszający się z dużą prędkością. To nie mogła być burza piaskowa ani pustynny królik, który zaplątał się w zasieki. Alarm został zaprogramowany tak, by wyeliminować tego rodzaju przypadki. Szkoda, że również ojca nie zaprogramowano, by wreszcie zaczął ją traktować jak osobę dorosłą.

Od siedmiu lat żyła na własny rachunek i radziła sobie w każdej sytuacji. Zatankowana benzyna, sprawdzone opony łącznie z zapasową - i pełny ekwipunek. Śpiwór i koce, plecak z ubraniami na zmianę, apteczka, zapas żywności, peleryna, pionierki, kapelusz, lornetka, dwuosobowy namiot w kolorze ochronnym i radio z krótkofalówką. Jej dewiza brzmiała: „Zawsze gotowa”..

Nie na darmo Rockie Wexler od dwudziestu sześciu lat była córką Addisona Wexlera, a przez ostatnich dziesięć lat harcerką.

Sprawdziła jeszcze grubą stalową sprężynę, wciśniętą za fotel. Kaskader, który dorabiał sobie jako instruktor samoobrony, nauczył ją posługiwać się ekspanderem nie tylko w celu wyrobienia sobie krągłych bicepsów.

Wreszcie zasiadła za kierownicą, zapięła pas, nałożyła słoneczne okulary, wsunęła do ust miętową gumę bez cukru i zostawiając za sobą Barstow, wjechała na pustynię Mojave. Od laboratorium ojca dzieliło ją jeszcze około trzystu kilometrów.

Nastawiła CB na kanał 19 i włączyła detektor, który dostała od ojca na Boże Narodzenie. Wyregulowane na maksymalny zasięg urządzenie było w stanie wylapać wszystko, co poruszało się w promieniu pięciu kilometrów.

Ten nietypowy prezent nasunął jej przypuszczenie, że ojciec już wówczas mógł mieć jakieś kłopoty. Nie po raz pierwszy zresztą tak myślała i nie po raz pierwszy Wexler znalazł się w tarapatkach. Niektórzy wręcz twierdzili, że sam się o nie prosił. Rockie przez wiele lat sądziła, że mu zazdroszą. Ale automatyczna trzydziestka dwójka w samochodowym schowku - urodzinowy prezent od ojca - i dwa prototypy TAQ, które pokazał jej przed wyjazdem do

Hiszpanii, sprawiły, że zmieniła zdanie.

- Pomyśl tylko – powiedział jej wtedy, a jego błękitne oczy płonęły z podniecenia - już nigdy żadne miasto nie rozsypie się w gruzy. Unikniemy miliardowych strat i ocalimy tysiące istnień ludzkich.

- Może być też odwrotnie - zauważyła, dotykając czerwonej gałki na tablicy kontrolnej - wystarczy lekko tym pokręcić i masz miliardowe straty i tysiące ofiar.

- Nic nie rozumiesz - upierał się. - Jesteś chemikiem, a nie geologiem.

- Jestem aktorką, ale znam podstawy fizyki. Wiem też, że rząd skonfiskował tego typu urządzenia do wykrywania drgań sejsmicznych ładnych parę lat temu. Uznano je za niebezpieczne i zawodne. Prawdopodobnie zasufladkowano je razem z latającymi spodkami i zielonymi ludkami. Jak ty się w to wplątałaś?

- Nie martw się o nasz rząd - rzekł, nie odpowiadając na jej pytanie. - Działam na zlecenie prywatnej fundacji.

Prywatna fundacja przybyła we własnej osobie jakieś dwadzieścia minut później, gigantyczną limuzyną o przyciemnianych, prawdopodobnie kuloodpornych szybach. Z okna na piętrze Rockie widziała, jak z samochodu wysiada jasnowłosa mężczyzna, w świetnie skrojonym garniturze.

- Czy to pan Smith, twój dobroczyńca? - spytała.

- Nie, to jego wspólnik, Greer Hanlon - odburknął ojciec. - Nigdy nie widziałem Smitha. Zaczekaj tu, Rockie.

Wyszedł z laboratorium na spotkanie Hanlona. Nie podali sobie rąk. Dopiero kiedy ojciec wyjął dyskietkę z kieszeni kitla, Hanlon uśmiechnął się, wziął ją i wręczył doktorowi Wexlerowi cienką białą kopertę.

Szofer Hanlona przyglądał się w milczeniu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Wyglądał jak sobowtór Arnolda Schwarzeneggera. Kiedy zatrzasnął za Hanlonem drzwi limuzyny, spojrzął w górę, w okna laboratorium. I choć dzieliła ich ściana z przyciemnianego szkła, grubości trzydziestu centymetrów, Rockie cofnęła się. Była pewna, że ją zobaczył.

- Zauważyłaś tę wypukłość pod lewą pachą szofera? - spytała ojca, kiedy limuzyna już odjechała.

Ojciec sprawdzał właśnie zawartość koperty.

- Jaką wypukłość? - zapytał niezbyt przytomnie, zajęty liczeniem zer.

- Automat pod marynarką.

- Ach, to... - Lekceważąco wzruszył ramionami.

- Nie wydaje ci się dziwne, że tajemniczy pan

Smith, któremu tak leży na sercu dobro ludzkości, zatrudnia takich zbirów?

- Oj Rockie, Rockie... - Ojciec potrząsnął głową.

- To nie Hollywood, to samo życie.

- Właśnie to mnie niepokoi.

To nadal nie dawało jej spokoju. Tak dalece, że kiedy na horyzoncie pojawiły się wzgórza otaczające laboratorium, musiała raz po raz wycierać dłonie, mokre od potu.

Kiedy drogomierz dzipa wskazał, że od zasieków dzieli ją tylko pięć kilometrów, przestawiła radarowy wykrywacz - wynalazek ojca - z szerokiego zasięgu na statyczny. Ekranik wielkości kieszonkowej gry komputerowej rozblysnął teraz jak Los Angeles nocą. W miejscu, gdzie znajdowało się laboratorium, jasnym, blaskiem świeciły trzy punkciki.

Rockie otworzyła skrytkę w desce rozdzielczej, wyjęła pistolet, położyła go na kolanach i kolejny raz wytarła spocone dłonie. Nie miała wcale pewności, czy uda jej się kogokolwiek nim przestraszyć, ale na pewno będzie próbować.

Z dwupasmowej autostrady odchodziła wąska, asfaltowa droga, prowadząca do laboratorium. Zjazd nie był oznakowany, a do tego zasypyany piaskiem. Rockie zatrzymała się, ale nie dostrzegła śladów opon. Świeące punkciki na terenie laboratorium musiały oznaczać helikoptery.

Skręciła i przez lornetkę dojrzała nieruchome śmigła. Promienie słońca podświetlały je od tyłu i odbijały się od czarnych, stalowych luf automatycznej broni. Co najmniej pół tuzina żołnierzy w pustynnych mundurach krążyło wzdłuż zasieków, a trzech stało przy bramie.

- Do diabła! I co teraz?

Rockie opuściła lornetkę i przygryzła wargi. Jej ojciec miał kłopoty, i to poważne. Tak to bywa, kiedy się zdenerwuje faceta, który ukrywa swoją tożsamość i zatrudnia uzbrojonego szofera.

Nie doszłoby, do tego, gdyby żyła jej matka.

Dopiero po jej śmierci, pięć lat temu, Rockie zdała sobie sprawę, jak zręcznie Anne Wexler potrafiła trzymać w ryzach egocentryzm męża. Od tamtej pory ojciec oszalał. Aparatura TAQ i żołnierze wokół laboratorium byli tego kolejnym dowodem.

Niestety, to była jej wina i ona o tym wiedziała. Jak również o tym, i to już od dłuższego czasu, że jako aktorka może być co najwyżej dobrą dublerką, niczym więcej. Tylko że Wexlerowie nigdy się nie poddawali. Albo też nie potrafili odejść we właściwym momencie. Było to może dość naciągane usprawiedliwienie, ale dodało Rockie odwagi. Znowu podniosła do oczu lornetkę.

Mogła oczywiście wezwać lokalną policję przez CB albo krótkofalówką i opowiedzieć, że

ojcu odcięto telefon, a przed laboratorium stoją helikoptery. Tylko że laboratoria Wexlera wykonywały również zlecenia rządowe, wobec czego obecność żołnierzy i helikopterów nie była niczym nadzwyczajnym. Podobnie jak córki, która przyjechała zobaczyć się z ojcem. Jeżeli ma wzbudzić zainteresowanie policji, musi zdobyć więcej danych. A to będzie możliwe tylko wtedy, gdy uda jej się wejść na teren laboratorium. I to zatajając fakt, że jest córką Wexlera. Będzie udawała turystkę, która zgubiła drogę.

Jako aktorka miała już pewne doświadczenie. Nieraz brała udział w zdjęciach próbnych, które są zmorą wszystkich aktorów. Udawanie, że jest się kimś innym, to pestka w porównaniu z byciem Rockie Wexler. Gdyby miała tylko być sobą, to żaden problem. Ale świat oczekiwał czegoś więcej od Rockie Wexler, pięknej i utalentowanej córki doktora Addisona Wexlera.

Na potwierdzenie swoich talentów miała zresztą najlepsze świadectwa ze szkoły średniej i uniwersytecki dyplom z wyróżnieniem. Tylko jaki z tego teraz pożytek? Wzruszyła ramionami i wsunęła pistolet razem z lornetką za fotel. Potem wyjęła ze schowka mapę i rozłożyła ją na sąsiednim siedzeniu.

- Meryl Streep może się schować.. Teraz moja kolej - mruknęła i wcisnęła pedał gazu.

ROZDZIAŁ 3

Jechała powoli, rozglądając się, jakby czegoś szukała. Tak zresztą było. Wypatrywała bodaj najmniejszych śladów obecności ojca, obserwując przy okazji żołnierzy. Na razie było ich dziewięciu, potem pojawiło się jeszcze trzech. Wyszli z budynku laboratorium z dużymi, kartonowymi pudłami, które nieśli w stronę helikopterów.

To były apacje, helikoptery bojowe wyposażone w broń maszynową i raketnice. Rockie jeszcze raz otarła dłonie, odkręciła szybę i zatrzymała się przed automatycznie otwieraną bramą. Jeden z żołnierzy ruszył w stronę samochodu.

Miał pistolet maszynowy M 16 przerzucony przez ramię, w ręku krótkofalówkę i żadnych danych czy insygniów na mundurze. Najemnik, pomyślała, patrząc, jak odpina od pasa krótkofalówkę. Próbowała z ruchu warg odczytać, co mówi do nadajnika, ale na próżno.

- Jezu, jak się cieszę, że pana widzę - westchnęła, kiedy był już na tyle blisko, że mogła policzyć kropelki potu na jego czole. - T o naprawdę olbrzymia pustynia. A wydaje się jeszcze większa, jak się człowiek zgubi.

Rzuciła mu rozbijający uśmiech i zatrzepotała rzesami. Żołnierz popatrzył na nią z kamiennym wyrazem twarzy.

- Dokąd pani jedzie? - zapytał, wyciągając szyję, żeby zlustrować jej bagaże na siedzeniu dżipa.

- Do Barstow. Mam się tam spotkać z koleżankami - wyjaśniła szybko. - Wybieramy się na kilkudniową wycieczkę, ale zapomniałam kompasu i kręcę się w kółko...

- Ma pani mapę?

Podowała mu mapę przez okno. Żołnierz nachylił się nad nią. Miał krótko ostrzyżone, jasne włosy i pieprzyk na lewym policzku. Zupełnie jak Robert DeNiro.

- Jesteście może z piechoty morskiej?

Na moment oderwał wzrok od mapy.

- Nie.

- Jaka szkoda. Moja przyjaciółka Peggy marzy tym, żeby poznać takiego faceta. Mówi, że ciągle macie tu jakieś manewry i w ogóle...

Paplała dalej o mitycznej Peggy, patrząc spod oka to na wartownika, to na żołnierzy krążących wzdłuż ogrodzenia. Reszta parszywej dwunastki nadal ładowała pudła do helikopterów. Rockie wiedziała, co się w nich kryje, bo sama pomagała ojcu pakować jego archiwum.

Gdyby mieli swojego ojca, nie potrzebowaliby tych materiałów, pomyślała i serce szybciej zabiło jej w piersi. Powiedział, że musi na jakiś czas wyjechać. Nie mówił dokąd, ale nagle to

zrozumiała. Spojrzała na rysujące się przed nią wzgórze. Ojciec zbudował pod nim podziemny schron, połączony tunelem z laboratorium.

Poczuła złość na samą siebie. Gdyby się choć przez chwilę zastanowiła, na pewno domyśliłaby się, że to jedyne miejsce, w którym miał szansę się ukryć. Ale wtedy w ogóle nie myślała, tylko histerycznie zareagowała na alarm i własny strach.

Teraz też działała bez zastanowienia. Co tu w ogóle robiła? Cóż za idiotyczny pomysł. Może rzeczywiście za długo przebywała na słońcu?

Dziecko prędzej znalazłoby Barstow na mapie. A może tylko udawał?

- O, tu. Już widzę. - Wystawiła rękę przez okno i palcem wskazała punkt na mapie. - To czerwone kółko, to musi być Barstow.

Żołnierz oderwał wzrok od mapy i obrzucił Rockie badawczym spojrzeniem. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Co dwie głowy to nie jedna, prawda? Dziękuję panu za pomoc. Życzę miłego dnia. - Chciała cofnąć rękę, ale nagle dłoń żołnierza uwięziła jej nadgarstek w żelaznym uścisku.

- To zamknięty teren. Jak pani tu trafiła?

- Po prostu pojechałam tą drogą - odpowiedziała, starając się nie wrywać ręki. - Przecież musi dokądś prowadzić.

- Ach, tak? Na przykład dokąd?

- Nie wiem. Może na stację benzynową...

- W środku pustyni szukała pani stacji benzynowej?

- W końcu wy też tu trafiliście.

Nie tylko oni. Również szofer Greera Hanlona.

Właśnie przeszedł przez bramę i z uśmiechem wyłonił się zza pleców żołnierza.

- Dzień dobry, panno Wexler - powiedział. - Jak to miło, że zechciała nas pani tu odwiedzić.

Czy to możliwe, że widział ją wtedy przez okno laboratorium? Nie, to wykluczone. Odniosła wrażenie, że nie ma zamiaru jej przepuścić. O ile oczywiście w tej sprawie miał cokolwiek do powiedzenia.

- Niech pan powie temu typowi, żeby mnie puścił. Szofer Hanlona skinął głową. Żołnierz rozluźnił uścisk. Rockie cofnęła rękę do samochodu i chwyciła kierownicę.

- Gdzie jest mój ojciec? - spytała, sięgając drugą ręką między fotele.

- Czeka na panią w laboratorium.

Kłamie, pomyślała. Żar pustyni wdzierał się do samochodu przez otwarte okno. Klimatyzacja przestała już działać. Rockie czuła, że coraz bardziej się poci. Za to na dresie

szofera nie było najmniejszej plamki wilgoci. Facet miał krótko przycięte, ciemne włosy, piwne oczy i nie przestawał się uśmiechać, nawet kiedy szarpnął za kłamkę.

- Proszę otworzyć drzwiczki, zgasić silnik i położyć obie ręce na kierownicy - powiedział.

- Sam je sobie otwórz. - Palce Rockie prześlizgnęły się po rękojeści rewolweru i odszukały uchwyt stalowej sprężyny.

- Jak pani sobie życzy - odpowiedział, sięgając przez okno.

Kiedy wsunął rękę po łokieć, wyszarpnęła sprężynę i uderzyła z całej siły. I... nie trafiła. Sprężyna rąbnęła w drzwi, rozdierając tapicerkę. Rockie nie wierzyła własnym oczom. Jak to możliwe, że chybiła, że ktoś tak potężnej postury mógł poruszać się tak szybko? Mimo to nie wahała się ani chwili. Kiedy szofer odskoczył od drzwi, zamachnęła się i cisnęła sprężyną w jego głowę.

Usłyszała przenikliwy świst i łoskot sprężyny, upadającej z piskiem na szosę. Wrzuciła bieg i wcisnęła gaz. Piasek wzbił się chmurą w powietrze, oślepiając szofera, który właśnie dopadał drzwiczek. W bocznym lusterku zobaczyła, że cofnął się i zakrył ręką oczy.

Zobaczyła także, że żołnierze przy bramie unieśli swoje szesnastki. Lufy załśniły w słońcu i fontanny piasku wzbiły się tuż przed przednimi kołami dżipa. Starając się nie myśleć o pięciu pełnych kanistrach, wcisnęła gaz do deski. Następna seria przecięła piasek

tuż obok drzwiczek.

Rockie jeździła po pustyni Mojave, odkąd skończyła czternaście lat, a swojego czerwonego dżipa znała lepiej niż własną kieszeń. Szarpnęła kierownicą w prawo. Tył dżipa zjechał z drogi. Koła zaczęły buksować w szalonym tempie, wzniesając prawdziwy huragan.

Na wpół oślepiona, dusząc się od pyłu, spróbowała zamknąć okno. Po omacku wcisnęła właściwy guzik. Usłyszała cichy brzęk pękającej szyby. Jeszcze tego brakowało.

Ocierając twarz z kurzu, spojrzała we wsteczne lusterko. Kolejna salwa przecięła piasek tuż obok rury wydechowej. Ostro szarpnęła kierownicą w prawo i dżip wskoczył na drogę, prosto pod maskę białego wozu pocztowego.

Gdyby listonosz nie wcisnął hamulca, a Rockie gazu, nie uniknęliby czołowego zderzenia. Minęli się o milimetry, tak blisko, że mogła zobaczyć niebieskie oczy kierowcy.

Stanęła i spojrzała w lusterko. Z chmury pyłu wybiegli kaszląc szofer z wartownikiem. Zatrzymali się dopiero na widok wozu pocztowego. Z ulgą dostrzegła, że żołnierz opuszcza broń.

Szofer Hanlona z szerokim uśmiechem pomachał do listonosza, ale nie spuszczał wzroku z dżipa Rockie. Ich oczy spotkały się we wstecznym lusterku. Tylko na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby poczuła dreszcz, pełną przę wzdłuż kręgosłupa. Ostro wcisnęła gaz i z całą mocą silnika ruszyła przed siebie.

Szofer Hanlona na pewno nie odważy się zastrzelić urzędnika państwowego. Miałyby wtedy na karku wszystkich stanowych agentów FBI. Tak więc listonosz był bezpieczny, czego nie mogła powiedzieć o sobie. Wymyślenie jakiejś wiarygodnej historyjki, żeby spławić listonosza, nie zajmie im dużo czasu. Zostało jej jakieś pięć, najwyżej dziesięć minut. A potem helikoptery wzbiją się w powietrze i zaczną jej szukać.

Do wylotu tunelu było bliżej na skrót, ale zdecydowała się jechać drogą. Jeżeli żołnierze mają lornetki, pomyślą, że jedzie do Barstow. A o to właśnie jej chodziło.

Po przejechaniu kilkuset metrów dostrzegła obok szosy bruzdy, wyglądające na koleiny zostawione przez jakichś amatorów pustynnych przejażdżek. Tutaj trzeba było skręcić za wzgórze, sąsiadujące z laboratorium. Zjechała z asfaltu ostrożnie, żeby nie zostawiać śladów na piasku.

Wzniesienie zaczynało się po kilkunastu metrach.

Jechała powoli koleinami, kontrolując we wstecznym lusterku, czy nie zostawia za sobą nowych śladów.

W myślach liczyła: cztery tysiące dwadzieścia jeden, cztery tysiące dwadzieścia dwa - prawie cztery i pół minuty. Jeszcze sto metrów skał i wybojów dzieli ją od szczytu wzgórza. Cztery tysiące dwadzieścia sześć, cztery tysiące dwadzieścia siedem...

Kręta ścieżka stromo wznosiła się do góry. Dżip zapadał się w koleiny i obijał o skały. Pot spływał Rockie po grzbiecie. Kierownica ślizgała się w jej zaciśniętych dłoniach. Pięć tysięcy jeden, pięć tysięcy dwa...

Ugryzła się w język i połknęła gumę, kiedy dżip pokonywał ostatni, paskudny wybój. W ustach poczuła słony smak krwi. Była na szczycie wzgórza. Do autostrady miała jakieś pół kilometra - i trzydzieści metrów w dół.

Wyteżyła słuch. Helikoptery jeszcze nie wystartowały. Skręciła ostro w prawo i zjechała za potężny głaz. Odpięła pas i sięgnęła do skrytki. Wyjęła z niej okulary i coś, co przypominało automatycznego pilota do otwierania garażu. Wyskoczyła z dżipa i na uginających się nogach dopadła szczeliny między dwoma głazami. Pięć tysięcy trzydzieści osiem, pięć tysięcy trzydzieści dziewięć...

Wspierając się na łokciach, podniosła do oczu lornetkę i wyjrzała znad krawędzi skały. W dole, jak na dłoni, widziała laboratorium.

Żołnierze wsiadali właśnie do helikopterów. Szofer Hanlona zniknął. Nie było też nigdzie widać ojca. Więc mu się jednak udało. Zdążył się wymknąć, zanim po mego przyszli. Odetchnęła z ulgą i właśnie wtedy otworzyły się drzwi laboratorium. Pierwszy wyszedł ojciec. Za nim wyłonił się szofer, z wycelowanym w Wexlera pistoletem. Z tyłu szło dwóch żołnierzy. Nieśli

czarne, podobne do trumny pudło. Wexler sam je kiedyś zaprojektował i używał do przewożenia T AQ.

- Tato - jęknęła Rockie. Z oczu trysnęły jej łzy. Szli do najbliższego helikoptera. Ojciec patrzył w kierunku wzgórz. Za jego plecami szofer uniósł głowę, spojrział Rockie prosto w oczy i uśmiechnął się. Było jasne, że nie mógł jej widzieć, mimo to ogarnęła ją panika. Chciała krzyknąć, porwać swoją trzydziestkę dwójkę i rzucić się ojcu na pomoc. Tak na pewno zachowałby się John Wayne. Słyszała narastający łomot własnego serca, ale nie ruszyła się z miejsca. Przyciskając do oczu lornetkę, patrzyła, jak ojciec z czarnym pudłem znika we wnętrzu helikoptera.

To było życie, a nie kino. Gdyby nawet zbiegła ze wzgórz, na pewno nie uratowałyby ojca. W tej sytuacji najlepszym wyjściem było ukryć się i czekać, aż szofer przestanie jej szukać. Potem włączy CB i będzie wzywać pomocy.

Wciąż na kolanach, odwróciła się i z pochyloną głową sięgnęła do kieszeni bluzy po nadajnik. Ręce drżały jej tak, że go upuściła. Klnąc, podniosła go, wcisnęła lewy klawisz i nagle zastygła bez ruchu. Na wypalanej ziemi zarysował się długi, czarny cień.

Cień wysokiego, barczystego mężczyzny. W baseballowej czapeczce i z pistoletem w ręku.

ROZDZIAŁ 4

- Widzę, że profesor Wexler nadal lubi zabawki - odezwał się cień. - Jak to miło, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

Prócz zdolności do nauk ścisłych, a konkretnie chemii, Rockie miała też świetny słuch. Mimo iż rozmawiała z Nevinem Maxwelllem tylko chwilę, natychmiast rozpoznała jego głęboki baryton. Przez telefon ten głos, wydał jej się denerwujący, teraz spowodował, iż dostała gęziej skórki.

Powoli uniosła głowę i zamrugała, oślepiona reflekssem od słonecznych okularów i lufy pistoletu, który mężczyzna trzymał w prawej ręce. Na głowie miał granatową czapkę Chicago Cubs, spod której wysuwały się ciemne kosmyki o rudawym połysku. Koszula w kolorze khaki i wyblakłe dżinsy były pokryte kurzem i mokre od potu.

Nic, co było obdarzone bodaj drobiną rozumu, nie poruszało się po pustyni o tej godzinie. Wokół panowała głęboka cisza. Nagle Rockie usłyszała narastający szum helikopterów.

- Nie mam pojęcia, do czego to służy, ale lepiej będzie, jak pani tego użyje. - Maxwell wskazał na przedmiot, który trzymała w ręce. - Chyba że chce się pani zabrać z ojcem i Conanem.

Na to nie miała najmniejszej ochoty. Ani na to, żeby teraz zostać tu z tym mężczyzną, choć ojciec powiedział wyraźnie: „Zaufaj Maxwellowi. To sukinsyn bez serca, ale ci pomoże. Nie będzie miał na to ochoty ze względu na mnie, ale zrobi to.”

Nie były to jakieś szczególnie zachęcające referencje, ale nie miała teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Szum helikopterów przeszedł w jednostajny ryk. Były gotowe do startu.

- Czy Conan to jego prawdziwe nazwisko? - spytała, podnosząc się z kolan.

- Nie, to pseudonim. Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska. Nawet Interpol. Rockie wcisnęła klawisz pilota. Skała przed oczami Maxwella zaczęła się rozsuwać, odsłaniając wlot do tunelu. Maxwell popatrzył na Rockie.

- Niezły pomysł. Wjeżdżamy.

Wsunął pistolet do kabury i ruszył w stronę dziupa.

Rockie odwróciła się, żeby po raz ostatni popatrzeć na laboratorium. Helikoptery wolno unosiły się nad ziemią, wzniesając tumany piasku.

- Trzymaj się, tato. Wexlerowie nigdy się nie poddają - szepnęła i pobiegła za Maxwelllem.

Usiadła za kierownicą, włączyła światła i wprowadziła samochód do tunelu. Kiedy tylne koła przejechały przez próg, wcisnęła hamulec i odczekała, aż drzwi zasuną się za nimi.. Potem nacisnęła prawy klawisz.

W tunelu zapaliło się światło.

- Rozumiem, że tędy można się dostać do laboratorium. - Halogenowe lampy nad ich głowami powoli się rozgrzewały, rzucając cienie na mocno zarysowaną szczękę i prosty nos Maxwella. - Czy Conan mógł na to wpaść?

- Wykluczone. Ojciec spalił wszystkie plany - odpowiedziała Rockie. - Żeby się dostać do tunelu z tamtej strony, trzeba trzy razy nacisnąć odpowiedni klawisz kuchenki mikrofalowej w laboratorium. Wejście jest w pakamerze dozorczy, w piwnicy.

- Zawsze ten sam maniak. - Maxwell pokręcił głową.

- Skąd pan zna mojego ojca? - Rockie zwołniała hamulec.

- Kto jeszcze wie o tym tunelu?

- Nikt. Tylko ojciec i ja.

- Lepiej się upewnić. Niech pani tu zaczeka.

Wyjął pistolet, wysiadł z dżipa i powoli ruszył w dół korytarza. Ostrożny facet, pomyślała. Dlaczego nie odpowiedział na moje pytanie? Przy jej pechu, Maxwell to pewnie kolejny Smith z przeszłości ojca.

O tym, że było dwóch Smithów, wiedziała na pewno. Istnienia jeszcze kilku mogła się tylko domyślać. „Prywatni sponsorzy są jak kury znoszące złote jaja” mawiał ojciec. „Jak długo je karmisz, znoszą ci te jajka. Nie musisz się martwić o to, że rząd albo związki obetną ci fundusze”. No i oczywiście to, co Addison Wexler uważał za najważniejsze. Nie trzeba się z nikim dzielić sukcesem.

Wszyscy naukowcy zazdrośnie strzegą swoich tajemnic, ale jej ojciec był - jak to określił Maxwell - po prostu maniakiem. System zabezpieczeń w laboratorium wyprzedzał wszystkie wojskowe systemy o lata świetlne i był skomplikowany jak węzeł gordyjski.

To taki nieszkodliwy bzik, myślała dawniej Rockie, czasami denerwujący, ale tak charakterystyczny dla ojca jak jego niebieskie oczy. Teraz zrozumiała, po co to wszystko. Ojciec zabezpieczał się na wypadek dnia takiego jak dzisiejszy, kiedy jakiś Conan zwalił mu się na głowę ze swoimi helikopterami i najemnikami. I nawet wiedziała po co - po TAQ.

Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach - to strach i przeciąg. Wentylacja włączała się automatycznie, razem ze światłami. Zapas świeżego powietrza wystarczał na trzy godziny. Na wszelki wypadek, żeby uniknąć zatrucia tlenkiem węgla, zgasła silnik dżipa i reflektory.

- Mądra dziewczynka. - Maxwell wyłonił się nie wiadomo skąd, otworzył drzwi i wsunął się do samochodu. Omal nie krzyknęła z przerażenia. - Inaczej moglibyśmy się udusić.

- Jak można się tak skradać?

- Tajemnica zawodowa. Droga wolna.

Z nerwami napiętymi jak postronki Rockie wrzuciła luz i dżip powoli zaczął się staczać w głąb tunelu.

- Kim pan jest?
- Chodzi pani o mój zawód?
- Po takim dniu jak dzisiejszy sama już nie jestem pewna, o co mi chodzi.
- Moje dziecko, tylko dwóch rzeczy człowiek może być pewny. Śmierci i podatków.
- Nie jestem dzieckiem - zaprotestowała.
- Proszę mi to udowodnić.

Rockie gwałtownie wcisnęła hamulec. Maxwell poleciał do przodu i omal nie rozpląszczył się na przedniej szybie. Znajdowali się w przestronnym magazynie, w którego ściany wmurowano stalowe sejfy. Tutaj kończył się tunel.

- Mam dwadzieścia sześć lat. Tak jest napisane w moim prawie jazdy.
- To powinna pani mieć trochę więcej rozumu. - Maxwell wsunął okulary do kieszonki na piersi i wysiadł z samochodu.
- A co ja takiego zrobiłam?
- Po co się pani pcha do takiego faceta jak Conan? Nie mówiąc już o dwunastce uzbrojonych najemników.
- Pan to wszystko widział?
- Oczywiście. Tam z góry trudno było nie widzieć.
- Jeżeli Conan już ich nie zniszczył. - Maxwell w skupieniu oglądał ściany magazynu. Bezgłośnie poruszał wargami. Liczył stalowe belki podpierające strop i próbował ustalić, ile pocisków wytrzyma sklepienie.

Trzy helikoptery, każdy z dwiema raketami na pokładzie. Nawet gdyby Conan wystrzelił tylko dwie rakety i tylko w budynek laboratorium... .

Rockie z trudem przełknęła ślinę. Zupełnie zaschło jej w gardle. Sięgnęła po papierosa, zawahała się i ukradkiem spojrzała na Maxwella. Nie widział jej. Cały czas wpatrywał się w sufit.

Szybko wyjęła spod foteli swoją trzydziestkę dwójkę i wsunęła ją do tylnej kieszeni. Potem odeszła parę kroków od samochodu i zapaliła papierosa. Ręce ciągle jej drżały, ale przynajmniej wewnątrz trochę się uspokoiła.

- Po raketach zostają ślady - odezwała się po chwili.

Maxwell oderwał wzrok od belek i spojrzał na nią. - Te papierosy cię zabiją, moje dziecko.

- Rakety też. I to o wiele szybciej. - Znowu zaciągnęła się papierosem. Ręce przestały jej drżeć. Kolana też.

- Nawet po ładunkach plastikowych i ceramicznych zostają ślady.

Maxwell uśmiechnął się pod nosem.

- Buszowało się w laboratorium tatusia, co?

- Czasami - przyznała. - Jak długo będziemy tu jeszcze stać i czekać? Aż Conan zacznie strzelać?

- Mamy jeszcze trochę czasu. Przeczesywanie terenu zajmie mu jakieś dziesięć, piętnaście minut. Nie mam pojęcia, co zrobi, kiedy stwierdzi, że zapadłaś się pod ziemię. On słucha rozkazów, ale tylko do pewnych granic.

Rockie wolała nie znać tych granic. Nie chciała też wiedzieć, kim był Nevin Maxwell. Zaczynało jej świtać w głowie. Znowu przeszedł ją dreszcz. Skąd ojciec wytrzasnął takiego faceta?

Bez względu na to, co powiedział jej ojciec, nie miała najmniejszego zamiaru ufać Maxwellowi. Był za bardzo podobny do szofera, Hanlona, tego Conana. Może siedzenie w tunelu i czekanie, aż rakieta spadnie człowiekowi na głowę, to dla Nevina Maxwella pestka, ale dla niej na pewno nie. Musi się stąd wydostać. Byle dalej od tego miejsca - i od tego typu.

Zgniotła niedopalek, podeszła do bagażnika i wyjęła mały płócienny plecak. Zdążyła też wsunąć pistolet do zewnętrznej kieszeni, zanim pojawił się przy niej Maxwell. Z rękami skrzyżowanymi na piersi oparł się o karoserię i zaczął jej się przyglądać.

- Wybierasz się gdzieś?.

- Na razie nigdzie. - Dołożyła do plecaka ciężką, wojskową latarkę i kanisterek z wodą, potem przerzuciła plecak przez ramię i zatrzasnęła bagażnik. - T o na wypadek, gdyby trzeba było iść.

- Mądra dziewczynka. - Maxwell zajrzał przez szybę do samochodu. - Wygląda na to, że spodziewałaś się kłopotów.

- Paranoja jest u nas dziedziczna. A pan czego się spodziewał?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo gdybym ci powiedział, przyłożyłabyś mi.

- Skąd pan wie?

- Wiem. Zaufaj mi.

- Zdaje się, że nie mam wyboru.

- Oczywiście, że masz. Możesz tu czekać, aż Conan się zdecyduje, i modlić się, żeby nie zaczął strzelać, albo możesz mi pokazać trzecie wyjście.

- Jakie trzecie wyjście?

Maxwell opuścił ręce, cofnął się o parę kroków i popatrzył na nią z góry. Musiał mieć chyba z metr osiemdziesiąt pięć albo i więcej. Jego oczy wydawały się bardzo ciemne, ale tak naprawdę były piwne, z zielono - czerwonymi punkcikami. Jak jaspis.

- Nie żartuj ze mną, dziecinko. Zostało nam bardzo mało czasu. Nie mamy do siebie zaufania i nie lubimy się. I to właśnie nas łączy. No i jeszcze jedno - oboje chcemy stąd wyjść żywi i cali.

Odwrócił się i machnął ręką w stronę wbudowanych, w ściany stalowych sejfów, zamykanych na elektroniczne zamki z szyfrem. Było ich szesnaście.

- Taki paranoik jak twój stary, budując to, musiał się liczyć z najgorszym scenariuszem. To znaczy oba wyjścia odcięte. Wobec tego zakładam, że jeden z tych sejfów nie jest sejfem. - Maxwell wbił wzrok w Rockie.

- Muszę wiedzieć, który to sejf i jaki jest szyfr.

Rockie oblizła spalone słońcem wargi.

- O ile wiem, nie ma stąd trzeciego wyjścia.

- Pozwól, że wyjaśnię ci parę rzeczy. - Maxwell oparł się znów o karoserię dżipa. - Po pierwsze, to są jedyne wzgórza w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Być może Conanowi nie uda się znaleźć tego tunelu, ale kiedy przekona się, że twój samochód zniknął, wróci tu i zacznie szukać podziemnego przejścia. Najprawdopodobniej z pomocą rakiet. Po drugie, na pewno zostawi kilku żołnierzy w laboratorium, na wypadek, gdyby jednak udało ci się tam dotrzeć. Będą mieli więcej kul niż ja, więc ta droga też odpada. Po trzecie, chętnie bym przetrącił kark twojemu ojcu, ale ciebie mam zamiar wyciągnąć z tej awantury.

Mówił z obojętnym wyrazem twarzy, beznamiętnym tonem, ale Rockie zrozumiała, że nie żartuje. Czytała to w jego oczach, które nagle stały się prawie czerwone. Dobrze wiedziała, co to oznacza.

- Nie mam jeszcze ochoty umierać - powiedziała.

- Gdybym znała to trzecie wyjście, na pewno bym panu je wskazała.

- Akurat. - Maxwell znów skrzyżował ręce na piersi. - Kiedy strop zacząłby się walić, wyjęłabyś tę swoją pukawkę, którą właśnie schowałaś do plecaka, i kazałabyś mi tu zostać, a sama byś stąd uciekła.

- Nieprawda. To pan by się tak zachował.

Nigdy nie zrozumie, jak on to zrobił. Dopiero co stał, oparty o karoserię, a już był przy niej i trzymał ją za ramiona. Całe pięć sekund przed tym, jak usłyszała złowieszczy grzmot i poczuła, że ziemia drży. Ten człowiek nie tylko miał oczy z tyłu głowy, ale i superczuły słuch.

- Jasna cholera. - Maxwell popatrzył na szczelinę, otwierającą się u ich stóp. - Świetna

pora na trzęsienie ziemi.

Grzmot powtórzył się, tym razem silniejszy. Dżip. zaczął podskakiwać na resorach. Rockie kurczowo chwyciła Maxwella za rękę. Przed oczyma stanął jej ojciec, z czarnym pudłem w kształcie trumny. Rakiety zostawiają ślady, ale TAQ nie.

- To nie jest trzęsienie ziemi - powiedziała. - To chyba TAQ.

Maxwell zamrugał.

- Więc Addison jednak go zbudował?

- Prototyp. Nawet dwa egzemplarze.

- Zabiję go. - Maxwell chwycił Rockie za łokieć i odwrócił w stronę wyjścia.

- Otwórz drzwi.

Drżącymi rękami sięgnęła do kieszeni i nacisnęła klawisz. Drzwi zaczęły się rozsuwać. Kolejny grzmot wstrząsnął ścianami tunelu. Jedna z halogenowych lamp eksplodowała tysiącem iskier. Przez szczelinę szerokości dłoni wdarło się trochę dziennego światła. Wtedy zobaczyli, że stalowa blacha wzmacniająca drzwi od środka wydeła się jak balon.

Mamrocząc najgorsze przekleństwa, Maxwell odwrócił się i zaczął popychać Rockie pod wschodnią ścianę ze stalowymi sejfami. W połowie drogi światło dwukrotnie zamigotało i zgasło.

W jednostajny szum sypiącego im się na głowy pyłu wdarł się nagle metaliczny dźwięk. Rockie zamarła z przerażenia. Maxwell wyjął z jej plecaka latarkę i oświetlił ścianę. T o powoli otwierały się sejfy. W głębi czwartego zamajaczyło przyćmione światło.

- A więc to tak. Dwustronny system zabezpieczenia. - Maxwell znowu popchnął Rockie. - Może jednak nie zamorduję twojego ojca, tylko go wsadzę za kratki.

Kiedy dopadli sejfów, ziemia pod ich stopami zafalowała, a z południowej części tunelu, od strony laboratorium, rozległ się kolejny, potężny grzmot. Krztusząc się od kurzu, Rockie zajrzała w głąb wąskiego, stalowego kanału. Miał niewiele ponad metr wysokości, a jego ściany zaczynały się już uginać pod naporem pękających skał. Słyszała brzęk odłamków uderzających o metalowe blachy.

- Czy to bezpieczne? – spytała.

- Bezpieczniejsze niż siedzieć tu i czekać. Proszę bardzo, panie mają pierwszeństwo.

Chwycił Rockie pod pachy i podsadził ją do góry. Wsunęła się do kanału. Jego ściany drżały coraz mocniej. Wcale jej się to nie podobało. Ani trochę.

- Trzymaj się. - Maxwell usiadł za jej plecami i wziął ją między kolana.

- Trzymam się. - Rockie zacisnęła powieki i wparła się dłońmi w ściany. Czowała jak pękają stalowe spoiny.

- Nie ścian, tylko mnie... - Oderwał jej palce od ścian i opasał ją ramionami.

To wystarczyło. Poszybowali w głąb stalowej czeluści, Bóg jeden wie dokąd. Za ich plecami strop tunelu runął z głośnym hukiem. Ryk tysięcy ton pękającego betonu zagłuszył krzyk Rockie.

ROZDZIAŁ 5

Mknąc w dół, Rockie miała wrażenie, że umiera.

Wąski korytarz zwielokrotniał huk walącego się sklepienia, a lecący z góry kurz oślepił ją i dusił. Stalowe nity puściły i darły jej ubranie. Na zakręcie impet wyrwał ją z objęć Maxwella. Przewracając się i koziołkując, wylecieli z tunelu i ciężko wylądowali na twardej, spalonej słońcem ziemi.

Obolała i na wół zamroczona, Rockie zaczerpnęła tchu i zaczęła nasłuchiwać. Przez chwilę wszystko zagłuszał oszalały łomot serca. Potem jej uwagę przykuł suchy grzechot, który sprawił, że włos zjeżył jej się na głowie.

Uniosła głowę. Jakieś półtora metra dalej leżał Maxwell, nie zdradzając najmniejszych oznak życia. Miał szeroko otwarte oczy i rozdartą koszulę. Tuż nad nim, zwinięty na kamieniu, spoczywał największy grzechotnik, jakiego Rockie kiedykolwiek widziała. Musiał mieć co najmniej ze trzy metry.

Poczuła zimny dreszcz. Słońce skryło się już za linią wzgórz i temperatura znacznie spadła. Podziemny wstrząs musiał wywabić węża z kryjówki. Można było jedynie mieć nadzieję, że chłód osłabi jego wojownicze instynkty.

- Nie ruszaj się - powiedział Maxwell chropawym szeptem. - Nic ci się nie stało?
- Chyba nic - szepnęła.
- Zaczerpnij tchu. Kiedy policzę do trzech, leć...

Maxwell zamilkł, bo nagle wąż wystawił język i ostrzegawczo zasyczał. Rockie przycisnęła dłoń do ziemi. Wiedziała już, co wyczuł. Kolejny wstrząs. Oby ostatni...

Z oddali dobiegł ją warkot helikopterów. Cichy i dość odległy, jednak słyszalny. To Conan szukał jej, tak jak to przewidział Maxwell. Na razie po drugiej stronie wzgórza. Na razie... Furkot śmigieł powoli się przybliżał.

Był już na tyle głośny, że zaniepokoił węża, który uniósł głowę i zagrzechotał, wysuwając język.

- Uważaj - szepnął Maxwell. - Raz, dwa...

Ale Rockie go nie słuchała. Cofnęła się na czworakach i rzuciła w Maxwella plecakiem, trafiając go w pierś. Wąż zaatakował o ułamek sekundy później. Jego kły wbiły się w grube, szorstkie płótno. Nim zdołał je wyszarpnąć, Maxwell odrzucił plecak.

Potem poderwał się i pobiegł, a Rockie za nim, rozglądając się za jakąś kryjówką. Zza krawędzi wzgórza wyłonił się pierwszy helikopter, wznecając tumany kurzu. Seria z broni maszynowej przecięła piasek tuż przed nosem Rockie. Maxwell szarpnął ją za łokieć. Upadła na ziemię, boleśnie raniąc podbródek o ostry kamień, ale zaraz podniosła się na kolana.

Jakieś trzydzieści metrów nad sobą dostrzegła skalny występ, zwieszający się nad usypiskiem głazów. Jak sprinter skoczyła w tamtą stronę. Helikopter z ogłuszającym hukem przeleciał tuż nad jej głową. Gorący podmuchomal nie wgniół jej w ziemię. Maxwell chwycił ją za łokieć i biegł, ciągnąc za sobą. Miała wrażenie, że, zaraz wyrwie jej rękę, ale brakowało jej tchu, żeby krzyczeć. I tak już posuwała się z najwyższym trudem.

Dwa metry w górę - metr w dół. Zdradliwe ruchome piaski z sykiem sypały się po zboczu, podcinając im stopy. Helikopter zatoczył koło, szykując się do kolejnego ataku. Na horyzoncie, w miejscu gdzie powinno być laboratorium, pojawił się słup czarnego dymu. Promienie zachodzącego słońca odbiły się od szyby helikoptera i oślepiły Rockie. Maszyna zanurkowała.

Tym razem seria przecięła wzgórze jakieś dziesięć metrów za nimi. Rockie potknęła się. Maxwell chwycił ją za koszulę i wepchnął w wąską szczelinę między dwoma głazami. Kule ścięły czubek miękkiej skały, zasypując Rockie gradem kłujących odprysków.

Wylądowała na brzuchu, z szeroko rozpostartymi rękami, żeby zamortyzować siłę upadku. Maxwell upadł na nią, wgniatając jej twarz w kupę błotnistego mułu. Krztusząc się, uniosła głowę. Maxwell wyciągał właśnie rewolwer. Po prawym ramieniu spływała mu strużka krwi.

- Trafili pana - wychrypiała. Gardło miała zatkane piaskiem.

- To tylko odłamek skały. Kula z pięćdziesiątki urwałaby mi rękę. - Podczołgał się do głazów, wyjrzał zza ich krawędzi i zaklął.

Rockie podpełzła do niego. U stóp wzgórza dwa helikoptery podchodziły do lądowania.

- Jak pan myśli, gdzie jest trzeci? - spytała.

- Wiezie Addisona na randkę ze Smithem. A Conan jest przyzwoitką. - Maxwell zsunął czapkę na tył głowy. - Według mnie Conan zostawił tu tych facetów, żeby posprzątali po sobie śmieci.

Nikt jeszcze dotąd nie nazwał jej śmieciem. Poczowała wściekłość, pomieszana ze strachem.

- Czy oni tak mamie strzelają - spytała - czy po prostu mamy cholerne szczęście?

- To wyborowi strzelcy. Tylko snajper potrafi strzelać z maszynowej broni tego kalibru tak, żeby nie trafić.

- To znaczy, że oni nie chcieli nas zabić?

- Jeszcze nie. Inaczej już byłoby po nas. - Maxwell lufą pistoletu podrapał się po głowie.

- Myśli pan, że próbowali nas tylko przestraszyć?

- Tylko ciebie. Nie spodziewali się, że mnie tu zastaną. - Maxwell wyjrzał przez szczelinę między głazami i zmarszczył czoło.

- Do tego nie wiedzieli, kim jestem. Mogłem przecież być jakimś podróżnym albo turystą.

Ale jeżeli dojdą do wniosku, że reprezentuję prawo - pošłą mnie do piachu. A może i ciebie, jeżeli uznają, że to ty mnie wezwałaś. Ale to nie jest pewne.

- Jakie mam szanse?

- Jak sześćdziesiąt do czterdziestu.

Nie brzmiało to zbyt optymistycznie. Nawet dla Maxwella.

- Najpierw muszą się porozumieć z Conanem - powiedział. - Właśnie to próbują zrobić. Namierzają go przez radio.

- Co wobec tego robimy?

- Jeżeli chcesz się spotkać ze swoim starym, siedź tu i czekaj na chłopaków Conana. Addison nie poszedł z nimi z własnej woli, więc podejrzewam, że Smith chce, używając ciebie, zmusić go do współpracy. - Maxwell przykucnął i znowu wyjrzał na zewnątrz.

- W każdym razie ja się stąd zmywam, jak tylko wymyślę jakiś sposób.

- Tak po prostu? - spytała z ironicznym uśmiechem. - Po tym wszystkim, co zaszło między nami?

Było jasne, że musi odtąd liczyć tylko na siebie. Do tej pory sądziła, że umie sobie radzić w każdej sytuacji. Teraz zrozumiała, że są rzeczy, których nie potrafi. Na przykład walczyć przeciwko helikopterom z uzbrojonymi najemnikami na pokładzie. Ale nie będzie błagać nikogo o pomoc. Zwłaszcza Maxwella.

- Posłuchaj, moje dziecko. - Maxwell oparł ręce na kolanach i popatrzył na Rockie. - Nawet nie wiem, jak ci na imię. I, szczerze mówiąc, wołałbym, żeby tak zostało.

- Dobrze. A teraz ja panu powiem, co o tym wszystkim myślę. Mój ojciec nie mylił się co do pana. A poza tym, skoro sobie nie życzył, żebym tu przyjeżdżała, na pewno też nie chce, żebym tu czekała, aż wpadnę w łapy zbirów Conana. A oni albo mnie rozwalą, albo nie. Więc ja też stąd pryskam.

Ta zapowiedź zabrzmiała śmiesznie nawet dla samej Rockie. Dokąd właściwie mogła pójść? Przecież byli w samym sercu pustyni. Żołnierze mogli ją dopaść w każdej chwili.

- Wobec tego, droga wolna. - Maxwell wskazał na wąski przesmyk między skałami.

Popatrzyła na niego i zamrugała ze zdumienia.

Spodziewała się - nie, raczej miała nadzieję - że przynajmniej będzie próbował ją powstrzymać. Jego kąśliwa uwaga dotknęła ją do żywego.

- Dobrze - mruknęła, czolgając się w stronę przesmyku.

- Nie przejmuj się - usłyszała za sobą głos Maxwella. - Jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewny, że cię nie zastrzelą.

Za to Rockie była w stu procentach pewna, że gdyby miała kij baseballowy, wyrznęłaby

nim Maxwella w łeb. Przeciskała się między głazami, aż w końcu, zaciskając zęby, wspięła się na największy z nich. Przestała się obawiać, że ją zastrzela. Teoria Maxwella, poparta tym, że ciągle jeszcze żyli, brzmiała sensownie. Zaczęła się bać czegoś innego. Tego, że zniknie bez śladu. Jeżeli da się złapać, kto prócz Maxwella będzie wiedział, co się z nią stało? Kogo to będzie obchodzić?

Dym z płonącego laboratorium wciąż unosił się nad horyzontem. Musi stąd uciec i zawiadomić policję, zanim sami tu przyjadą zaalarmowani dymem i stwierdzą, że jej ojciec zginął w trzęsieniu ziemi. Może nawet razem z nią.

A może Smith chce, żeby tak pomyśleli? Zadrzała, ale zarazem poczuła przypływ odwagi.

Odwróciła się i stanęła na wprost nadlatującego helikoptera. Miała nawet ochotę pokazać język, kiedy nagle drzwi kabiny otworzyły się i ośmiu żołnierzy wyjrzało na zewnątrz. Nie strzelali, tylko patrzyli na nią i śmiali się. Zarozumiałcy, pomyślała zirytowana, też bym była taka. Pewna siebie, gdybym była tak uzbrojona.

- Spróbujcie mnie złapać, chłopcy - mruknęła i znów zaczęła mozolnie pięć się pod górę.

Miała zamiar poszukać jakiejś kryjówki po drugiej stronie wzgórza. Tuż przed szczytem zatrzymała się, żeby po raz ostatni spojrzeć na Maxwella. Siedział oparty o skałę i przyglądał się jej z kpiącym uśmiechem.

- Jeszcze jedno, panie Maxwell. Rozumiem, że chce pan teraz zostać sam.

- Nie nazywam się Maxwell, tylko Sheridan. Kamień, na którym stała, zadrzał pod jej stopami.

T o pod wzgórzem przeszła kolejna fala wstrząsów. Ale nie one były powodem szoku, którego doznała w tym momencie. Patrzyła na rzekomego Nevina Maxwella i gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, gdzie, słyszała nazwisko Sheridan. W laboratorium ojca, tego była pewna, ale kto o nim mówił, dlaczego i w jakim kontekście?

- Sheridan to pana imię czy nazwisko? - spytała.

- Nazwisko. Mam na imię Leslie. A ty?

- Rockie. Tak naprawdę na imię mi Rochelle, ale jeżeli kiedykolwiek pan mnie tak nazwie...

Ziemia znowu zaczęła drżeć pod ich stopami.

A razem z nią wzgórze i skalny występ, którego się właśnie uczepiła. To było prawdziwe trzęsienie ziemi.

I to duże. Pięć, może nawet sześć stopni. Czowała, jak grunt usuwa jej się spod nóg. Olbrzymie głazy z hukiem potoczyły się po zboczu.

Rockie nigdy dotąd nie widziała czegoś takiego.

Obejrzała się. Żołnierze Conana zamarli z otwartymi ustami. Potężny głaz, na którym stała jeszcze przed sekundą, toczył się w dół, ciągnąc za sobą kamienną lawinę - prosto na helikoptery i ludzi stojących u stóp wzgórza.

To będzie cud, jeżeli zbiorniki paliwa nie wybuchną. Wiedziała o tym. Nie mieli czasu, żeby poderwać z ziemi maszyny. Żołnierze też byli tego świadomi. Porwali broń i radio polowe i rzucili się do ucieczki. Rockie kurczowo zacisnęła palce na drżącym występie. Nagle poczuła, że ktoś chwytają za kostkę. Spojrzała w dół. Sheridan jednym pchnięciem przerzucił ją na drugą stronę.

- Uciekaj - krzyknął.

Przekoziółkowała kilka razy, a potem wstała. Nogi miała jak z waty, ale stała. Pod jej stopami wzgórze trzęsło się i dygotało. Sheridan pokonał skalną krawędź, doturlał się do Rockie, wstał, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w dół.

Byli w połowie zbocza, kiedy nastąpiła eksplozja:

Potężny huk omal nie ogłuszył Rockle. Tylko dzięki Sheridanowi była jeszcze w stanie posuwać się naprzód. U stóp wzgórza przystanęli na chwilę. Obejrzała się. W powietrzu fruwały płonące szczątki helikopterów. Kawałek pogiętego, zwęglonego śmigła zarył się w piasek zaledwie kilka metrów od nich.

- Nasze szanse rosną - odezwał się Sheridan i znowu zaczął ją ciągnąć.

Biegli tak długo, aż ryk ognia za ich plecami przeszedł w jednostajny syk. Rockie już nie wiedziała, czy to drży ziemia, czy jej kolana. Zatrzymali się dopiero przy niewielkim wzniesieniu. Kiedy Sheridan puścił jej ramię, zgięła się wpół, ciężko dysząc. Czarne płatki wirowały jej przed oczyma. Bolało ją całe ciało, paliło w gardle, ale przynajmniej ciągle jeszcze żyła. Pomyślała o żołnierzach. Conana, ale odwróciła się dopiero wtedy, gdy Sheridan wprowadził ją między skały, gdzie przykucnęli za wielkim głazem w kształcie tortu.

Dym wciąż unosił się nad wzgórzem, ale nie było widać żołnierzy. Robiło się chłodno. Rockie zatarła rękę.

- . Czy to możliwe, żeby ktoś przeżył? - spytała Sheridana.

- Nie mam pojęcia. - Wyjął pistolet i zważył go w ręku. - Ale trzeba to sprawdzić.

Sprawdzić, że tak, czy sprawdzić, że nie? Wolą nie pytać. Oparła się o kamień i zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero na dźwięk, od którego przeszedł ją dreszcz. Poderwała się na równe nogi. Nad szczytem wzgórza połyskiwało wirujące śmigło helikoptera. T o Conan trzeba uciekać.

- Zaczekaj chwilę. - Dłoń Sheridana zacisnęła się wokół jej ramienia. - Nie chcesz poznać Maxwella?

ROZDZIAŁ 6

Szmaragdowe oczy Rockie, jeszcze przed sekundą szeroko otwarte z przerażenia, podejrzliwie zlustrowały Sheridana.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Może w jakimś filmie science fiction - powiedziała, wyszarpując rękę. - Skąd pan wie, że to Maxwell?

- Bo czasami dla niego pracuję. - Sheridan wstał i schował pistolet do kabury. - Kiedyś już leciałem tą maszyną.

Naprawdę leciał nią tylko raz i niewiele brakowało, a rozbiliby się o górski stok. Max o mało nie dostał zawału. I to nie dlatego, że otarli się o śmierć, ale że zapłacił Bóg wie ile za tę swoją zabawkę. Na samo wspomnienie tej historii Sheridan poczuł, że oblewa się zimnym potem. Nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek znajdzie się tak blisko tego helikoptera.

Córka Wexlera pociągnęła go za rękaw. - Co to znaczy, że pracuje pan czasami?

- To znaczy, że zazwyczaj robię coś innego.

- Na przykład co?

- Co mi się żywnie podoba - odburknął, wymachując rękami nad głową.

W gruncie rzeczy nie mógł mieć do niej pretensji o to, że była nieufna i podejrzliwa. Te uczucia nie były mu obce. A już na pewno nie kiedy miał do czynienia z kimś powiązanim z Addisonem Wexlerem.

- Ach, tak. - Rockie ujęła się pod boki. - To znaczy, że jest pan dyletantem.

- Nie. Jestem tylko cholernie nieznośnym facetem.

Maxwell musiał ich zobaczyć, bo helikopter przerwał poszukiwania i zawrócił w ich stronę. Sheridan odsunął się na bok i spojrzał na Rockie.

- Spytaj kogoś, kto mnie zna. Maxa albo twojego ojca, przy następnej okazji.

- Z pewnością to zrobię, jeżeli jeszcze go zobaczę.

- Nie martw się. Na pewno go zobaczysz. Tacy faceci jak Addison Wexler zawsze spadają na cztery łapy. Czasem ktoś im w tym pomaga, ale oni nigdy tego nie zauważą.

W jego głosie zabrzmiała gorycz. Addison Wexler był kłamliwym, nieuczciwym egomaniakiem który używał ludzi jak papieru toaletowego. Ale to już przeszłość. Tak przynajmniej Sheridan myślał do niedawna. Aż nagle, za sprawą córki Wexlera wszystko wróciło ze zdwojoną siłą.

Stała teraz naprzeciw niego i patrzyła mu w oczy.

- Na przykład pan, prawda? Pan mu kiedyś pomógł?

Bystra dziewczyna. I ostra. Jak jej stary.

- Tak: Raz czy dwa. - Oderwał od niej wzrok i patrzył, jak helikopter podchodzi do

ładowania cicho i pewnie, niby jakieś olbrzymie, drapieżne ptaszysko.

- Czy dlatego pan się tu teraz zjawił?

- Nie. - Sheridan znów spojrzał na córkę Wexlera.

Miała kurz i piasek we włosach i zaschniętą krew na podbródku.

- Tym razem jestem tu po to żeby mu skrócić kark.

Wcale nie miał zamiaru tu przyjeżdżać. I nadal nie był pewny, dlaczego to zrobił. Może z ciekawości a może dla jakiejś gorzkiej satysfakcji. Istnienie aparatury TAQ wszystko zmienia. Ta dziewczyna ma prawo o tym wiedzieć. Żeby potem nie było jakichś nieporozumień.

- Addison Wexler jest moim ojcem - przypomniała mu, jakby w ogóle był w stanie o tym zapomnieć. - Jestem tu po to, żeby go ratować.

- T o trzeba się było zabrać z Conanem i jego chłopakami.

Wzdrygnęła się, ale nie przestawała patrzeć mu w oczy.

- Może mi pan wierzyć albo nie, ale ojciec nie chciał tego, co się stało. Nigdy by na to nie pozwolił. Nawet za cenę życia.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę helikoptera. Miała rozdartą na plecach koszulę. Sheridan zobaczył białe ramiączko stanika i kawałek nagiego ramienia. Jeszcze jednej rzeczy nie był w stanie zapomnieć. Chwili, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył. Musiał chyba do reszty stracić rozum. Jak można w ogóle cokolwiek czuć do osoby nazwiskiem Wexler? Nawet współczucie powinno być zabronione.

Kiedy otworzyły się drzwi kabiny, Rockie stanęła jak wryta. Sheridan nie musiał widzieć jej twarzy, by wiedzieć, że pożera Maxa wzrokiem i do tego pewnie z otwartymi ustami. Max zawsze robił wielkie wrażenie na kobietach. Dopóki nie spojrzały mu w oczy. Córka Wexlera zaczęła przyglądać czarne, splątane włosy. Nagle jej ręka zastygła w pół gestu. Sheridan zgadł, że nawiązali kontakt wzrokowy. Drżenie, które wstrząsnęło jej plecami, potwierdziło tylko jego przypuszczenia.

- Witam, panno Wexler. - Maxwell podszedł do niej i wyciągnął rękę. - Jestem Nevin Maxwell.

- Dzień dobry. - Chciała podać mu rękę, ale nagle się cofnęła. Otarła dłoń o spodnie, żeby podkreślić, jaka jest brudna, a potem schowała ją do kieszeni.

Maxwell nie zareagował. Sheridan wiedział dlaczego. Znal go od ośmiu lat i pamiętał, że szafirowe oczy Maxa me zawsze były tak nieruchome i bez wyrazu.

- Ktoś z tego wyszedł, Max? - zapytał.

Maxwell oderwał wzrok od Rockie Wexler i nieznacznie potrząsnął głową. Sheridan

popatrzył na niebo, zasnuwane kłębam czarnego dymu. Córka Wexlera z zaciśniętymi ustami wpatrywała się w smugę dymu nad laboratorium ojca.

- Co ci się stało w rękę? - zapytał Max.

- Nic.. Małe draśnięcie. - Sheridan wzruszył ramionami i podszedł do Maxa. Kiedy przystanął obok córki Wexlera, odsunęła się i otarła spocone dłonie.

- Szkoda, że nie zjawileś się tu ze swoją zabawką jakąś godzinę temu.

- Co się tu działo?

- Trzęsienie ziemi. Ekspłodowały dwa helikoptery, a trzeci lata gdzieś z pięćdziesiątką i ładunkiem rakiet. Na pokładzie jest Wexler, kilku najemników i twój kumpel, Conan.

Maxwell przez cały czas obserwował Rockie ale na dźwięk nazwiska Conan spojrzął na Sheridana.

- Jesteś pewny, że to był on?

- Absolutnie.

Sheridan wyciągnął z kieszeni papierosy i zapalniczkę. Zdążył je wyjąć z plecaka Rockie, nim tunel się zawalił.

- Łap, dziecinko.

Rockie złapała wymiętą paczkę papierosów i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Dzięki. Mogłabym pana ucałować... - Ugryzła się w język. - Nie, me mogłabym. Nawet za papierosa.

Za papierosa Sheridan ucałowałby nawet Conana ale się do tego nie przyznał. Kiedy zapaliła, przysunął się bliżej i łapczywie wciągnął dym w nozdrza. Niestety Rockie należała do palaczy, którzy liczą się z niepalącym!. Odeszła na bok i odwróciła się do niego plecami. Za to przynajmniej nie usłyszała ich rozmowy.

- Sądziłem, że rzuciłeś palenie - odezwał się Maxwell.

- Przy takiej robocie chyba znowu zacznę palić.

- Mówiłeś, że cię to nie interesuje. Zmieniłeś zdanie?

- Z powodu TAQ. To Wexler skonstruował tę aparaturę.

W oczach Maxwella nie było śladu zdziwienia.

- Czy to TAQ wywołał trzęsienie ziemi?

- Ona tak uważa. W tej okolicy niewiele trzeba, żeby je wywołać.

- Da się to jakoś sprawdzić?

- Można poszukać w laboratorium. O ile jeszcze coś z niego zostało. Jest też parę innych rzeczy, o których powinieneś wiedzieć. Najemnicy Conana mogli nas powystrelać jak kaczki. A jednak tego nie zrobili. Addisona wyprowadzili z laboratorium na muszce. Conan pracuje dla

faceta, który nazywa się Smith. Myślę, że chcieli porwać dziewczynę, żeby w ten sposób zmusić Addisona do współpracy.

Podjęcie decyzji zajęło Maxwellowi najwyżej dwie sekundy.

- W tej sytuacji musimy się stąd zabierać. Panno Wexler, odlatujemy.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie usłyszę konkretnej odpowiedzi na konkretne pytanie. -

Rockie odwróciła się. Policzki miała wilgotne od łez. - Czy ma pan zamiar pomóc mojemu ojcu?

- Po to tu jestem.

- Dzięki Bo... to znaczy, wspaniale. Nie miałam pojęcia, jak to wszystko opowiedzieć policji. - Rzuciła niedopałek i głęboko wciągnęła powietrze. - Dokąd lecimy?

- Najpierw musimy sprawdzić, co się stało z laboratorium - odpowiedział Maxwell. - Może znajdziemy tam coś, co pomoże wyjaśnić, kto porwał pani ojca i dlaczego.

- Został uprowadzony przez faceta nazwiskiem Smith, który finansował badania związane z budową TAQ. Ojciec nigdy nie widział tego Smitha, zresztą to nie było prawdziwe nazwisko. Kontaktował się z nim przez niejakiego Greera Hanlona. Nie znałam Hanlona, ale raz go widziałam.

- Resztę opowie mi pani po drodze, panno Wexler - przerwał jej Maxwell.

- Proszę mi mówić po imieniu. Na imię mi Rockie.

- A mnie Max. Miło mi.

Lekko skinął głową i podszedł do helikoptera. Rockie ruszyła za nim, z uśmiechem przyglądając włosy.

Sheridan wymownie wzniósł oczy do nieba.

ROZDZIAŁ 7

Addison Wexler kiedyś też miał swój helikopter, zanim nie zderzył się z maszyną należącą do policji federalnej. Używał go, kiedy chciał wyskoczyć do bazy w Twenty - One Palms, gdzie przeprowadzał badania dla marynarki wojennej. Często też zabierał córkę do Los Angeles. Rockie była więc przekonana, że świetnie zna się na helikopterach. Ale tylko do chwili, w której usiadła w fotelu za Sheridanem, zapięła pas i nałożyła słuchawki, a Maxwell uruchomił silnik..

W jednej sekundzie unieśli się nad ziemię i - tak się Rockie przynajmniej zdawało - jak kometa pomknęli w kierunku laboratorium. Silnik pracował bardzo cicho i prawie nie odczuwało się wibracji. Między fotelami widoczny był tylko fragment tablicy rozdzielczej, ale i to, co zobaczyła, przypominało wyposażenie statku kosmicznego.

Przelecieli nad pasmem wzgórz, półkuliście otaczających laboratorium. Kiedy zobaczyła, jak mało z niego zostało, miała ochotę krzyczeć. i przeklinać.

Garaż i mniejsze pawilony zostały zrównane z ziemią. Archiwum i dom ojca padły pastwą płomieni. Ogień tlił się jeszcze w kilku miejscach, a ze szczeliny przecinającej parking wydobywał się dym, czy może para. Ocalał tylko główny budynek. Ocalał, to znaczy miał spękaną północną ścianę, wybite okna i zerwane pół dachu.

To było oficjalne wypowiedzenie wojny. Tam, w dole, leżało w gruzach dzieło życia jej ojca. I pamiątki. po matce, z wyjątkiem tych paru rzeczy, które zabrała do Los Angeles. Może na razie nie umie sobie radzić z helikopterami i bandą najemników, ale się tego nauczy. A jest pojętną uczennicą. Najpierw znajdzie ojca, a potem wytropi Smitha. Zapłaci jej za wszystko, co zrobił.

- Chyba nie ma po co lądować - zabrzmiał w słuchawkach głos Maxwella, kiedy po raz drugi zrobili pętlę nad laboratorium - bez buldożera.

- Ale skoro już tu jesteśmy, możemy się trochę rozejrzeć - uznał Sheridan. - Hej, dziecinko, jak myślisz, gdzie najlepiej szukać, żeby znaleźć coś, co Conan mógł przeoczyć?

- Nie mów do mnie dziecinko - prychnęła Rockie, tłumiąc łzy. - Nie martw się. Wszystko ci pokażę.

- Akurat.

- Jak trzeba będzie, to pokażę.

Sheridan wsunął głowę między fotele. Jego jaspisowe oczy były teraz prawie zielone, a ciemne włosy brudne i zakurzone. Zgubił też swoją czapeczkę. Pewnie gdzieś w połowie drogi między spotkaniem z węzłem i trzęsieniem ziemi, ale nie była w stanie przypomnieć sobie gdzie i kiedy. Za dużo wrażeń jak na jeden raz. Sheridan zresztą też nie wyglądał najlepiej.

- Nie masz odpowiednich kwalifikacji, żeby działać w takich warunkach - powiedział. - A ja mam. - Doprawdy? - spytała Rockie słodkim głosem.

- To kim pan właściwie jest? Nie dość, że nieznośny, to jeszcze szabrownik.

Maxwell roześmiał się. Sheridan i Rockie wymienili groźne spojrzenia. Rockie poczuła, że ma wszystkiego dość. To był naprawdę ciężki dzień. Strzelano do niej i ścigano ją helikopterami, wytrzymała się tak, że bolały ją wszystkie kości, a na domiar złego musiała znosić impertynencje jakiegoś obcego faceta, który co prawda. znał jej ojca, ale go nie cierpiał. Być może miał po temu powody, ale teraz wszystko skrupiło się na niej.

- Jestem inżynierem budowlanym - odpowiedział Sheridan.

- No to co? Nigdy pan nie znajdzie skrytek ojca, chyba że jest pan jasnowidzem. A ja dokładnie wiem, gdzie one są. I najprościej będzie, jak je panu pokażę.

- Ona ma rację - odezwał się Maxwell, nim Sheridan zdążył otworzyć usta.

- Ty tu jesteś szefem. - Sheridan wyprostował się i odpiął pasy. - Daj mi minutę, żebym mógł sprawdzić, czy to, co zostało z dachu, nie zawali nam się na głowę.

- Ale tylko minutę - powiedział stanowczo Maxwell, schodząc do lądowania kilkanaście metrów od laboratorium. - A tak przy okazji, gdzie twój środek transportu?

- Jakies trzydzieści metrów stąd. - Sheridan przypiął do pasa mały akumulator i podłączył do niego słuchawki. - Wynająłem samochód terenowy.

- Ja się tym zajmę. Nie możemy zostawiać żadnych śladów.

- Dzięki. Zaczekaj tu, dziecinko. - Sheridan kopniakiem otworzył drzwi i wyskoczył z kabiny.

- Skręć kark - mruknęła Rockie. Wyplątała się z pasów i właśnie miała pójść w ślady Sheridana, kiedy Maxwell przytrzymał ją za łokieć.

- Sherry wie, co robi - powiedział. - Jest doktorem inżynierii, geologii i sejsmologii.

Zamrugnęła ze zdumienia. Spędziła dość dużo czasu w towarzystwie młodych, obiecujących naukowców, ale Sheridan nie przypominał żadnego z nich. Wyglądał za to na wyjątkowo nieznośnego typu i taki właśnie był. Hollywood roi się od takich facetów.

- Ile miał lat, kiedy poszedł do college'u? Czternaście?

- Dwanaście. - Maxwell uśmiechnął się. - Zrobił też magisterium ze średniowiecznej literatury francuskiej. Niestety, w kontaktach towarzyskich zupełnie sobie nie radzi..

- A kogo to obchodzi? Czy on także gotuje?

Na twarzy Maxwella znów pojawił się uśmiech. Tym razem prawie dosięgnął oczu.

- Tylko w laboratorium.

Rockie mogła zrobić maturę, kiedy miała piętnaście lat, gdyby jej rodzice wyrazili na to

zgode. Jednak nie zrobili tego. Teraz już wiedziała dlaczego. Zaczynała też rozumieć, czemu Sheridan tak bardzo nie lubił jej ojca. Naukowcy nie tylko się nie kochają, ale często wykańczają się nawzajem.

W zamyśleniu popatrzyła w stronę laboratorium.

Sheridan wszedł przez wyrwane drzwi i pomachał do niej. Chciałaby się dowiedzieć, gdzie i kiedy poznał jej ojca. I nadal nie mogła zrozumieć, jak ktoś z jego kwalifikacjami mógł pracować u Maxwella. Nawet

tylko czasami.

- Możesz iść - odezwał się Maxwell. - Pięć minut, Sherry - powiedział do słuchawek.

Sheridan skinął głową. Rockie wyskoczyła z kabiny. Za jej plecami helikopter wzniósł się w powietrze. Nagle poczuła się niewyraźnie. Może Conan krąży gdzieś w pobliżu? Na tę myśl przeszedł ją dreszcz. Szybko podbiegła do budynku. Odłamki stłuczonego szkła chrzęściły jej pod stopami.

- Gdzie jest gabinet Addisona ? - spytał Sheridan, chwytając ją za rękę, kiedy stanęła w progu.

- Na drugim piętrze, obok laboratorium - odpowiedziała zdławionym głosem, rozglądając się wokoło.

Ściany ze zbrojonego betonu, zaprojektowane tak, by mogły znieść trzęsienie ziemi o sile ośmiu stopni, chyliły się ku wybrzuszonej podłodze. Z sufitu ciekła woda, tworząc niewielkie kałuże w miejscach, gdzie zapadła się posadzka. Podczas ostatniej bytności Rockie w laboratorium przez pustynię Mojave przeszło trzęsienie ziemi o sile czterech stopni, ale budynek nawet - nie drgnął. Teraz wydawało się, że jego ściany jęczą z bólu.

Stalowe schody z popękaną poręczą wygięły się w łuk i sprawiały wrażenie, jakby podtrzymywało je tylko powietrze.

- Musimy wejść pojedynczo. - Sheridan pociągnął ją w stronę schodów. - Idź pierwsza i zaczekaj na mnie na górze.

Tym razem wyjątkowo postanowiła się nie sprzeciwić. Skinęła głową, wzięła głęboki oddech i powoli ruszyła na górę. Schody drżały i trzeszczały pod jej stopami. Tam, gdzie było to możliwe, chwyciła się poręczy i podciągała tak, by ominąć fragment zawalonej ściany.

Pobielale dłonie, kurczowo zaciśnięte wokół poręczy, przypomniały jej chwilę, kiedy ojciec po raz pierwszy zademonstrował TAQ. Zobaczyła swoje własne palce, pstrykające w przycisk, który uruchamiał aparaturę. Nagle wyobraziła sobie olbrzymie łapsko Conana, przekręcające gałkę do oporu. Zadrżała i przystanęła, żeby otrzeć spocone dłonie. Za plecami słyszała kroki Sheridana i trzeszczenie schodów.

- Naprzód - powiedział, biorąc ją za łokieć. Weszli do głównej sali. Część strzaskanego stropu leżała na podłodze. W powietrzu unosił się kurz, podświetlony promieniami słońca, wpadającymi przez szczeliny w dachu. Zewsząd tryskała woda.

- Zaczekaj chwilę. - Sheridan puścił ją, ostrożnie przeszedł przez laboratorium i podniósł stalową szafkę, która spadła na sejsmograf. Zdmuchnął pył z wydruku i urwał tyle taśmy, ile udało mu się wyszarpnąć z uszkodzonego urządzenia. Zwinął wydruk i schował go pod koszulę, zapinając ostatnie dwa guziki.

Przeszli do gabinetu ojca. Dywan był mokry, a blat dębowego biurka wypaczony od wilgoci. Monitor komputera, podłączonego do centralnej sieci laboratorium, świecił błękitną poświatą. Sheridan podszedł do

komputera.

- Spóźniłeś się, Smith - przeczytał na głos napis na migoczącym ekranie i podniósł wzrok na Rockie. - Addison musiał wiedzieć, że są na jego tropie.

- Odniosłam takie wrażenie, kiedy rozmawiałam z nim przez telefon - odpowiedziała, sięgając do prawej szuflady biurka. Miała nadzieję znaleźć tam pilota do telewizora.

Wyszukała go pod plikiem związanych gumką starych rachunków bankowych i odetchnęła z ulgą. Na szczęście nie zamókł. Natomiast dwudziestopięciocalowy kolorowy telewizor i aparatura wideo zmieniły się w bryłę stopionego plastiku, nafaszerowaną śrubkami. Wcisnęła na pilocie jednocześnie klawisze STOP i PRZEWIJANIE.

Mały nadajnik, skonstruowany przez jej ojca, uruchomił jedną z płyt dębowej boazerii. Skrytka powinna była otworzyć się powoli, tymczasem odskoczyła od ściany, wypchnięta językiem ognia. Gdyby Sheridan się nie pochylił, oberwałaby mu lewe ucho razem ze słuchawkami. Rozgrzana płyta przeleciała obok jego głowy i z sykiem wylądowała w kałuży, jakieś dwa metry od biurka.

Sheridan podniósł z ziemi mokre słuchawki i zaczął podejrzliwie oglądać ołowianą skrzynkę, przymocowaną do płyty.

- Sprytna sztuczka. Masz jeszcze coś w zanadru?

- Przydałby ci się thorazin. Na paranoję. - Rockie obeszła biurko i przez brudną koszulę podniosła skrzynkę.

- To nie paranoja, dziecinko. Przemawia przeze mnie doświadczenie.

Sądząc po głosie, było to gorzkie doświadczenie. Czy to życie tak mu dopiekło, czy tylko jej ojciec?

Skrzynka parzyła w palce. Rockie postawiła ją na biurku. Sheridan odsunął na bok zmoczone rachunki i rozpostarł taśmę z wydrukiem. Papier był poplamiony, ale suchy. Rockie wcisnęła kolejny klawisz pilota. Wieko skrzynki odskoczyło.

- No, no - stwierdził Sheridan ironicznie - tajemnicza z ciebie osobka.

- Ciągłe mnie pan myli z ojcem, Sheridan. - Rockie znów podniosła skrzynkę przez materiał koszuli. - Ja jestem Rockie. A Addison, to ten Wexler z wąsami.

- Nigdy nie myślałaś o tym, żeby zapuścić wąsy? Może byłoby ci w nich do twarzy.

- Nigdy nie pomyślał pan o tym, żeby się zająć własną osobą? - Rockie wysypała zawartość skrzynki na biurko. Kilka dyskietek z twardego plastiku wypadło na rozłożone papiery. - Jeżeli ojciec zostawił gdzieś jakiegokolwiek notatki dotyczące swojej współpracy ze Smithem, to tylko tutaj. Na tych dyskietkach są jego dzienniki.

Rockie odsunęła skrzynkę i sięgnęła po dyskietki. Sheridan chciał ją uprzedzić. Z płonącymi policzkami odtrąciła jego rękę.

- Mówiłam, że panu pokażę - syknęła.

- Idziemy! - rzucił krótko. Obszedł biurko i zbliżył się do Rockie.

Wściekła, odskoczyła od niego.

- Co pan sobie wyobraża? Przecież gdybym nie miała zamiaru dać panu tych dyskietek, w ogóle bym z panem nie poszła.

- Wcale nie chcesz wiedzieć, co sobie wyobrażam.

- To po co pan mi odpowiada?

- Bo ciągle o coś pytasz. - Sheridan złapał Rockie za łokieć i popchnął ją przed sobą.

Szarpnęła się i w tym momencie poślizgnęła się na mokrej posadzce. Przejechała na pupie przez pół laboratorium i wyrznęła głową o żelazny stół, przywalony fragmentem oberwanego stropu.

Gwiazdy stanęły jej w oczach. Ze zdumieniem stwierdziła, że Sheridan się nie śmieje. Usłyszała jego kroki na mokrym dywanie i dziwny, tykający dźwięk, dobiegający spod stołu.

- Dobrze się czujesz?

- Fantastycznie - odburknęła. Zaciskając zęby z bólu, podniosła się na czworaki i zajrzała pod stół.

Prototyp TAQ mrugał do niej kolorowymi światełkami, przypominającymi oczy pająka. Nagle zamarła z przerażenia. Zdała sobie sprawę, że tykanie nie wydobywa się z TAQ. To była bomba. Duża kulista bomba z zapalnikiem czasowym, podłączona do systemu kontrolnego TAQ. Czerwone, migoczące cyfry wskazywały na monitorze siedem minut.

- Co tam masz? - Sheridan przykleknął obok niej. - Cholera. Prezent od Conana.

- Nie powinien był tego robić. Naprawdę - powiedziała drżącym głosem. - Niech mi pan powie, że umie pan to rozbroić.

- Chciałbym, ale bomby to wizytówka naszego przyjaciela Conana. Jego znak firmowy. To ekspert, prawie geniusz.

Miała ochotę krzyknąć, ale zamiast tego spytała:

- No to co teraz robimy?

- Uciekamy. - Sheridan chwycił ją za kołnierz i postawił na nogi. - Tak daleko i szybko, jak się tylko da w ciągu sześciu minut i dwudziestu czterech sekund.

ROZDZIAŁ 8

Nawet nie pytała Sheridan, jak daleko uda im się uciec. Gdy tylko dotknęła stopami ziemi, pomknęła do drzwi, a potem odpychając się od futryny, wyskoczyła na korytarz.

- Mamy kłopoty, Max - odezwał się Sheridan za jej plecami. - Więcej plastiku niż zazwyczaj. Max? Słyszysz mnie? Max?

Pędząc w kierunku schodów, Rockie spojrzała przez ramię na Sheridana. Potrząsał głową. Ze słuchawek kapąła woda.

- Zamokły - mruknął i zsunął je na szyję. Kiedy stanęli u szczytu schodów, chwycił Rockie za rękę. - Idź pierwsza. Trzymaj się wewnętrznej strony. Będę szedł za tobą.

Ruszyła w dół, opierając się o ścianę. Kiedy Sheridan wszedł na schody, ściana jęknęła. Przeciężenie konstrukcji czy kolejny wstrząs? Odkąd wyszli z laboratorium, upłynęło piętnaście sekund. Zatrzymała się na podeście. Nagle schody zadrżały, a potem zaczęły się chwiać.

Zastygła z zamkniętymi oczyma i dziko łomoczącym sercem.

- Spóźniony wstrząs - usłyszała za sobą głos Sheridana. - Zaczekaj, aż przejdzie.

Odczekała, aż schody przestaną drzeć i doliczyła jeszcze sześć sekund.

- Od tej chwili idziemy osobno. Weź to. - Sheridan odwrócił ją twarzą ku sobie i zawiesił na szyi słuchawki. - Na wszelki wypadek.

- Jaki wypadek? - spytała. Nagle okryła się gęsią skórką. To woda cienką strużką popłynęła jej po plecach.

- Nie bądź głupia. - Sheridan odpiął nadajnik i zaczął go przypinać do paska Rockie. - Ruszaj!

- Bez ciebie nie idę.

Powiedziała to z taką determinacją, że aż sama się zdziwiła. Sheridan też był zaskoczony. Poznała to po nieznacznym ruchu jego brody.

- Nie wciskaj mi kitu. - Wyjął dyskietki i wsunął je Rockie do kieszeni. - No, zjeżdżaj.

Popchnął ją tak mocno, że przeleciała przez podest i rozpaczliwie trzymając się poręczy, zsunęła się z ostatnich dziesięciu stopni, lądując u wylotu korytarza na niższym piętrze. Ledwie postawiła stopę na pewnym

gruncie, dobiegł ją kolejny grzmot.

Rockie nie słyszała dotąd odgłosu pękających stalowych dźwigarów, ale teraz była pewna, że ten przenikliwy metaliczny trzask to właśnie to. Zrozumiała też, że Sheridan nie miał najmniejszych szans. I że musiał o tym wiedzieć, kiedy dawał jej słuchawki i dyskietki.

- Skacz - krzyknęła, odwracając się w stronę schodów, które nagle zaczęły się walić z przerażającym hukiem.

Sheridan skoczył z ramionami rozpostartymi jak Superman. Podczołgała się do samej krawędzi, żeby go złapać. Kiedy przeleciał obok niej, objając się o ściany, zacisnęła dłonie na jego nadgarstkach, zahaczając prawą stopą o krawędź zwałonego muru. Gdyby tego nie zrobiła, pociągnąłby ją za sobą.

Wisiał teraz nad dziesięciometrową przepaścią i rozpaczliwie usiłował znaleźć oparcie dla stóp. Mięśnie ramion i karku miał twarde jak kamień. Z góry posypał się na nich pył, dusząc ich i oślepiając.

Rockie zacisnęła zęby, tłumiąc krzyk. Ból wrywanych rąk był nie do zniesienia.

- Puść mnie - wysapał. - Nie masz na to dość siły.

- Nie! - Wyślizgiwał jej się, ale nie mogła, nie chciała go puścić. - Jeszcze trochę, Sheridan. Wexlerowie nigdy się nie poddają.

Uniósł brodę i popatrzył na nią. Dyszał ciężko, jakby każdy oddech sprawiał mu ból. Pod grubą warstwą pyłu jego twarz była zupełnie szara. Nadgarstki miał mokre i śliskie od potu. Rockie chwyciła go za koszulę i zaczęła podciągać do góry, ale zdołała tylko unieść go na tyle, że znaleźli się twarzą w twarz.

- Puść mnie i uciekaj stąd - wyszeptał bez tchu.

- Ani mi się śni!

- Jesteś jeszcze bardziej nieznośna niż ja - wychrypiał. - Lubię takie kobiety.

I wtedy ją pocałował. Tak dziwnie, trochę z boku i w zęby, właśnie kiedy po raz kolejny próbowała go podciągnąć. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. I nie chodziło tylko o ten niespodziewany pocałunek, ale o rękę, która nagle pojawiła się jakby znikąd i zacisnęła wokół nadgarstków Sheridana. Tę samą wielką łapę, która usiłowała dosięgnąć ją przez okno w samochodzie.

- Pozwólcie, że ja to zrobię.

Rockie z okrzykiem przerażenia osunęła się na ziemię. Conan bez wysiłku wciągnął Sheridana na podest, a potem cofnął się i chwycił za rękojeść uzi.

Ręce miał czyste, a jego kombinezon nie był nawet pognieciony. Jak ten człowiek to robił?

- Chyba powinienem panu podziękować. - Sheridan wyprostował się i ciężko dysząc, przycisnął lewą rękę do klatki piersiowej. Ból połamanych żeber chwilami był nie do zniesienia.

- Witam, doktorze Sheridan - powiedział Conan.

- Skąd pan wie, jak się nazywam?

- Ależ doktorze Sheridan, niech pan nie będzie głupi.

Ten człowiek zachowywał się tak, jakby wszystko widział i słyszał. Rockie nie miała

pojęcia, skąd się wziął i jak długo już tu był, ale dobrze wiedziała, po co przyszedł: po dyskietki, które miała w kieszeni. Zaczęła powoli czołgać się do drzwi. Słuchawki dzwoniły jej wokół głowy.

- Wystarczy, panno Wexler. - Conan popatrzył na nią i lufą wskazał Sheridana. - Proszę tu podejść. Musi pani podjąć decyzję.

Rockie zawahała się, licząc sekundy. Straciła już rachubę czasu, ale wydawało jej się, że musiały minąć jakieś dwie minuty. Teraz zastanawiała się, ile sekund dzieli ją od drzwi, a ile od salwy, którą Conan za nią pośle. Ile...

- Nigdy się to pani nie uda - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Strzelanie do pani nie sprawi mi najmniejszej przyjemności, ale daję słowo, że to zrobię.

Nie było powodu mu nie wierzyć. Wstała i z opuszczoną głową podeszła do Sheridana. Patrzyła na migoczące światełka nadajnika zawieszzonego przy pasku. W słuchawkach znowu rozległ się cichy trzask. Conan nie zwrócił na to uwagi, natomiast Sheridan tak, bo kiedy do niego podeszła, wysunął się do przodu, żeby ją zasłonić.

- Chwileczkę! - Z kieszeni na piersiach Conan wyjął mały nadajnik i nacisnął klawisz. - Zatrzymałem zegar w laboratorium. Wskazywał trzy minuty i dwanaście sekund. Teraz mamy mnóstwo czasu, choćby do końca świata.

Rocxie zadrżała. Może Conan miał mnóstwo czasu, ale ona i Sheridan tylko tyle, ile zamierzał im podarować. Bomba jeszcze tykała, kiedy ją znaleźli, czyli Conan musiał zjawić się przed chwilą. Miała nadzieję, że nie zauważył ich helikoptera i był przekonany, że są sami.

Minęły już dwie minuty i trzydzieści pięć sekund. Wkrótce upływa czas, jaki dał im Maxwell. O Boże, spraw, żeby po nich przyleciał i żeby. ciche trzaski wydobywające się ze słuchawek oznaczały, że słuchawki wysychają, a nie wysiadają do reszty. I żeby Maxwell mógł usłyszeć, co się tu dzieje.

- Ma pani dwie możliwości, panno Wexler - odezwał się Conan. - Albo wyda mi pani dyskietki i doktora Sheridana, albo pani tego nie robi i sama ze mną pójdzie.

- Sheridan? - Rockie osłupiała. - A co on ma z tym wspólnego?

- Nie zadawaj głupich pytań. - Sheridan sięgnął do jej kieszeni. - Daj mi te dyskietki.

- Nie! - Rockie położyła rękę na piersi. - Dlaczego on chce pana zabrać?

- A co to za różnica? - Sheridan wzruszył ramionami. - Zostaw dyskietki i znikaj.

- Jestem pewna, że on nas stąd nie wypuści - upierała się Rockie.

- Ależ panno Wexler, jestem człowiekiem interesu, a nie oszustem - odezwał się Conan. - Powiedziałem, że wypuszczę jedno z was, i zrobię to. Ale tylko jedno z was. Jeżeli pani ze mną nie pójdzie, a pani ojciec nadal będzie odmawiał współpracy, wiedza doktora Sheridana może

się okazać bezcenna. On też zna aparaturę TAQ.

- Jak to? - Rockie wbiła wzrok w Sheridanana. Odwrócił głowę, zaciskając usta.

- Więc ojciec nic pani nie mówił? - Conan udał zdziwienie. - To doktor Sheridan skonstruował aparaturę TAQ. A doktor Wexler tylko mu ją ukradł.

Rockie olśniło. W nagłym przeblysku pamięci uświadomiła sobie, gdzie i kiedy po raz pierwszy usłyszała nazwisko Sheridan. Wymienili je asystenci ojca, Jennifer Phillips i Rodney Web ster, szepcząc nad stołem, zarzuconym jakimiś częściami. Teraz domyśliła się, że to były elementy TAQ.

- Spotkałam Sheridanana na sympozjum, poświęconym systemom wczesnego wykrywania drgań sejsmicznych - mówiła Jennifer. - Porzucił już badania nad aparaturą TAQ, kiedy się przekonał, że jest zawodna i niebezpieczna.

- Sheridan nie jest szaleńcem - odpowiedział Rodney. - To odpowiedzialny naukowiec, czego nie da się powiedzieć o Wexlerze.

- Nie wolno nam dopuścić by Wexler skonstruował to urządzenie, Rod. Sheridan pracował kiedyś dla niego. Mówi, że...

- Kiedyś... A my pracujemy dla niego teraz. Nie kłó się, która podpisuje twoje czeki, Jen.

Urywek zasłyszanej kiedyś rozmowy nie był jeszcze wystarczającym dowodem, podobnie jak słowa Conana. Ale stężała twarz Sheridanana powiedziała jej wszystko. Stał z zaciśniętymi powiekami, a na jego szyi wykwitły krwiste plamy. Potem otworzył oczy. Była w nich mordercza furia.

- Chętnie wbiłbym ci te twoje przekłute zęby w gardło, Conan - powiedział, zaciskając pięści.

- Niech pan zaryzykuje, doktorze Sheridan.

- Nie jesteś wart ryzyka, że przebiję sobie płuco.

Honlan uśmiechnął się szeroko i wycelował broń w Rockie. Przestraszona, odsunęła się, czując, że jej lewa stopa ześlizguje się w przepaść. Serce głucho załomotało w piersi. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Nie ma sprawy, panno Wexler - odezwał się Conan. - Ja zadecyduję. Ponieważ mam poważne wątpliwości, czy doktor Sheridan zechce z nami współpracować, wybieram panią.

- Nie mylisz się, Conan. - Sheridan kaszlnął i zgiął się wpół, walcząc o oddech, z ręką przyciśniętą do boku.

- Żadne z nas nie jest wam potrzebne - odezwała się Rockie. - Macie drugi prototyp. Wystarczy go rozmontować.

- Myślałem o tym, ale doktor Wexler też na to wpadł. Zainstalował mechanizm autodestrukcyjny. Nie znając kodu, ma się po zdjęciu pokrywy dokładnie trzy sekundy na rozbrojenie mechanizmu.

Nie musiał Rockie mówić, że kod jest na dyskietkach.

Podpowiedział jej to zdrowy rozsądek i wzrok Sheridanana, kiedy się wreszcie wyprostował, blady jak kreda.

- Masz! - Rockie wyjęła dyskietki z kieszeni i zwróciła się do Conana. - Weź je sobie. Są twoje.

- Gdyby to ode mnie zależało, panno Wexler, wziąłbym je i z przyjemnością bym się stąd ulotnił. Ale mój pracodawca uważa, że zawsze należy się zabezpieczyć. - Conan spojrział na Sheridanana. - Proszę do mnie, doktorze.

- Puść go albo je wyrzucę - Rockie wyciągnęła rękę z dyskietkami nad pusty szyb klatki schodowej. - Bóg mi świadkiem, że to zrobię, Conan.

Odwrócił głowę i spojrział na nią. Resztki dziennego światła, wpadające przez szczelinę w dachu, oświetliły jego twarz, z której nagle zniknął wiecznie obecny uśmiech.

- Niech się pani dobrze rozejrzy, panno Wexler. To tylko mała próbka tego, co spotyka ludzi, którzy zdenerwują mojego pracodawcę. Kładzie pani na szali życie - swoje i ojca.

- Mój ojciec podjął to ryzyko, kiedy wziął od Smitha pieniądze - odpowiedziała drżącym głosem. - Może za późno zdał sobie z tego sprawę, ale kiedy to zrozumiał, zrobił wszystko, żeby te dyskietki nie wpadły w ręce Smitha. Zostawił je dla mnie, więc ja zdecyduję, co z nimi zrobić. Nie oddam ich nikomu kto chciałby użyć TAQ w zbrodnym celu. Nie po to został skonstruowany.

- Ależ oczywiście, że po to. - Uśmiech powrócił na twarz Conana. - I pani ojciec o tym wiedział.

- Odczep się! - ryknęła Rockie. - Możesz mi wciskać kłamstwa i mierzyć do mnie z uzi. Jestem już wystarczająco przerażona. Więcej mnie nie przestraszysz.

- Doprawdy? - Conan wyjął przełącznik i kciukiem dotknął klawisza. - Obawiam się, że doktorowi Sheridanowi nie uda się stąd wydostać w trzy minuty i dwanaście sekund. Zwłaszcza że ma połamane żebra. Niech pani będzie rozsądna, panno Wexler. Proszę schować dyskietki do kieszeni, a pozwolę mu stąd wyjść.

- Nie rób tego! - powiedział Sheridan. - Wyrzuć je.

- Będę go musiał, wtedy zastrzelić - ostrzegł Conan.

Rockie wstrzymała oddech. A jeżeli Conan straci cierpliwość i zastrzeli ich oboje?

Dym, który napływał gdzieś z dołu, zaczął się robić gorący. Oczy Sheridanana załśniły

gorączkowym blaskiem. Miała nadzieję, że to coś więcej niż tylko ból i szok. Może rozważał jakiś szaleńczy plan, jak ocalić ich oboje? Może jej się tylko zdawało, że czuje jakieś wibracje? Zerwała się na nogi. Serce waliło jej jak młotem. To absurd. To nie może być prawda. Sheridan by coś usłyszał. I Conan też...

Nagle Conan skoczył w stronę wyrwanych drzwi.

Tak nagle, że omal nie upuściła dyskietek. Między spękanyymi ścianami dostrzegła helikopter, który krążył wokół budynku niby gigantyczna osa.

- Teraz ja spróbuję cię nastraszyć - odezwał się Maxwell przez głośnik. - Co wolisz? Rakietą w bebechy czy kulę między oczy?

Conan zachichotał. Rockie przykucnęła, wstrzymując oddech i sięgnęła po odłamek pokruszonej ściany. Chciała nim cisnąć w Conana, ale Sheridan był szybszy. Wyrzucił nogę do tyłu, trafiając Conana w pierś. Wytrącił mu z ręki broń, ale nie nadajnik.

Karabin ze szczękiem poszybował w powietrzu i wylądował na mokrej posadzce. Rockie skoczyła, żeby go złapać, i potknęła się, rozcinając sobie brodę o stłuczone kafelki. Prawie nie odczuła bólu. Podniosła karabin. Sheridan kopnął jeszcze raz. Conan złapał go za kostkę i mocno odepchnął.

Zdążył jeszcze skrzyżować ręce, ale i tak wylądował na piersiach, z impetem, który pozbawił go resztek tchu. Conan rzucił się w stronę Rockie. Podniosła uzi i wycelowała w niego. Ręce jej drżały. Zatrzymał się i uniósł w górę nadajnik tak, żeby i ona, i Maxwell mogli go zobaczyć.

- Zabawa skończona, panno Wexler. Niech pani naciśnie spust.

Zgięła palec, wstrzymała oddech i... nie była w stanie tego zrobić. Mimo że porwał jej ojca i zniszczył laboratorium, po prostu nie mogła do niego strzelić.

Sheridan jęknął, potrząsnął głową i spróbował się podnieść. Conan popatrzył na niego, potem na helikopter lądujący przed laboratorium, w końcu utkwiał wzrok w Rockie.

- Niech się pani pospieszy. Macie tylko trzy minuty i dwanaście sekund.

Potem uśmiechnął się, wcisnął klawisz nadajnika i zsunął się w głąb szybu.

ROZDZIAŁ 9

To nie uśmiech Conana prześladował Rockie. Również nie szarpiący płuca kaszel Sheridan. Także nie wspomnienie falującej pod stopami ziemi, kiedy z Maxwellem ciągnęli Sheridan do helikoptera. Nawet nie gigantyczny wybuch dwie minuty sześć sekund i dziesięć kilometrów od ich startu.

To głód nikotyny musiał sprawić, że wciąż dygotała, choć lekarz pogotowia dawno już zabrał Sheridan na rentgen, a jej założył cztery szwy na podbródku. Dopiero gdy Maxwell wynajął dla nich pokoje w najelegantszym hotelu w Barstow i wreszcie mogła się wyciągnąć w wannie, obolała i wyczerpana, przed oczami stanął jej diabolicznie uśmiechnięty Conan.

Wciąż zadawała sobie pytanie, co oznaczał błysk w jego oczach, zanim zsunął się w głąb szybu. Cień tego błysku dostrzegła w spojrzeniu Sheridan, kiedy następnego ranka stanęła w progu jego izolatki. Patrzył tak może przez sekundę, a potem uniósł głowę, zobaczył Rockie i uśmiechnął się.

Kiedy przypomniał sobie, kim jest jego gość skrzywił się i powiedział:

- Odejdź. Nie widzisz, że umieram?

- Nie składa się obietnic bez pokrycia. - Rockie zatrasnęła za sobą drzwi. - Również nie umiera się od dwóch złamanych żeber i zadraśniętej przepony.

- Chcesz się założyć? - Sheridan wsunął rękę pod koc i odsłonił tors.

Na jego muskularnej, pokrytej gęstym, ciemnym włosom klatce piersiowej krzyżowały się szwy, blizny i krwawe bruzdy.

- Coś panu przyniosłam. - Rockie podeszła do łóżka i wręczyła mu plastikową torbę. - No, dalej - powiedziała, kiedy Sheridan zaczął się jej podejrzliwie przyglądać - to nie bomba.

- Bardzo śmieszne. - Otworzył torbę i wyjął czapkę baseballową Chicago Cubs z granatowej wełny. Dokładnie taką, jaką noszą zawodowi gracze. Identyczną z tą, którą zgubił.

Nie wiedział, co powiedzieć. Był przyzwyczajony do Wexlerów, którzy biorą, a nie dają. Pogładził palcami daszek i spojrzał na Rockie.

Czemu nie zdziwił go jej motocyklowy strój? Miała na sobie czarną, skórzaną kurtkę z tyłoma suwakami, kieszonkami i łańcuszkami, że mogłaby zakasować tuzin Hell's Angels. Biodra opinała jej skórzana spódniczka mini. Końce szwów, wystające spod plastra na podbródku Rockie, były jaskrawożółte, podobnie jak jedwabna koszula.

Jak na tak drobną osóbkę miała wyjątkowo długie nogi. Smukłe i kształtne, w czarnych pończochach i jaskrawożółtych skarpetach, zrolowanych wokół kostek. Skórzana pachtworkowa torba objęła jej się o biodro.

- Co ja widzę? - Sheridan uniósł się, żeby się jej lepiej przyjrzeć. - Szybko się pozbierałaś.

Rockie odwróciła się na pięcie i uniosła stopę w wypolerowanym czarnym bucie.

- Podobają ci się moje buty?

Sheridan nie widział takich butów od dnia, w którym bezboleśnie rozstał się z Marynarką Stanów Zjednoczonych. Nigdy też nie przypuszczał, że wojskowe buty mogą być eleganckie czy też seksowne.

- Czy to taka moda, czy po śniadaniu zdążyłaś się zaciągnąć do wojska?.

- Po śniadaniu Max zabrał mnie na zakupy. To on kupił mi te buty. I ten strój, i kilka innych ubrań, i...

Czapeczkę beseballową. Nie powiedziała tego, ale jej palce zaczęły skubać łańcuszek w kłapie kurtki. Odwróciła się i zrobiła kilka kroków w stronę drzwi.

- Zaczekaj! - Sheridan włożył czapeczkę na głowę.

- Dzięki. To miło z twojej strony, że o mnie pomyślałaś.

Źle się wyraził. To nie było miłe, raczej niepokojące.

Rockie nie miała zamiaru mówić Sheridanowi że rozmyślała o nim i o ojcu przez całą noc. Bezsenną noc - bo była zbyt zmęczona, żeby zasnąć, a bała się nawet zamknąć oczy, żeby nie zobaczyć uśmiechu Conana. Nigdy więcej nie chciała go widzieć. Nawet w nocnych koszmarach.

Nie chciała też, żeby puls bił jej szybciej, ilekroć spojrzy na Sheridana, ale tak się niestety działo. Wydawał jej się piekielnie przystojny, kiedy tak leżał umyty i ogolony. Nie zauważyła tego wczoraj, pod warstwą brudu i potu, pokrywającą jego twarz. No, może raz albo dwa... Sheridan miał ciemne i długie włosy, lekko wijące się za uszami i na karku. Promienie słońca wyzwalają w nich rudawe refleksy. Nos był prosty, a podbródek mocny i zdecydowany.

Sheridan przyglądał się Rocie z zaciśniętymi ustami, jakby sam nie wiedział, co ma o niej sądzić.

- Było mi miło - powiedziała.

Tym razem jej ton nie był zaczepny. Stała przyglądając włosy, zwilżone lśniącem żelem i ułożone w sztywne loczki nad czołem i za uszami. Sheridan wiedział o niej niewiele ponad to, że była córką Addisona Wexlera, ale uznał, że trzeba mieć nie lada odwagę, żeby się malować jak Liza Minnelli, ubierać jak Schwarzenegger i czesać jak pudel.

Rzecz w tym, że chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

Na przykład tego, jak to jest, kiedy się ją całuje w usta, a nie w zęby. Chyba rzeczywiście nie był przy zdrowych zmysłach.

.. Znaleźliśmy się na pierwszych stronach gazet. - Wyciągnęła z torby gazetę i podeszła do łóżka. - No, może nie my, ale trzęsienie ziemi.

Podala mu gazetę, usiadła na stojącym obok łóżka wózku inwalidzkim, rzuciła torbę i

założyła nogę na nogę. Z daleka jej spódniczka wydała mu się najkrótsza na świecie, teraz stwierdził, że otulała ją jak skórka banana.

Sheridan zgiął kolano i oparł o nie gazetę. Nagłówek brzmiał: „Trzęsienie ziemi o sile sześciu stopni na pustyni Mojave”. Tyle tylko był w stanie przeczytać bez swoich profesorskich okularów, w najohydniejszej pod słońcem rogowej oprawce, a wszystko po to, żeby na wykładach wyglądać jak najstarzej.

- Ach, byłabym zapomniała - mruknęła Rockie.

Podniosła torbę, pogrzebała w niej i wyjęła futerał na okulary. - Max znalazł to w pańskim samochodzie. - Dziękuję - powiedział. I tobie też, Max, pomyślał z goryczą. Wsadził na nos okulary i czekał, kiedy Rockie wybuchnie śmiechem.

- Jest pan dalekowidzem?

- Tak. - Sheridan spojrzał na nią znad gazety. Nie śmiała się ani nawet nie uśmiechała. Patrzyła tylko na niego z lekko przechyloną głową. - Skąd wiesz?

- Wczoraj, na wzgórzach, nie używał pan lornetki. Jest znacznie bardziej bystra niż jej stary, zdecydował Sheridan. Miał uczucie, że to się jeszcze może przydać.

- Nic nie piszą o rozbitych helikopterach - powiedziała, kiedy Sheridan przejrzał artykuł.

- Nie ma żadnej wzmianki o zwłokach w laboratorium.

- Za to piszą - Sheridan zacytował fragment artykułu: - „Pracownicy twierdzą, że doktor Addison Wexler wyjechał wczoraj w teren na dłuższy czas”. Upłynie kilka dni, nim gliny zaczną coś podejrzewać.

- Chodzi mi o Conana - wyjaśniła cicho Rockie.

Sheridan odłożył gazetę. Oczy Rockie znów stały się podejrzanie duże i szkliste.

- Mogą nigdy nie znaleźć wystarczająco wiele szczątków, żeby z nich złożyć człowieka. - Myśli pan, że on nie żyje?

- Nie wyobrażam sobie, żeby mógł przeżyć.

Rockie też wolała sobie tego nie wyobrażać. Jednak wciąż dręczyło ją jakieś przecucie, złe przecucie, które spraw - o, że. wstrząsnął nią zimny dreszcz. Opuściła głowę i przyjrzała się swoim dłoniom, kurczowo zaciśniętym na kolanach. Kostki miała zupełnie białe. Rozluźniła palce i przyglądała się, jak powoli wraca im kolor.

Sheridan też patrzył na jej ręce i zastanawiał się, czemu jej ramionami raz po raz wstrząsa dreszcz.

- Gdzie jest Max? - zapytał.

- Wypisuje pana ze szpitala. Mówi, że musimy zamknąć z Barstow, zanim gliny zaczną

coś węszyć. A tak przy okazji - ja to nie ja. Max uważa, że lepiej ukryć Rockle Wexler na wypadek, gdyby kręciły się tu jakieś typy od Smitha. Jestem pańską narzeczoną, Susie Wakefield. A pan się nazywa Phil Bevarly. Max to pański brat, Don. Ugrzęźliśmy na pustyni w czasie trzęsienia ziemi.

- „Wake Up Little Susie” - zanucił Sheridan. - Śpiewali to bracia Everly, Don i Phil. Pierwsze miejsce na liście przebojów, październik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt siedem.

- Więc jesteś fanem rock and rolla? - spytała. - A ja podejrzewałam o to Maxa.

- On lubi jazz.

- Taak. - Rockie skrzywiła się na widok Maxa, który wszedł do pokoju w towarzystwie pulchnej blondynki. Pod pachą niósł podróżną torbę Sheridana.

- Cześć, Phil! - powiedział, rzucając torbę na łóżko. - Jak tam twoje zębra?

- Bolą jak diabli, Don.

- Pomogę się panu ubrać. Chyba że pani to zrobi? - Pielęgniarka spojrzała na Rockie.

- Nie! - Rockie poderwała się z krzesła. - To znaczy... czekamy na noc poślubną.

- Jakie to wzruszające - zauważyła pielęgniarka. Ja bym tam nie czekała, można było wyczytać w spojrzeniu, jakim obrzuciła Sheridana, sięgając po jego rzeczy. Sheridan uśmiechnął się. Rockie chwyciła swoją torebkę i wyszła razem z Maxwelllem.

- Idę na dwór, na papierosa - oznajmiła, naciskając guzik, żeby przywołać windę.

Maxwell złapał ją za rękę.

- Sama nigdzie nie pójdziesz!

- Och, tak. Masz rację. Zapomniałam - odparła z zakłopotaniem.

Max protekcyjnie poklepał ją po ramieniu i podszedł do wiszącej na ścianie tablicy, żeby przeczytać notki o najświeższych osiągnięciach medycyny. Rockie wyjęła z torby papierosy, które kupił jej tego ranka, podsunęła paczkę pod nos i zaczęła głęboko oddychać, aż zakręciło jej się w głowie od zapachu mentolu.

Wolała już to niż zawroty głowy na samą myśl, że miałyby dotknąć mężczyzny, który jej nie lubi i który uważa, że dzieci odpowiadają za grzechy ojców.

Zacząła też mieć złe przeczucia co do współpracy ojca ze Smithem, chociaż wciąż wierzyła, że ojciec nie miał pojęcia o planach Smitha, dotyczących T AQ, a kiedy wszystko zrozumiał, było już za późno.

A tak w ogóle, sama już nie wiedziała, w co ma wierzyć i komu. Może to jakiś błąd i czarna niewdzięczność, ale nie mogła nic na to poradzić. Odkryła już, co łączyło jej Ojca z Sheridanem, ale nie miała pojęcia, jaką rolę pełnił w tym wszystkim Maxwell. W każdym razie na pewno był kimś więcej niż tylko tymczasowym pracodawcą Sheridana.

Kiedy wrzucała papierosy do torby, podchwyciła spojrzenie Maxwella. Nie odwrócił wzroku nawet kiedy podeszła do niego i spytała:

- Czy mój ojciec ukradł Sheridanowi TAQ?

Nie odpowiedział od razu, tylko wciąż na nią patrzył. Żeby chociaż zamrugnął, ale nie. Zaczynała się do tego przyzwyczajać, ale ta pustka w jego oczach była deprymująca.

- Sądzę - odezwał się wreszcie - że powinnaś zapytać o to Sheridana albo twojego ojca.

- Jeżeli Conan o tym wiedział, to ty chyba też.

- Conan. - Coś jakby drgnęło w nieruchomych oczach Maxwella. - Skąd wiesz, że mówił prawdę? - Sądząc po reakcji Sheridana - chyba tak.

No to po, co mnie pytasz? - Maxwell obdarzył ją uśmiechem równie martwym, jak jego spojrzenie i znów zaczął studiować informacje na tablicy.

Bo me ufam ani tobie, ani Sheridanowi, pomyślała Rockle. Nawet nie jestem już pewna, czy wierzę własnemu ojcu. Nie musiała tego mówić, bo Maxwell dał jej wyraźnie do zrozumienia, że jest tego świadom.

A więc, skoro im nie wierzyła, co tu w ogóle robi, zamiast od razu poszukać telefonu i zadzwonić na policję? W głowie miała kompletną pustkę. Dręczył ją uporczywy ból głowy, rezultat bezsennej nocy i zszarganych nerwów.

Kiedy Sheridan pojawił się wreszcie w nowej czapeczce, czystych dżinsach i podkoszulku, każdy jej nerw domagał się papierosa.

Sheridan czule ujął ją za rękę. Poczła gorący dreszcz - najpewniej dowód nieczystego sumienia. Jego palce lekko drżały, ale złożyła to na karb osłabienia, a może chciał jej dokuczyć.

Grał komedię przed pielęgniarką, która odprowadzała ich wzrokiem, kiedy szli do windy. Ale przed Maxwellem, ale nie udało mu się go oszukać, bo kiedy winda stanęła na ich piętrze, wszedł do kabiny i wymownie popatrzył na Sheridana.

- Zaczekajcie chwilę. Podprowadzę samochód i wezmę wózek.

- Sama się na nim przejeżdż, ciociu Maxwell - mruknął Sheridan, kiedy drzwi windy się zamknęły.

- Och, proszę państwa - w holu pulchna blondynka położyła słuchawkę obok telefonu i wyszła do nich zza biurka - czy mają państwo trochę czasu?

- A o co chodzi? - Sheridan znacząco ścisnął Rockie za rękę.

- Nic takiego - odpowiedziała z uśmiechem.

- Mam tu na linii sierżanta Cummingsa. Chciałby z państwem porozmawiać o trzęsieniu ziemi i o plecaku, który znaleźli na pustyni. Mówi, że może tu przyjechać za jakieś pięć minut. Chce...

- Niech mu pani powie, że zaczekamy - przerwał jej Sheridan, kiedy drzwi windy rozsunęły się ponownie.

- Mój brat Don poszedł po samochód. Uprzedzimy go i zaraz wracamy.

Wepchnął Rockie do pustej windy, nacisnął guzik PARTER i zaklął cicho przez zęby.

- Chyba nie będziemy na niego czekać? - spytała Rockie.

- Jasne, że nie. Znikamy stąd.

- Czy to nie będzie podejrzane, jeżeli z nim nie porozmawiamy?

- Już jesteśmy podejrzani. Jeżeli chodzi o dokumenty Dona i Phila Bevarly - są w porządku. Posługiwaliśmy się nimi wcześniej. Ale nie mamy nic prócz naszego słowa na potwierdzenie faktu, że Susie Wakefield to ty. Szpital mógłby nas oskarżyć o podanie fałszywych danych.

- Mieliśmy powody.

Zabrzmiało to wyjątkowo głupio. Jak mogła coś takiego powiedzieć? Sheridan popatrzył na nią z wyrzutem.

- Powiedz to glinom. Jeżeli natrafili na twój plecak, to prawdopodobnie znaleźli też helikoptery. I zwłoki ośmiu ludzi. Na pewno będą chcieli wiedzieć, czemu tego nie zgłosiliśmy.

- Chyba tak.

- W twoim plecaku był pistolet. Masz pozwolenie na broń?

Rockie skinęła głową i zamrugła.

- Jeżeli dotąd tego nie zrobili, sprawdzenie numerów i ustalenie, że pistolet jest własnością córki Addisona Wexlera, nie zajmie im zbyt wiele czasu.

Wexler zniknął, jego laboratorium zmieniło się w kupę gruzów, ośmiu facetów nie żyje, a ty byłaś w pobliżu i miałaś broń. Są jakieś pytania?

- Tylko jedno. - Rockie podniosła na niego wzrok. - Czy kiedy wyleczysz sobie żebra, będę cię mogła rąbnąć Z całej siły w żołądek?

- Możesz mnie rąbnąć teraz. - Sheridan dotknął palcem podbródka, - O, tu.

- Poczekam - powiedziała, wysiadając Z windy. - Chcę mieć pewność, że ugodzę cię tam, gdzie najbardziej boli.

- Możesz mi wierzyć albo nie, moje dziecko - westchnął za jej plecami Sheridan - ale już to zrobiłaś.

ROZDZIAŁ 10

Maxwell o wszystkim ją uprzedził. Mimo to na widok swojego splądrowanego mieszkania przeżyła szok. Stała w progu i patrzyła na pobojowisko, kurczowo zaciskając pięści. Była wściekła i chciało jej się płakać, ale powstrzymała się od łez.

- Gdybym był Conanem, porwałbym ciebie i Addisona jednocześnie, żeby się zabezpieczyć - mówił jej Maxwell, kiedy wynajętym samochodem jechali do Los Angeles. - Uratowałam się tylko dlatego, że wyjechałaś do ojca.. Chłopcy Conana na pewno nie byli zachwyceni, że Cię nie zastali. Z pewnością zostawili ci wiadomość. Musimy ją odnaleźć, choć to może nie być łatwe.

Po raz drugi w ciągu tej samej doby Smith brutalnie wtargnął w jej życie. Rockie przysięgła sobie, że to był ostatni raz.

Sheridan zdążył już sprawdzić łazienkę i sypialnię, skończył przeszukiwać kuchnię i teraz wszedł do salonu, przeskakując nad szczątkami chińskiej za stawy. Rockie i Max stali w progu. Jej zaciśnięte pięści były białe, a oczy szeroko otwarte.

- Teren jest czysty - powiedział Sheridan. - Nie ma podsłuchu ani ładunków wybuchowych.

Szczerze mówiąc, był tym zaskoczony. Po wczorajszym dniu spodziewał się na powitanie co najmniej jednego prezentu od Conana. Patrzył teraz, jak Rockie krąży po mieszkaniu, a jej wzrok ślizga się po połamanych meblach, poprzewracanych stołach, potłuczonych lampach i zniszczonych książkach. Usta miała zaciśnięte.

Sheridan podszedł do barku, który oddzielał kuchnię od salonu, podniósł białą słuchawkę w stylu Art Deco i wsłuchał się w sygnał.

- Nie jest odłączony. Dziwne, że to przeoczyli.

- Może wcale nie przeoczyli - odpowiedział Maxwell, a potem zwrócił się do Rockie:

- Gdzie mogę znaleźć administratora?

- Pani Riley mieszka w klatce ID, wejście od tyłu.

- Wątpię, czy coś słyszała, ale ją spytam. Spakuj wszystkie potrzebne rzeczy do jednej walizki. - Wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu i wręczył je Rockie. - Włóż torbę do bagażnika. Spotkamy się przy samochodzie.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

- Potem ci powiem. - Maxwell mrugnął do Sheridana, żeby nie zostawiał Rockie, a sam wyszedł.

Rockie schowała kluczyki do kieszeni i zapięła kurtkę.

- Dlaczego nagle zrobił się taki tajemniczy? - spytała.

- Wcale nie nagle. - Sheridan odłożył słuchawkę i odsunął się od barku. - On zawsze jest tajemniczy.

- Wiesz, dokąd jedziemy?

- Nie mam pojęcia.

Jeszcze raz omiotła wzrokiem pokój.

- Jak myślisz, czego szukali?

Przez moment chciał ją okłamać, ale potem zmienił zdanie. Czas się przekonać, ile ta dziewczyna jest w stanie znieść i co ją w końcu załamie.

- Niczego. Nie zrobili tego przy okazji, ponieważ już tu przyjechali, licząc na to, że coś znajdą. Oni chcieli cię nastraszyć i pokazać ci, z kim masz do czynienia.

- Zrobiłeś kiedyś coś podobnego?

Owszem, raz. Kiedy przeczytał wzmiankę o tym, że Addison Wexler dostał Nagrodę Nobla. Zdał sobie wtedy sprawę, że jego podejrzenia to coś więcej niż tylko podejrzenia. Kiedy odłożył gazetę, zdemolował cały dom.

- Nie - skłamał.

Rockie lekko uniosła brwi. Nie wierzyła mu i trudno ją było o to winić.

- Jak bardzo chcą mnie nastraszyć? Tak, żebym

sama się rzuciła w ramiona Smitha? - Prawdopodobnie.

- To im się nigdy nie uda.

Zobaczymy, pomyślał Sheridan. Zdążył się już przekonać, że jest uważna. Wiedział również, że potrafi działać bez zastanowienia i robić różne głupstwa.

W gruncie rzeczy byli do siebie podobni. Dlatego rozumiał impulsywną naturę Rockie. Jako córka Wexlera musiała być też twarda, choć starała się to ukryć. Popatrzył na Rockie. Przykucnęła i zaczęła zbierać jakieś kartki.

- Co to jest? Twój pamiętnik?

- Prawie. - Złożyła maszynopis do wymiętej, zielonej teczki. - To scenariusz. Jestem... to znaczy byłam aktorką.

- Ach, tak. A kim jesteś teraz?.

- Osobą bezdomną. - Spróbowała się uśmiechnąć.

- A może również sierotą.

- Addison jest wszystkim, co Smith w tej chwili posiada. Dlatego nie zrobi mu nic, póki nie zdobędzie dyskietek.

- Jesteś tego pewny?

- Na osiemdziesiąt trzy procent.

- Zawsze jesteś tak piekielnie dokładny? – spytała ze złością.

- Nie podoba ci się to? - Sheridan wzruszył ramionami. - Wobec tego będę cię okłamywać.

- Nie! Nie rób tego. - Rockie chwyciła scenariusz i zerwała się na równe nogi.

- Mam dość ludzi którzy mnie okłamują.

Sheridan milczał. Popatrzył tylko na Rockie i uniósł brwi. Odskoczyła od niego, kurczowo ściskając teczkę żeby ukryć drżenie rąk.

Wciąż nie mogła się zebrać, żeby zapytać Sheridana o TAQ. W tej chwili jeszcze nie była gotowa pogodzić się z faktem, że jej ojciec okazał się złodziejem.

- Możesz złożyć doniesienie o włamaniu - odezwał się Sheridan. - Gliny to kupią, więc twoja firma ubezpieczeniowa...

- Żadnej policji. - Rockie odłożyła scenariusz i schowała ręce do kieszeni. - Może później, kiedy to wszystko się skończy.

Nie miała siły ani na rozmowę z Sheridanem ani na wypełnianie formularzy. Nie miała też pojęcia, jak zdobyć nowy samochód, nowe meble, ubrania i inne rzeczy bez załatwiania tych wszystkich formalności.

Ale to najmniejsze zmartwienie.

- Możesz mnie zostawić samą ha kilka minut? Sheridan nie odpowiadał. Rockie czekała, wyczuwając jej wahanie. Nie ufa mi, pomyślała, ani trochę więcej niż ja jemu.

- Nie mam zamiaru ukraść sreber - powiedziała.

- Wszystko jest pogięte i połamane. A poza tym, to moje srebra. Ja je kupiłam i ja za nie zapłaciłam.. Chcesz zobaczyć paragon?

Żrenice Sheridana podejrzenie się zwały. Zaciśnął szczęki, ale zaraz się opanował.

- Odczep się ode mnie, dziecinko. To nie ja zdemolowałem twoje mieszkanie.

- A ja nie ukradłam ci TAQ.

- Nigdy nie twierdziłam, że Addison CQŚ ukradł.

- Nie musiałeś. Wystarczyło popatrzeć na ciebie, kiedy Conan o tym wspomniał. - Odwróciła się do niego. To nie ona zaczęła tę dyskusję, ale teraz miała zamiar doprowadzić ją do końca. - Byłam pewna, że gdzieś słyszałam twoje nazwisko, ale dopiero niedawno przypomniałam sobie, że jedna z asystentek ojca spotkała cię na jakimś seminarium. Podobno powiedziałeś jej, że zarzuciłeś badania nad TAQ, kiedy okazało się, że to urządzenie jest niebezpieczne i zawodne. Czy to prawda?

- A co za różnica? - wzruszył ramionami. - To stare dzieje.

- Nie sądzę. Od początku skaczesz mi do oczu i chciałabym wiedzieć dlaczego. Czy to z mojego powodu, czy chodzi ci o ojca?

- Może o jedno i drugie.

Ta odpowiedź wcale jej nie zaskoczyła, a jednak poczuła się dotknięta.

- Ulżyło mi. Sądziłam, że jesteś nie w sosie, bo mój ojciec naprawił i udoskonalił coś, co wyrzuciłeś.

Sheridan zacisnął szczęki. Strzał w dziesiątkę, pomyślała Rockie. Zraniłam jego dumę albo ego. Albo jedno i drugie.

W oczach Sheridana pojawiły się czerwone błyski. - Możesz tu zostać, jak długo chcesz - powiedział i podszedł do drzwi. - Idę porozmawiać z administratorką.

- Powiedz mi tylko jedno. - Rockie złapała go za rękaw. - Skoro nie znosisz ani mnie, ani mojego ojca i nie chcesz mieć z nami nic wspólnego, to co tu robisz, do jasnej cholery?

Sheridan otworzył drzwi i uśmiechnął się.

- Świetnie się bawię.

Spodziewała się, że trzaśnie drzwiami, ale zamknął je cicho za sobą.

Szwy na brodzie bolały ją i piekły. Przeszła przez zaśmiecony dywan, uklękła koło połamanego stoliczka i podniosła kilka porcelanowych kawałków czegoś, co kiedyś było szkatułką z motylem na wieczku.

Jej matka zawsze trzymała ją na toaletce. Rockie znalazła w niej swój mleczny ząb. Ząb wyrzuciła, ale zachowała szkatułkę. Teraz to już tylko garść skorup. Zamknęła je w dłoni, powstrzymując łzy. Bez względu na to, jak to wszystko się skończy, nic już nie będzie tak jak dawniej.

Ostatnią decyzją, jaką samodzielnie podjęła, był wyjazd do Barstow. Wszystko, co wydarzyło się potem, zostało jej narzucone przez kogoś albo przez zbieg okoliczności. Nie było w tym jej winy, a jednak jej życie diametralnie się zmieniło.

Dźwięk telefonu poderwał ją na nogi. Na filmach źli faceci zawsze wyrywali telefon z gniazdka. Sheridan był zdumiony, że ten jeszcze działa. Jej to wcale nie dziwiło. Pomyślała, że jest w tym jakiś cel, i omal nie skręciła karku pędząc, żeby podnieść słuchawkę.

- Halo!

- Dobry wieczór, Rockie. Nazywam się Greer Hanlon. Nigdy się nie spotkaliśmy, ale...

- Wiem, kim pan jest. Widziałam pana kiedyś w laboratorium. - Przed oczami stanął jej jasnowłosy, elegancki współpracownik Smitha. - Gdzie jest mój ojciec?

- Tutaj, ze mną. Jeżeli zostanie nam trochę czasu, pozwolę mu z tobą porozmawiać. Pani Riley jest bardzo elokwentna, ale nie sądzę, żeby udało jej się zatrzymać Maxwella i doktora

Sheridana na dłuższy czas.

Jezus Maria, pomyślała Rockie, a serce zamarło jej w piersi. Goryle Smitha obserwują budynek. A jej dom, podobnie jak sąsiednie, miał otwarte klatki schodowe. - .Czego chcecie? - spytała, zwilżając wyschnięte wargi.

- . Oczywiście dyskietek.

- Nie mam ich. - Dyskietki znajdowały się w skórzanej torbie, w specjalnym plastikowym pudełku, które dał jej Maxwell.

- Spoczywają razem z Conanem na dnie krateru, w który zmieniliście laboratorium mojego ojca.

- Z jakim Conanem? Ach, masz na myśli szefa moich ochroniarzy. - Hanlon chrząknął. - Niestety, nie trafiłaś. Kiedy go znaleźliśmy, nie miał przy sobie dyskietek. A ja chcę je mieć.

- A ja chcę mojego ojca, ty sukinsynu.

- Chętnie ci go oddam w zamian za dyskietki.

- Już mówiłam, że ich nie mam.

- No to je zdobądź i przynieś do obserwatorium w parku Griffitha za pół godziny.

Spotkamy się na tarasie.

- Chwileczkę. - Rockie podeszła do okna.

Nie dostrzegła nikogo, kto by obserwował budynek. Tylko starszy mężczyzna podlewał trawnik na tyłach sąsiedniego domu. Poprzez grubą warstwę smogu miedziana kopuła obserwatorium połyskiwała wśród drzew na wzgórzach Hollywood.

- Najpierw muszę porozmawiać z ojcem.

- Nie ma czasu. Masz tylko pół godziny na to, żeby zdobyć dyskietki. Wkrótce się spotkacie.

- Nigdzie nie pójde, dopóki z nim nie rozmawiam.

- Twój ojciec czuje się świetnie i jeżeli zrobisz dokładnie to, co ci mówię, włos nie spadnie mu z głowy. Przyjdź sama. W przeciwnym razie nigdy więcej nie zobaczysz go żywego.

- Słuchaj, ty...

Hanlon. odłożył słuchawkę.

- Cholera! - Rockie ze złością odstawiła telefon.

Serce tłukło się jej w piersi, a w głowie tykały sekundy. Nagle poczuła się jak nakręcona bomba zegarowa.

Zdawała sobie sprawę, że Hanlon obieca jej wszystko, byle tylko dostać ją i dyskietki. Mimo to widziała jakiś cień szansy w tym, że będzie chciał ubić z nią interes. Postanowiła skorzystać z tej szansy i zrobić to, co jej kazał - ale tylko do pewnych granic.

Porwała torbę i wbiegła do łazienki. Panował tam nieopisany bałagan. Na podłodze leżały ręczniki i oberwania zasłona od prysznicza. Poślizgnęła się na mydle i przyklekła w pianistej kałuży. Sięgnęła do szafki pod umywalką i spod paczek waty wyjęła kosmetyczkę.

Na szczęście jej nie znaleźli. W środku miała trochę pieniędzy na czarną godzinę i duplikat karty kredytowej. Czasami opłaca się być paranoiczką.

Pogrzebała wśród porzbijanych buteleczek i słoiczków i podniosła mały lakier do Włosów w sprayu. Potrząsnęła pojemniczkiem, żeby się przekonać, czy cos zostało w środku, a potem wrzuciła go do torby razem z pieniędzmi.

Wybiegła na schody i popędziła w dół z taką prędkością, że omal nie zderzyła się z donicą pełną białych petunii.

Zatrzymała się przed bramą i wyjrzała za róg, żeby sprawdzić, czy droga wolna. Nigdzie nie było widać ani Sheridana, ani Maxwella. Dwóch umundurowanych policjantów energicznym krokiem szło w stronę budynku.

Jednego z nich natychmiast rozpoznała. To był żołnierz, który zatrzymał ją przed bramą laboratorium - wysoki blondyn z pieprzykiem jak Robert DeNiro.

ROZDZIAŁ 11

Ogarnięta paniką, zdążyła uskoczyć w mały korytarzyk, który prowadził do piwnicy. Przywarła do ściany i patrzyła, jak policjanci mijają bramę. Ten, którego nie знаła, poszedł dalej, na tyły budynku. Jasnowłosy wszedł do domu i zaczął wchodzić po schodach.

Wychyliła się ze swojej kryjówki i zobaczyła, że idzie w stronę jej mieszkania. Kiedy straciła go z oczu, wyskoczyła z bramy i wyjrzała za róg. Drugi policjant gdzieś zniknął. Czarno-biały policyjny samochód stał na parkingu obok błękitnego caprice'a, którym przyjechali z Maxwellem.

Z góry dobiegło walenie do drzwi. Popędziła do samochodu. Na szczęście wóz był otwarty. To bardzo ryzykowne w Los Angeles, więc z wdzięcznością pomyślała o przezorności Maxa. Otworzyła drzwi, wślizgnęła się za kierownicę, przekręciła kluczyk, wrzuciła bieg i wcisnęła pedał gazu.

Ruszyła ostro do przodu, zostawiając za sobą fałszywych policjantów, Sheridana, Maxwella i całe swoje dotychczasowe życie.

- Powodzenia, chłopaki - mruknęła, zatrzymując się na skrzyżowaniu przy końcu ulicy. Skręciła w lewo i pojechała w stronę parku Griffitha.

Trzymając lewą ręką kierownicę, prawą wyjęła z torby dyskiety i wsunęła je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Zapaliła papierosa. Potem włożyła zapalniczkę do lewej kieszeni, a pojemnik z lakierem i paczkę papierosów do prawej. Z uśmiechem poklepała się po biodrze. Nie tylko Smith wyznawał zasadę, że zawsze trzeba się zabezpieczyć.

W środę po południu ruch w tej części miasta był niewielki. Po dwudziestu dwóch minutach wjechała na teren obserwatorium w parku Griffitha. Znalazła miejsce do parkowania, wysiadła z samochodu i pobiegła w stronę budynku z miedzianą kopułą.

Z tarasów na jego tyłach można było podziwiać panoramę Los Angeles. Widok zapierał dech w piersiach. Rockie czuła, że powoli zaczyna brakować jej tchu, ale z zupełnie innego powodu. Wreszcie dotarła na górę.

Wokół kręciło się paru turystów, ale żaden z nich nie był Addisonem Wexlerem.

Właściwie nie była tym zdziwiona, tylko gorzko rozczarowana. Łzy napłynęły jej do oczu, ale nadludzkim wysiłkiem powstrzymała je, bo nagle od balustrady oderwał się jakiś mężczyzna i ruszył w jej stronę. To był Greer Hanlon. Dziś nie miał na sobie prążkowanego garnituru, tylko oliwkowe spodnie, żółtą koszulkę polo i sandały.

Za nim kroczył olbrzym o platynowej czuprynie, w pomiętych džinsach i przepoconym podkoszulku. Jeżeli Conan miał gdzieś swój grób, na pewno się w nim teraz przewracał.

- Cześć, Rockie! - Hanlon zatrzymał się przed nią, mając goryla za plecami. - Przyniosłaś

dyskietki?

- Są tutaj. - Rockie rozchyliła kurtkę, żeby mógł zobaczyć pudełko. - Gdzie ojciec?

- Rockie - Hanlon spojrzał na nią z wyrzutem - chyba się nie dziwisz, że ci nie ufam? Skąd mogłem mieć pewność, że przyjdiesz sama?

- Przecież ja ci zaufałam.

- Nie miałaś wyboru. - Hanlon wyciągnął do niej

rękę. - Twój ojciec czeka na ciebie o kilka przecznic. stąd. Zawiozę cię do niego.

- Nie ma mowy. - Rockie odtrąciła jego dłoń.

- Albo dobijemy targu tu, na tarasie, albo zmywam się stąd razem z dyskietkami.

- Informacje z dyskietek muszą być zweryfikowane. Nie mogę tego zrobić tutaj.

- Życie mojego ojca wisi na włosku, Hanlon.

Dlaczego miałabym ci dawać fałszywe dyskietki?

- Nie wiem. - Przechylił głowę i przyjrzał jej się z uwagą. - A dlaczego twój ojciec próbował to zrobić?

Gdyby nie świadomość, że to przez Smitha znalazła się w takiej sytuacji, Rockie chętnie zamordowałaby własnego ojca. Ocaliłaby mu życie tylko po to, żeby go potem własnymi rękami udusić.

- To są dyskietki, które znalazłam w jego gabinecie.

Przysięgam, że nic nie zmieniałam.

- Chciałbym ci wierzyć, Rockie. Naprawdę. Ale nie wierzę nikomu o nazwisku Wexler.

- A to dopiero - krzyknęła urażona. - Kidnaper i morderca zarzuca mi kłamstwo.

- Nikogo nie zabiłem.

I - Naprawdę? A Conan i tych ośmiu facetów w helikopterach?

- . - Dobrze im płacono za ryzyko - powiedział Hanlon. - Gino - skinął głową i góra mięsa wysunęła się do przodu.

- Moment. - Rockie cofnęła się. - Dajcie mi chwilę pomyśleć.

- Gino! - powtórzył Hanlon. Goryl zrobił krok w tył. Dokładnie tak, jak Rockie sobie zaplanowała.

Cień szansy - jeśli w ogóle kiedyś istniał - w tym momencie zniknął na dobre. Pozostawało jej tylko uwierzyć w zapewnienia Sheridana, że jej ojciec jest bezpieczny, póki Smith nie dostanie dyskietek. I modlić się, żeby Sheridan i Maxwell nie zamordowali jej za to, że ich oszukała. Była w stu procentach pewna, że miałyby na to ochotę, ale tylko w pięćdziesięciu, że zdecydowałiby się na coś takiego.

- Mogę zapalić? - spytała.

- Pokaż te twoje papierosy.

Wyjęła z kieszeni pudełko i wręczyła je Hanlonowi.

Obejrzał je, a potem jej oddał.

- Gino! - powiedział. Goryl podał jej ogień. Pachniał wodą po goleniu i olejkiem do opalania. Zaciągnęła się dymem i z bijącym sercem cofnęła o krok.

- Co będzie, kiedy się okaże, że dyskiety są prawdziwe?

- Wypuścimy was oboje. To znaczy ciebie i ojca.

- Chciałabym ci wierzyć, Greer. Naprawdę - powiedziała - ale nie wierzę nikomu, kto się nazywa Hanlon. - Wzruszające - : - uśmiechnął się, a w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. - A komuś, kto się nazywa Winston Kimball?

- Czy Winston Kimball to Smith?

Hanlon skinął głową. Rockie nagle zaschło w gardle. Zaciągnęła się dymem z nadzieją, że nikt nie widzi, jak drżą jej ręce. Wszystko przepadło, pomyślała. Gdyby Hanlon miał zamiar puścić ją wolno, na pewno nie zdradziłby jej prawdziwej tożsamości Smitha. Co prawda nazwisko Winston Kimball nic jej nie mówiło, ale sądząc po tonie Hanlona, powinna na jego dźwięk paść na kolana.

- A co z odszkodowaniem za mojego dżipa i zniszczone mieszkanie?

Hanlon roześmiał się. Rockie schowała papierosy do prawej kieszeni i zacisnęła palce na puszcze lakieru.

- Wykapany ojciec. - Hanlon z podziwem pokręcił głową. - Rozumiem, że masz na myśli konkretną kwotę.

- Oczywiście. - Rockie wsadziła papierosa w kącik ust i machinalnie wsunęła lewą rękę do kieszeni. - Myślałam o dwudziestu tysiącach.

- To brzmi rozsądnie. Dwadzieścia tysięcy. No więc?

- Może być..

Zrobiła krok w ich stronę. Hanlon i Gino rozstąpili się, żeby ją przepuścić. Przystanęła i wyciągnęła z kieszeni lakier i zapalniczkę. Kiedy Hanlon spojrzał na nią zdumiony, prysnęła mu w oczy lakierem, pstrykając jednocześnie zapalniczką.

Strumień ognia dosięgnął twarzy Hanlona. Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie. Zawtórowała mu siwowłosa kobieta w szortach, która nie opodał robiła zdjęcia. Wtedy Gino rzucił się na Rockie. Uderzyła go w głowę puszką i zgasiła mu papierosa na policzku.

Goryl zawył z bólu. Rockie rzuciła się do ucieczki.

Mdliło ją od zapachu spalonych włosów, i skóry. Pędząc ile sił w nogach, obiegła budynek

obserwatorium i nagle za rogiem wpadła prosto w ramiona Sheridana.

To było tak, jakby się zderzyła ze skałą. Z ponurą, zaciętą skałą w baseballowej czapeczce; założonej daszkiem do przodu. Sheridan pochwycił ją i przyparł do ściany, pozbawiając resztek tchu.

Gwiazdy stanęły jej w oczach. Sheridan odwrócił się i nadstawił rękę zgiętą w łokciu. Kiedy Gino wypadł zza rogu, wbił mu łokieć prosto w grdykę. Goryl runął, na wznak, a jego czaszka głucho stuknęła o beton.

- Daj mi kluczyki! - Sheridan już biegł, ciągnąc za sobą Rockie. Kiedy dopadli błękitnego caprice'a, otworzył drzwi, wepchnął Rockie do środka, a sam usiadł za kierownicą. Przekręcił kluczyk, wrzucił wsteczny bieg i z piskiem opon wyjechał z parkingu.

Rockie głęboko odetchnęła. Po raz pierwszy od kiedy wysiadła z wozu i popędziła do obserwatorium.

Nagle poczuła atak mdłości. Miała ochotę zwymiotować, ale z wstecznego lusterka spojrzały na nią jaspisowe oczy Sheridana. Błękitny caprice wjechał w krętą, stromą ulicę i pomknął w dół, do miasta.

- Zanim mnie zabijesz - wysapała Rockie - mam do ciebie jedno pytanie. Mówi ci coś nazwisko Winston Kimball?

- Winston Kimball? - powtórzył Sheridan. - Jesteś pewna? Kto ci o nim powiedział?

- Greer Hanlon. Wspólnik Smitha, to znaczy Kimballa. - Rockie głośno przelknęła ślinę. - Facet, któremu przypaliłam gębę.

- To była ładna robota.

- Może nie ładna, ale skuteczna.

Sheridan wziął kolejny zakręt i spojrzał na Rockie. To dziwne, ale jego oczy były teraz zielone. Rockie odwróciła głowę i popatrzyła przez okno. Mimo mokrej od potu koszuli trzęsła się jak w gorączce.

Rzeczywiście ładna robota, pomyślała. Ta druga Rockie Wexler, która przed chwilą podpaliła człowieka, wcale jej się nie podobała. Woląta tę dawną, która nie była w stanie zastrzelić Conana, nawet wtedy, gdy od tego zależało jej życie. Szczerze mówiąc, nowa Rockie ją przerażała.

- Hanlon miał szczęście, że trafił na ciebie, a nie na Maxa - odezwał się Sheridan. - Nie skończyłoby się tylko na spalonych brwiach.

Na wspomnienie nieruchomości oczu Maxwella.

Rockie znów poczuła dreszcze. - Gdzie on jest? spytała.

- Sprząta z chodnika pani Riley tych dwóch fałszywych policjantów, których Hanlon

wysłał za braćmi Bevarly.

- Jeden z nich, ten blondyn, pilnował wjazdu do laboratorium. Gdybym najpierw nie wyjrzała za róg... A tak w ogóle, skąd wzięli samochód policyjny?

- Pewnie go ukradli - odpowiedział Sheridan, patrząc na szybkościomierz, który wskazywał setkę.

Nagle usłyszeli przenikliwy dźwięk syreny. W odruchu paniki serce skoczyło Rockie do gardła. Potem z ulgą zdała sobie sprawę, że słyszy ten dźwięk przed sobą, a nie za sobą. Kiedy wzięli kolejny zakręt, głośno odetchnęła na widok czarno - białego samochodu policyjnego, który z zapalonymi światłami pędził na. sygnale z przeciwnej strony. Kiedy się mijali, umundurowany sierżant za kierownicą pomachał im ręką.

T o był Maxwell.

ROZDZIAŁ 12

Widok Maxwella za kierownicą policyjnego samochodu podziałł na nią jak szklanka zimnej wody. Nagle przypomniała sobie uwagę Sheridana o telefonie. Widziała, jak podniósł słuchawkę, kiedy przeszukiwali jej mieszkanie, ale potem odwróciła się, żeby wziąć kluczyki od Maxwella. Prawdopodobnie właśnie wtedy Sheridan założył jej podsłuch.

- Ty draniu! - powiedziała drżącym głosem, zaciskając pięści. - Ty cholerny draniu.

Odwróciła się i zamachnęła w jego stronę. Gdyby nie złapał jej za rękę, trafiłaby go w zęby. Przód samochodu przejechał przez podwójną żółtą linię na przeciwległe pasmo jezdni.

- Uspokój się! Chcesz nas zabić? - Sheridan gwałtownie skrzył kierownicę.

- To wy chcieliście mnie zabić. - Bezskutecznie usiłowała wyswobodzić rękę.

Gdzie się podziało to drżenie, które w szpitalu w Barstow wzięła za objaw sympatii? Teraz palce Sheridana obejmowały ją żelaznym uściskiem.

- Nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo - powiedział. - Przez cały czas cię osłaniałem.

- Akurat! - Rockie przestała się szarpać i z całej siły uderzyła go drugą ręką. - Wiedziałeś, że Hanlon będzie dzwonił, prawda? Obaj wiedzieliście i postanowiliście wystawić mnie na wabia.

- Założyliśmy, że po raz ostatni spróbujecie dostać ciebie i dyskietki. Telefon to był czysty przypadek. Nikt nie chciał cię wystawiać. My tylko ułatwiliśmy ci zadanie.

- Dlaczego mieliście pewność, że zdecyduję się z nim spotkać? - spytała.

- W tych warunkach każdy by to zrobił.

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Łzy stanęły jej w oczach.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Gdybym wiedziała...

Umilkła, przygryzając wargi. Czy mogła z ręką na sercu przyznać, że postąpiłaby wtedy inaczej?

- Uznaliśmy, że im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie - odparł Sheridan. - Chodziło o to, żebyś nie mogła nic powiedzieć Hanlonowi, gdyby sprawy wzięły zły obrót.

- Jakie miałam szanse?

- Pół na pół.

Powoli wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. Rockie nadal była zła, wciąż czuła się zdradzona, ale postanowiła go wysłuchać.

- Dlaczego chcieliście mi ułatwić zadanie?

- Żeby dowiedzieć się, co jeszcze Smith kryje w zanadrzu. No i czy uważa mnie i Maxwella za godnych uwagi przeciwników.

Byli już w połowie drogi do miasta. Szybkościomierz wciąż wskazywał setkę. Sheridan po

raz ostatni spojrział w lusterko, a potem wcisnął hamulec.

- Jaki jest werdykt? - spytała Rockie.

- Trudno powiedzieć. - Sheridan przekręcił czapeczkę daszkiem do tyłu. - Smith albo nie jest dość inteligentny, albo po prostu wyjątkowo zarozumiały. Jeżeli Winston Kimball to on - stawiam na arogancję.

Wysłał za mną i Maxem tylko trzech facetów. Dwóch policjantów i tego ogrodnika, który podlewał trawnik. Ciebie nikt nie śledził. Jediną ochroną Hanlona był Gino.

- Co Max robi teraz w obserwatorium?

- Szacuje straty. Ludzie na ogół mają zaufanie do policji. Może z wyjątkiem Hanlona i Gina. - Sheridan uśmiechnął się złośliwie. - Chciałbym zobaczyć ich miny, kiedy zjawi się sierżant Maxwell.

- Ale on chyba nie chce ich...

- Nie - dokończył za nią Sheridan. - Nie zabija się posłańców. A przynajmniej dopóki nie przekażą wiadomości. - Zahamował na skrzyżowaniu a potem skręcił w lewo, do centrum Los Angeles.

- A co z moim ojcem? - spytała po chwili Rockie.

- Teraz wszystko zależy od niego samego. Gdybym to ja był Addisonem, starałbym się przeciągać sprawę i modliłbym się, żeby Maxwell mnie odnalazł i jakoś z tego wyciągnął. Ale trudno przewidzieć, jak się zachowa. Addison jest przyzwyczajony do tego, że to on dyktuje warunki. Podobnie zresztą jak Winston Kimball.

To nazwisko nadal nic jej nie mówiło, choć chyba jednak powinno.

- Kto to jest, ten Kimball? - spytała.

- Multimilioner. Szaleniec. Prowadzi rabunkową gospodarkę. Głównie przemysł naftowy. Zwłaszcza w północnej Afryce. Dokładnie na Saharze.

- Co ma wydobyć ropy do trzęsień ziemi i TAQ?

- Nie mam pojęcia, bo nie jestem szaleńcem.

- Za to jesteś wyjątkowo nieznośnym facetem.

Odwrócił się w jej stronę tak gwałtownie, że przestraszona podskoczyła. Ale Sheridan wcale nie był zły. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Po raz pierwszy uśmiechnął się naprawdę szczerze.

- Masz rację. I radzę ci o tym nie zapominać.

- T o raczej niemożliwe.

Podobnie jak szansa spotkania Sheridana, kiedy to wszystko już się skończy. Choć zna go zaledwie od dwudziestu czterech godzin, poczuła ukłucie serca. Westchnęła i uznała, że to tylko

słabość, spowodowana stresem.

- Jak sprawdzić, czy Smith to naprawę Kimball? - Może uda nam się czegoś dowiedzieć z dyskietek. Musimy znaleźć jakiś komputer i spróbować je odczytać.

Przerażona sięgnęła do wewnętrznej kieszeni. Na szczęście dyskietki były na swoim miejscu.

- Uspokój się - powiedział Sheridan, patrząc, jak Rockie przekłada dyskietki do torby. - Max skopiował je wczoraj, kiedy ci zszywali brodę. Tak na wszelki wypadek.

To było zupełnie logiczne, a jednak wysoce irytujące. To prawda, że nadal nie do końca im obu wierzyła, ale czuła się obrażona, że oni również jej nie ufają. - Max ma miniaturowy IBM na pokładzie helikoptera. - Sheridan zahamował na światłach. - Mamy się spotkać na lotnisku. Wtedy sprawdzimy dyskietki.

- A co on ma zamiar zrobić z helikopterem? - spytała Rockie. - Złoży go i - schowa do kieszeni?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło - mruknął Sheridan - Nie mam pojęcia, gdzie on go trzyma. Nikt tego nie wie.

- Pamiętasz, co się działo, kiedy wylądował przed szpitalem? Wrócił tak szybko, że chyba... - Spojrzała na Sheridana. W ogóle jej nie słuchał. Nie interesował się też ruchem na skrzyżowaniu. Chciała mu właśnie powiedzieć, żeby uważał, bo zaraz zmienią się światła, ale jej uwagę przykuła kobieta z czarnym pudłem.

Pies miotał się po chodniku, głośno szczekając.

Kiedy jego właścicielka przystanęła, żeby rozplątać smycz, przysiadł na tylnych łapach, uniósł łeb do góry i zaczął przeciągle wyć.

Rockie przypomniała sobie o światłach. Spojrzała w górę. Wiszące nad skrzyżowaniem reflektory chwiały się i trzęsły, choć dzień był bezwietrzny. Pudel nie przestawał wyć.

- O Boże - odezwała się zdławionym szeptem, bo nagle ich samochód zaczął drgać.

Jakaś niewidoczna siła wypchnęła pokrywę kanału na środku skrzyżowania. Strumień ścieków trysnął w górę jak fontanna.

Kierowca stojącego przed nimi forda wyskoczył z samochodu i rzucił się do ucieczki.

- Uciekajmy! - krzyknęła Rockie, otwierając drzwi.

- Spokojnie! - Sheridan przytrzymał ją za łokieć.

- To nic wielkiego.

- Jasne. - Rockie wyrwała mu się z furii. - Schody w laboratorium też były wystarczająco mocne, żeby utrzymać nas oboje.

Przebiegła przez jezdnię, ale kiedy znalazła się na chodniku; światła już się uspokoiły,

klapa potoczyła się w dół ulicy, a pies przestał wyc i patrzył na swoją panią, przepaszając ogonkiem.

- Już po wszystkim - odezwał się jeden z kierowców i ruszył z powrotem do swojego samochodu.

Rockie poszła za nim. Serce wciąż tłukło jej się w piersi. Nerwy miała kompletnie rozdygotane. Co się z nią dzieje? Przecież urodziła się i wychowała w Kalifornii. Takie wstrząsy były dla niej czymś równie normalnym, jak korki na ulicach Los Angeles. To chyba reakcja na wczorajsze przeżycia.

Zarumieniona ze wstydu wślizgnęła się do samochodu i usiadła obok Sheridana.

- Skąd wiedziałeś, że to będzie tylko mały wstrząs?

- spytała, kiedy zatrzasnęła drzwi i zapięła pas.

- Miałem nosa - mruknął.

Caprice powoli ruszył i przeciął skrzyżowanie. Sheridan ostrożnie objechał otwarty właz do kanału.

- Długo studiowałem trzęsienia ziemi. Wyrobiłem sobie coś w rodzaju szóstego zmysłu.

To samo mówił o sobie jej ojciec. Po każdym trzęsieniu na pustyni Mojave Wexler zakładał się o jego siłę ze swoimi asystentami. Potem porównywali to z wydrukiem sejsmografu. Ojciec zawsze wygrywał.

- Więc to tym się zajmujesz, kiedy nie pracujesz dla Maxa, tak? Jesteś sejsmologiem?

- Nie. Uczę geologii.

- Więc powiedz mi, doktorze Sheridan, czy ten wstrząs był naturalny, czy wywołał go człowiek?

- Nie wiem. Może będę wiedział, kiedy porównam dzisiejszy zapis sejsmografu z wczorajszym.

- A co spodziewasz się w nich zobaczyć?

- Też nie wiem. W tej chwili mogę mieć pewność tylko co do jednego.

- T o znaczy czego? - spytała, choć sama nie wiedziała, czy chce znać odpowiedź.

- Tego, co powiedział nam Conan. - Sheridan wrzucił kierunkowskaz, zjechał na prawe pasmo jezdni i ponuro spojrzał na Rockie. - Że najlepszą bronią, jaką Smith ma w swoim arsenale, jest aparatura TAQ.

ROZDZIAŁ 13

Tajemnicze trzęsienie ziemi The Associated Press Golden, Kolorado

Trzęsienie ziemi o sile 6,2 stopnia w skali Richtera, które wstrząsnęło we wtorek pustynią Mojave (Kalifornia) i spowodowało następnego dnia łagodne wstrząsy w Los Angeles, zaniepokoiło i zaskoczyło sejsmologów z Amerykańskiego Instytutu Sejsmologicznego.

„Trzęsienia ziemi mogą się zdarzyć zawsze i wszędzie” - powiedział nam doktor Fred Eddings z AIS. - „Jednak tym razem tak silne wstrząsy wystąpiły na terenach o niskiej aktywności sejsmicznej. Nie spodziewaliśmy się trzęsienia ziemi o takiej sile na pustyni Mojave. To było dla nas niezrozumiałe.”

AIS natychmiast wysłał w teren ekipy sejsmologów, które będą rejestrować dalsze ewentualne wstrząsy na pustyni Mojave. Istnieją różne teorie co do przyczyn tego trzęsienia - od istnienia nieznanego do tej pory uskoku sejsmicznego po wyjątkowo silną aktywność plam na słońcu.

- Nie zapomnijcie o *voodoo*, chłopcy. - Sheridan zdjął okulary, znużonym gestem przetarł oczy i rzucił na podłogę piątkowe wydanie „Wiadomości Springfield”. Bez trudu mógł przeczytać zamieszczony poniżej artykuł:

Laureat Nagrody Nobla i jego córka zaginęli w trzęsieniu ziemi.

Barstow, Kalifornia

Policja kontynuuje poszukiwania doktora Addisona Wexlera i jego córki Rochelle. Oboje zaginęli we wtorek, podczas trzęsienia ziemi, które zniszczyło laboratorium Wexlera na pustyni Mojave.

Według informacji personelu laboratorium dr Wexler wyjechał w teren, aby przetestować aparaturę do wczesnego wykrywania wstrząsów sejsmicznych. Niestety, apele kierowane do niego za pośrednictwem radia i telewizji pozostają bez odpowiedzi.

Zgłoszono również zaginięcie córki Wexlera, Rochelle, zamieszkałej w North Hollywood. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa panna Wexler miała towarzyszyć ojcu w badaniach, które, jak twierdzi personel laboratorium, rutynowo przeprowadza się na terenach odległych, o dużej aktywności sejsmicznej.

Wszelkie informacje dotyczące ewentualnego miejsca pobytu dr Wexlera lub jego córki prosimy kierować do lokalnych biur FBI.

- Spytajcie faceta, który to napisał - mruknął Sheridan i przyjrzał się zamieszczonym pod notatką fotografiom ojca i córki.

Zdjęcie Wexlera widział już dziesiątki razy w czasopismach naukowych i prasie codziennej. Przedstawiało przystojnego, eleganckiego mężczyznę z wąsikami, o szpakowatych

skroniach. Fotografia Rockie musiała pochodzić jeszcze z okresu studiów. Rockie wyglądała na niej jak typowa prymuska. On zresztą też posiadał podobne zdjęcie z dyplomu. Tylko że w uchu tkwił mu kolczyk z Krzyżem Maltańskim, a sięgające ramion włosy były spięte gumką na karku.

Rockie też miała na fotografii długie włosy, podkrecone na końcach, i rozrzuconą grzywkę. Wolał dawną fryzurę Rockie od obecnej, w stylu Lizy Minnelli.

Odchylił się w fotelu, położył nogi na biurku i spróbował spleść palce za głową. Syknął, bo połamane żebra wciąż dawały o sobie znać, a uporczywe bóle doprowadzały go do szaleństwa. Podobnie zresztą jak obecność Rockie w jego domu w Springfield. Żadne z nich nie było zadowolone z takiego rozwiązania. Rockie wygarnęła to Maxowi bez ogródek, przed jego wyjazdem do Nowego Jorku.

- Nie mam zamiaru tkwić tu w tej zapadłej dziurze - oświadczyła, ujmując się pod boki - podczas gdy ty wyruszasz na poszukiwania mojego ojca.

- Wcale nie jadę szukać twojego ojca - odpowiedział spokojnie Max. - Będę polował na Winstona Kimballa.

- Mogłabym ci pomóc - nalegała, a w jej głosie pojawiły się błagalne tony. - Daj mi komputer i wyjściowe dane, a urządzę Kimballa tak że się nie pozbiera.

- Będę pracował sam - uciął Maxwell - ale załatwię ci komputer.

Co też uczynił, zanim wyjechał we czwartek po południu. Sheridan zainstalował potem komputer na dębowym stole w jadalni. Resztę dnia Rockie spędziła, wypróbując nowe gry i oglądając mydlane opery w telewizji, w przylegającym do jadalni salonie.

Sheridan na dobre rozgościł się w swoim gabinecie na końcu korytarza. W ciągu ostatniej doby zdążył sprawdzić tony wydruków z sejsmografów, które zarejestrowały wstrząsy na pustyni Mojave. Teraz zdawało mu się, że widzi skaczącą przed oczami igłę sejsmografu.

Na papierze wszystko wyglądało normalnie, ale to nie było zwykłe trzęsienie ziemi. Dzięki Bogu, jak dotąd był jedynym człowiekiem, który o tym wiedział. Druga seria łagodnych wstrząsów spowodowanych przez TAQ zatarła wszystkie ślady. Addison miał szczęście - przynajmniej tym razem.

Na biurku i dwóch stołach piętrzyły się stosy wydruków i dziesiątki pozycji z literatury fachowej. Przejrzał wszystko, ale nie znalazł niczego, co by go naprowadziło na właściwy trop. Na jakiej zasadzie działało to przekłete urządzenie? Nie znalazł odpowiedzi nawet na dyskietkach, które zabrali z laboratorium Wexlera.

Zawarte w nich informacje dotyczyły badań prowadzonych na zlecenie Winstona Kimballa i potwierdzały przypuszczenia Rockie, że Addison nie miał pojęcia o planach

Kimballa. Sheridana ucieszyła ta wiadomość, ale tylko ze względu na Rockie.

Addison notował również wszystkie rozmowy z Greerem Hanlonem oraz prowadził rejestr kwot, jakie Kimball zainwestował w TAQ, ze szczegółowym ich rozliczeniem. Ale nigdzie nie było ani słowa o samym urządzeniu. Żadnych planów, żadnych danych - absolutnie nic.

A przecież musiały tam być. Liczba megabajtów wyraźnie na to wskazywała. Tylko że nie miał pojęcia, jak do nich dotrzeć. Prawdopodobnie Addison zarejestrował dane pod jakimś zaszyfrowanym hasłem. Sheridan próbował je odgadnąć, ale na próżno.

- Ty nie potrafiłbyś znaleźć nawet własnej głowy

- skrzywiła się Rockie, kiedy jej o tym powiedział.

- Skoro tata zostawił mi te dyskiety, na pewno chciał, żebym je odcyfrowała. To nie może być aż takie trudne.

Była to ich trzecia kłótnia, odkąd wyjechał Max.

Druga dotyczyła telewizora. Sheridan twierdził że Rockie nastawia go zbyt głośno. Bitwę o dyskiety stoczyli ubiegłej nocy nad talerzem gorącej zupy pomidorowej. Na zakończenie Rockie stwierdziła że dane TAQ muszą być na dyskietkach a Sheridan kazał jej iść do diabła i samej szukać hasła.

Czwartek Rockie spędziła przy komputerze, z zaciętą miną sprawdzając dane na twardym dysku. W tym czasie Sheridan usiłował wywabić z koszuli, plamy po kanapce z musztardą, którą oberwał.

Przynajmniej to nie był lewy sierpowy, pomyślał, pocierając obolałe ramię. Kąpiąc się poprzedniego dnia, odkrył w tym miejscu cztery potężne sińce. Nieźle go trafiła ta córeczka Wexlera. I to nie tylko pięścią - Zielonymi oczami wielkości spodków, buńczuczny zachowaniem i długimi nogami w seksownych wojskowych buciorach.

A te jej papierosy. Przyczyna ich pierwszej kłótni, która rozpoczęła się pięć minut po wyjściu Maxa, kiedy Sheridan powiedział, że w jego domu się nie pali.

To gdzie mam palić? - spytała, ujmując się pod boki.

Z kąśliwym uśmiechem wskazał jej szklane drzwi, prowadzące na małe patio. Spojrzała w tamtą stronę i otworzyła usta ze zdumienia. Z ołowianego nieba gęsto sypały białe płatki.

- Przecież pada śnieg - krzyknęła.

- W tej zapadłej dziurze zawsze w zimie jest śnieg.

- Jak sobie życzysz - wzruszyła ramionami. - W końcu to twój dom.

Potem wyszła na patio, rękawem strząsnęła śnieg z wyplatanego fotela, przysiadła na nim i zaciągnęła się dymem. Miał ochotę wybiec za nią i wyrwać jej z ręki papierosa albo skraść pachnący nikotyną pocałunek. Teraz też wolałby rzucić te przekłete wydruki, po cichu zakraść

się do pokoju gościnnego, gdzie Rockie wciąż spała, choć minęło południe, i pocałować ją zniemacka. Miał na to ochotę od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. Nawet wtedy, kiedy się dowiedział, że jest córką Wexlera.

Gdyby na miejscu Maxwella był ktoś inny, Sheridan próbowałby go namówić, żeby zabrał Rockie ze sobą. Ale czterdzieści osiem godzin w towarzystwie drugiej osoby - to absolutne maksimum, jakie Max był w stanie znieść. Sheridan wiedział o tym, dlatego nie nalegał.

Za to on sam zaczynał żałować, że w ogóle pojechał do Barstow. Jeszcze raz się przekonał, że wciąż boleśnie reaguje na nazwisko Addison Wexler, a córka Wexlera od razu przejrzała go na wylot tymi swoimi szmaragdowymi oczami.

Miał ochotę zapytać, jak ona to robi, że będąc osobą tak niezwykłą, wygląda i zachowuje się tak zwyczajnie.

Szczerze mówiąc, znał już odpowiedź, tylko chciał usłyszeć ją z ust Rockie. Tak jak on, miała świetne stopnie i doskonałe wyniki testów na inteligencję. Różnica polegała na tym, że Rockie zdała do college'u w wieku lat siedemnastu, a on mając lat jedenaście. Rodzice Rockie pozwolili jej wyrosnąć na normalną młodą osobę, a jego rodzice nie byli z niego tacy dumni i chcieli go wykreować na geniusza. A on tak bardzo pragnął ich zadowolić. Najbardziej skomplikowane zadania matematyczne rozwiązywał, mając sześć lat. Nikomu nie przyszło do głowy, że skok z piątej klasy do college'u zahamował jego rozwój społeczny i emocjonalny.

Nigdy i do niczego nie mógł się przystosować.

Wyprzedzał kolegów ze wszystkich przedmiotów. Nie znosili go za to, że podnosił średnią. Dzieci z jego szkoły przezywały go „prymus”, dlatego robił wszystko, żeby udowodnić, że nim nie jest. Z czasem zaczął palić, zapuścił włosy, nosił kolczyk, a nawet wstąpił do marynarki. mając lat osiemnaście - i dwa doktoraty. Byłby sobie nawet zrobił tatuaż na piersi, gdyby go Max nie wyciągał za przekłute ucho Z jakiegoś podejrzanego gabinetu kosmetycznego w San Diego.

Max pociągał odtąd za sznurki i namówił go na służbę w wywiadzie. Wreszcie odżył i nauczył się sterować swoją impulsywną naturą. Był szczęśliwy jak nigdy w życiu, dopóki Pentagon nie zaproponował mu udziału w supertajnym programie badawczym i współpracy z Addisonem Wexlerem. To był największy błąd jego życia - obok nieszczęsnej wyprawy do Barstow.

Mimo że bardzo pragnął powiedzieć Maxowi by zostawił w spokoju Wexlera razem z TAQ”: nie mógł tego zrobić. Ze względu na Nevina Maxwella i siebie samego. Ponieważ to on stworzył tę przekłętą aparaturę. A teraz musi odebrać ją Kimballowi zanim ten zrobi za pomocą T AQ Bóg wie co. Winien był także Rockie przeprosiny za to, że odkąd ją poznał, zachowywał się

jak kompletny wariat.

Usłyszał szczepek drzwi do łazienki, a potem człapiące kroki w korytarzu. Nim Rockie stanęła w progu, ciągle jeszcze zaspana, zdążył zdjąć nogi ze stołu i znów pochylił się nad wydrukami.

- Udało ci się? - spytała.

- Jeszcze nie.

Rockie oparła się o framugę i głośno ziewnęła. podkoszulek, który pożyczyła dospania, ześlizgnął jej się z ramienia. Grube piłkarskie skarpety opadały jej wokół kostek, tworząc coś w rodzaju krasnalowego buta.

- Wciąż pada śnieg?

- Nie. Deszcz ze śniegiem.

- Boże, jak ja nienawidzę Missouri - mruknęła ze złością. - Po co tu mieszkasz?

W pierwszej chwili miał ochotę powiedzieć: żebyś się ode mnie odczepiła. Potem jednak postanowił, że nie będzie się więcej zachowywał jak nadęty idiota.

- Urodziłem się w Springfield - wyjaśnił. - Podoba mi się tu i mam tu rodziców.

- Ach, tak - burknęła, odwróciła się i wyszła. Sheridan słyszał, jak człapie korytarzem do kuchni.

Zasejfował dane na dysku, wyłączył komputer, wytarł ręce i postanowił pójść za Rockie. Miał zamiar przeprosić ją za dotychczasowe nieporozumienia, choć wiedział, że nie przyjdzie mu to łatwo.

Najgorzej mu szło przepraszanie kobiet. Nieliczne próby zakończyły się fiaskiem, podobnie jak wszystkie związki z kobietami. Może należało jej wytłumaczyć, że wyzwala najgorsze cechy jego natury, że przyłapała go w niewłaściwym momencie, kiedy stracił nad sobą kontrolę.

A może powinien jej wyznać prawdę? Że posiadał wielu znajomych, ale tylko jednego przyjaciela. Że spał z wieloma kobietami, ale nigdy się nie zakochał. Że nigdy nie miał w domu gości, bo lubił być sam. Jego dom był jak dotąd jedynym miejscem, w którym nie musiał udawać gorszego, niż jest. To właśnie tu mógł rozwiązywać w głowie wszystkie problemy i odpowiadać sam sobie na najbardziej skomplikowane pytania bez obawy, że ktoś nazwie go zafajdanym mądrąłą.

Nagle zapragnął jej oznajmić, że nie przywiązuje już najmniejszego znaczenia do tego, jaki okazał się jej ojciec i że jest pierwszą kobietą o pięknych oczach, z którą nie musi rozmawiać jak z dzieckiem. Że jest chory z samotności i marzy o tym, by w jej towarzystwie rozwiązywać zagadki z „Koła fortuny”, jeszcze zanim podadzą pierwsze samogłoski.

Chciał jej wyznać, że mógłby ją kochać na wszystkie najbardziej wyrafinowane sposoby, że potrafiłby tak szeptać jej imię, Rochelle, że przeżyłaby rozkosz. Zadrżał i jednocześnie poczuł nagły przypływ determinacji. Musi natychmiast pójść do kuchni, zanim ta wizja rozplynie się, a on straci resztki odwagi.

W połowie drogi doszedł do wniosku, że powinien ją jednak ostrzec, że ma do czynienia z wariatem na tyle szalonym, by mieć nadzieję, że może i on jej się choć trochę podoba.

Ale był przekonany, że ona o tym już wie.

ROZDZIAŁ 14

Jednego Rockie była absolutnie pewna. Jeżeli natychmiast nie dostanie czegoś przyzwoitego do jedzenia, pożre skarpetki Sheridana. Na złość temu idiocie, który sprawiał, że czuła się w jego domu jak intruz.

Wcale nie miała ochoty z nim mieszkać, on też nie marzył o jej towarzystwie, ale Maxwell nie dał im wyboru. Sheridan zabronił jej palić. Trudno, w końcu to jego dom, ale dlaczego chce ją teraz skazać na śmierć głodową?

Kuchnia była wyjątkowo dobrze zaopatrzona, co zdziwiło Rockie, ale wszystko stało się jasne, kiedy znalazła karteczkę:

Sherry, kochanie!

To, co włożyłam ci do lodówki, to porządne jedzenie. Jajka pochodzą od kury, kiełbasa od świni, a ciasteczka z piekarni, nie od McDonalda. Przeczytaj książkę kucharską, którą dałam Ci na święta trzy lata temu. Jeżeli byłeś na tyle zdolny, żeby zrobić magisterium w wieku piętnastu lat, poradzisz sobie z najprostszymi przepisami. Ponieważ jestem Twoją matką i należy to do moich obowiązków, zabrałam z Twojej lodówki wszystkie pizze. To nie jest porządne jedzenie. To tekturowe dania do mikrofalowej kuchenki. Od dam Ci je pod warunkiem, że przyjdiesz do mnie na obiad w niedzielę.

Całuję, Mama P.S. Zabrałam Twoją bieliznę do prania. Odniosę w piątek, jak będę wracać ze szpitala.

Eleanor Sheridan była kardiologiem. Rockie wiedziała o tym od Maxwella. Powiedział jej też, że ojciec Sheridana jest sędzią federalnym. Nie miała pojęcia, po co jej to wszystko mówił. Przecież wcale go nie pytała.

Otworzyła lodówkę i zaczęła wyciągać jedzenie.

- Jedno chciałabym wiedzieć - powiedziała sama do siebie. - Dlaczego twoja matka nazywa cię Sherry, skoro dała ci na imię Leslie?

- Bo tak nazywał się mój dziadek - odezwał się za jej plecami Sheridan.

Zaskoczona, upuściła na ziemię kilka parówek, zatrzasnęła biodrem drzwi lodówki i odwróciła się. Trzymała oburącz karton soku pomarańczowego, bochenek chleba, pojemnik z jajkami i kostkę masła.

Sheridan stał oparty o blat, który oddzielał kuchnię od jadalni. Był nie ogolony, miał ciemne kręgi pod oczami i te swoje staroświeckie okulary na czubku głowy. Mimo to, musiała przyznać, był cholernie przystojny. Położyła swój ładunek na stole i spytała:

- Gdzie jest patelnia?

- W szufladzie pod kuchenką. - Sheridan nogą przyciągnął stołek i usiadł.

Rockie przyklękła i wysunęła szufladę ze zgrzytem, który przejął go dreszczem. W sekundę później stanęła przed nim z żelaznym szpikulcem w pozie, która sugerowała, że miałyby ochotę nadziać go na rożen.

- Zawrzyjmy układ - zaproponował. - Ty mi zrobisz jajecznicę, a ja pozwolę ci tu palić.

- Wypchaj się. - Wsunęła ruszt do piekarnika i zmierzyła Sheridaną lodowatym spojrzeniem. - Łopatką?

- Szuflada za twoimi plecami, koło lodówki. Sięgnęła do szuflady. Kiedy znów się odwróciła, Sheridan posłał jej nieśmiały uśmiech. Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Otworzyła paczkę parówek, nadziała je na szpikulce i włączyła piekarnik.

- Znowu o nas piszą - powiedział. - A raczej o tobie. I o Addisonie. Chcesz zobaczyć gazetę?

- Nie, dziękuję. Oglądałam się już wczoraj wieczorem w CNN. Filizanki?

- Górna szafka po lewej stronie.

Wyjęła dwie i napełniła kawą, którą wcześniej zaparzyła w dzbanku. Postawiła kawę przed Sheridanem, dodając jeszcze łyżeczkę, cukiernicę i butelkę śmietanki. Przez cały czas nie zaszczyciła go ani jednym spojrzeniem. Sheridan nie mógł zdecydować, czy go ignoruje, czy po prostu nie chce, żeby zauważył jej podpuchnięte oczy i rozmazany tusz.

- Dzięki. Jak ci się spało?

- Dobrze. - Rockie wyjęła z szafki miskę i wbiła do niej jajka.

Wolałyby raczej zjeść skorupki, niż przyznać się, że przeplakała całą noc. Co prawda, miała wiele powodów do płaczu, ale łzy nie mogły niczego rozwiązać.

- Jeżeli ci niewygodnie na macie - odezwał się Sheridan - możesz dziś spać w moim łóżku.

- Już mówiłam, że dobrze mi się spało - odburknęła, wściekle ubijając jajka trzepaczką.

- No to dlaczego tak okropnie wyglądasz? Ledwo zdążyła otworzyć usta, odezwał się dzwonek. Sheridan skoczył do drzwi, Wyciągając spod bluzy rewolwer.

- T o twoja matka z praniem - wyjaśniła Rockie. - Nie czytałeś jej listu?

- Którego? Zostawia ich tu dziesiątki. A poza tym ma klucz. - Sheridan wyjrzał przez wycięte w drzwiach okienko, a potem odwrócił się do Rockie i schował broń.

- To moja asystentka. Lepiej się ukryj.

Rockie wyłączyła piekarnik i wybiegła do jadalni.

W połowie drogi zgubiła skarpetę, właśnie wtedy, gdy Sheridan otwierał drzwi z zasuwą. Schyliła się, żeby ją podnieść, ale na odgłos otwieranych drzwi rzuciła się w głąb korytarza.

- Dzień dobry, doktorze Sheridan. Miałam nadzieję, że wróci pan zgodnie z planem. T a

przesyłka została dostarczona do pańskiego biura dziś rano, ekspresową pocztą. Pomyślałam sobie; że może to coś ważnego.

- Dziękuję, Connie. Przypominam ci, że na imię mi Leslie, a nie doktor Sheridan. Jasne?

- Jasne, Leslie. - Connie aż zatchnęło z wrażenia. - Sprawdziłam wczoraj prace studentów. Mam je ze sobą, w teczce. Jestem pewna, że chciałbyś je przejrzeć. - Nie dzisiaj. Zostaw je w moim gabinecie. Sprawdzę je w poniedziałek.

- Dobrze - zgodziła się Connie tonem pełnym zawodu. - Popołudniowe zajęcia zostały odwołane z powodu pogody.

- Wejdz, proszę.

Duży błąd, pomyślała Rockie. Wszystko się wydało, kiedy kazałeś jej mówić do siebie Leslie.

- Tylko na chwilkę - rozpromieniła się Connie.

- Wiem, że jesteś zmęczony i chciałbyś się rozpakować

i... och, jaki piękny dom. - Dziękuję.

Rockie skrzywiła się. Usłyszała trzask zamykanych drzwi, odgłos otrzepywanych ze śniegu butów i stuk teczki na stole.

- Och, masz tu nawet poddasze. T o wspaniale. Connie znalazła się w zasięgu wzroku Rockie. Stała odwrócona do niej plecami i patrzyła w górę. Jej granatowy płaszcz, czerwona czapeczka i płowe włosy lśniły od topniejącego śniegu.

- Czy to twoja sypialnia?

- Owszem - odparł Sheridan.

- Dziekan Simmons mówi, że sam zbudowałeś ten dom.

- Sam go zaprojektowałem. Jestem geologiem, nie cieślą.

Connie roześmiała się. Stała bokiem do Rockie, prezentując profil o zadartym nosku i lekko pucołowatych policzkach. Nagle schyliła się, podniosła upuszczoną przez Rockie skarpetę, a potem odwróciła się i zamarła. Widziała Rockie tylko przez ułamek sekundy, niemniej jednak wystarczająco długo, żeby zauważyć, że sylwetka, która mignęła w drzwiach, należy do kobiety.

Biada twarz Connie pokryła się purpurowym rumieńcem. Dziewczyna powiesiła skarpetę na krześle i wycofała się z dumnie uniesioną głową. Jestem tu z zupełnie innego powodu, niż pani myśli, miała jej ochotę powiedzieć Rockie, ale nie mogła tego zrobić. Wobec tego oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Po chwili usłyszała szcęk zamka od teczki.

- Proszę. Tu są prace studentów i poczta. - Głos Connie lekko drżał. Papiery stuknęły o biurko, potem teczka zatrzęsnęła się.

- Dzięki, że wpadłaś - odezwał się Sheridan. - Jesteś wspaniałą asystentką. Najlepszą, jaką miałem.

Nie traktuj jej tak protekcyjnie, chciała krzyknąć Rockie. Prawdopodobnie Sheridan starał się tylko być miły. Jednak świadomość, że był zdolny do ludzkich uczuć, rozwścieczyła „Rockie. On nie zawsze jest takim nieznośnym świrem, pomyślała z furją, jest taki tylko przy mnie.

- W semestrze jesiennym zwalnia się posada starszego asystenta - powiedział Sheridan do Connie.

Chciałbym z tobą o tym porozmawiać. Może zjadłabyś ze mną lunch któregoś dnia.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała lodowatym tonem. - Chętnie o tym porozmawiam, ale raczej na uczelni.

Biedna dziewczyna, pomyślała Rockie. Przeszła na palcach przez hol i wyjrzała zza rogu. Sheridan z ręką na klamce stał przy drzwiach. Connie miała zapięty pod szyję płaszcz i czapkę na głowie. W ręku trzymała teczkę.

- Dobrze - odrzekł Sheridan. - Jak wolisz. Jedź ostrożnie.

- Będę uważać. Do widzenia, doktorze Sheridan. Otworzył drzwi i Connie wyszła na dwór. Trochę mokrego śniegu wleciało przez otwarte drzwi. Sheridan zamknął je i wrócił do jadalni.

- Widziała cię? - spytał Rockie.

- Oczywiście. Nie jestem przezroczysta.

- A twoją twarz?

- Nawet jeżeli, to co?

- Jesteś na pierwszej stronie gazety. - Sheridan rzucił na stół lokalny dziennik.

- Rodzona matka nie poznałaby mnie na tym zdjęciu.

- Módl się o to. - Sheridan porwał z krzesła kurtkę.

- Hej, Connie - krzyknął, uchylając drzwi na dwór. Przez cienkie firanki w jadalni Rockie zobaczyła, że dziewczyna otwiera drzwi brązowej toyoty. Już trzęsła się z zimna.

- Zostaw samochód tutaj - zawołał Sheridan, przekrzykując wiatr. - Odwiozę cię swoim do domu.

Rockie intuicyjnie wyczuła, że Connie się waha.

Potem dziewczyna rozpromieniła się, skinęła głową i zatrzasnęła drzwiczki samochodu. Całe współczucie Rockie zniknęło w jednej chwili.

- Nienawidzę tej przekłetej roboty. - Sheridan cofnął się i kopniakiem zatrzasnął drzwi.

- Której?

- Obu. - Nasadził czapeczkę, porwał ze stołu

przesyłkę ekspresową i wsunął ją do kieszeni. - Gdyby przyszła moja matka z praniem, powiedz jej - zerwał czapkę z głowy i rzucił okulary na stół - powiedz jej, co chcesz. Wymyśl coś. W końcu jesteś aktorką.

- A ty co masz zamiar robić z Connie? Też improwizować?

- Jeżeli to będzie konieczne... - Sheridan zapiął kurtkę, unikając spojrzenia Rockie.

- Jeśli masz ochotę przespać się ze swoją dziewczyną, po prostu zrób to. Nie musisz przede mną udawać.

- O niczym bardziej nie marzę. Może tylko o tym, żeby cię stąd wyrzucić na zbity pysk. - Sheridan nałożył brązowe skórzane rękawiczki i spojrzał na Rockie. - I tak właśnie bym postąpił. Connie pozwoliłbym zawiadomić wszystkich agentów FBI w okolicy, że Rockie Wexler żyje i ma się dobrze w Springfield, w stanie Missouri. Tylko że samoloty nie odlatują stąd przy takiej pogodzie, a ja będę musiał tu mieszkać po twoim wyjeździe. A skoro tak, zrobię to, co zamierzam.

- Nie na mój rachunek - odcięła się Rockie.

- Już powiedziałem. - Sheridan skierował się do kuchni.

Rockie zastąpiła mu drogę.

- Masz zamiar zostawić mnie tu samą?

Na myśl o tym poczuła, że poca jej się dłonie.

Kolejny znak słabości spowodowanej stresem. Podobne pytanie zadała Maxwellowi, zanim wyjechał do Nowego Jorku.

Powiedział jej wtedy: Greer Hanlon nie jest głupcem. Namierzył cię w Los Angeles i nie trafił. Drugi raz nie popełni tego samego błędu. A poza tym wiesz, że najciemniej jest zawsze pod latarnią.

- Nie jesteś tu sama. - Sheridan pociągnął ją do okna i pokazał niebieską furgonetkę, zaparkowaną po drugiej stronie ulicy. - W środku siedzi facet od podsłuchu, Perry. Nagrywa wszystkie telefony, na wypadek, gdyby Hanlon znów zadzwonił. Będzie miał na ciebie oko.

- Więc co mam robić, kiedy cię nie będzie? Sheridan spojrzał na nią przez ramię. W jego oczach zapaliły się czerwone błyski.

- Będziesz sobie mogła popalić w domu.

Wszedł do garażu i zatrzasnął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 15

Nie będę na nich patrzeć, nie będę, powtarzała w duchu Rockie, ale niedługo wytrzymała w tym postanowieniu. Kiedy usłyszała szcęk zamykanych drzwi do garażu i warkot silnika, popędziła do okna, zgrzytając zębami.

- Nie będę - powtórzyła na głos z wściekłością, patrząc, jak czerwony ford pikap wyjeżdża na ulicę.

Sheridan włączył światła i wycieraczki i zatrzymał wóz koło brązowej toyoty. Rockie z obrzydzeniem popatrzyła na rozpromienioną twarz Connie. Dziewczyna wyglądała jak Kopciuszek, któremu książe z bajki wsunął złoty pantofelek na nogę.

Sheridan nawet nie spojrzął na dom. Zaprosił Connie do samochodu i odjechali. Czerwony ford wolno minął niebieską furgonetkę, dojechał do końca ulicy i skręcił w lewo. Rockie westchnęła, nałożyła zgubioną skarpetę i włączyła telewizor.

Przygotowując w kuchni śniadanie, nasłuchiwała, czy nie ma jakichś wiadomości o ojcu. Po śniadaniu zmyła naczynia i rozpała ogień na kominku. Potem ściszyła telewizor i zapaliła papierosa. W jednej z szafek natknęła się na popielniczkę, zrobioną z jakiejś wydrążonej skamieliny. Właściwie to dziwne, że człowiek, który nie pozwalał jej palić w swoim domu, trzymał w kuchni popielniczki.

Włączyła komputer i przerzuciła pocztę, którą przyniosła Connie. Nie było nic od ojca, ale co szkodzi sprawdzić. Przesyłka ekspresowa gdzieś zniknęła. Przypomniała sobie, że Sheridan ją zabrał. Ciekawe, po co?

Zgasiła papierosa, przyniosła listę plików, które przepisała z dyskietek ojca i po raz nie wiadomo który zaczęła je studiować. Ubiegłej nocy sprawdziła wszystkie, próbując znaleźć jakiś kod albo jakąś inną nazwę. Zresztą widziała, że Sheridan też szukał zaszyfrowanego zbioru.

Była pewna, że coś takiego istnieje. Osobiste dyskietki ojca były jedynym miejscem, w którym mógł bezpiecznie ukryć wszystkie dane TAQ. Jej zadaniem było znaleźć nazwę hasła, które umożliwiło dotarcie do zaszyfrowanych plików.

Wzięła następnego papierosa i spróbowała myśleć tak jak ojciec, a nie o Sheridanie. Wystukała Rockie i wcisnęła klawisz Enter. Komputer poinformował, że nie ma takiego zbioru. Spróbowała Rochelle, swoje drugie imię Elaine, Smith, Kimball, TAQ, i wiele, wiele innych. Wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, bez względu na to, jak bardzo wydawało się głupie albo nie na temat. Fax w gabinecie Sheridana bez przerwy dzwonił i stukał, ale Rockie nie zwracała na to uwagi. Znalazła duży zeszyt i zaczęła notować wszystkie hasła, które dotąd wypróbowała. Zapisła kilka kartek i ciągle nic.

Muszę się bardziej skoncentrować, pomyślała. Kolejny papieros wypalił się w

popielniczce po filtr. Nawet go nie tknęła. W końcu wstała, przeciągnęła się i rozprostowała obolałe ramiona. Spojrzała na zegar w kuchni. Druga czterdzieści pięć.

Czy Sheridan najpierw zabrał Connie na lunch, czy od razu poszli do łóżka? O czym szeptali na pachnącej pościeli w grosszki, w jej dziewczęcej sypialni? O planie zajęć na następny semestr?

Na myśl o tym Rockie się wzdrygnęła. Podeszła do okna, rozsunęła firanki i wyjrzała na dwór. Znowu padał gęsty śnieg. Z szarego nieba sypały białe płatki, pokrywając grubą warstwą ulicę i zaparkowaną naprzeciw domu niebieską furgonetkę.

Latarnie rozświetlały mrok, ale w duszy Rockie panowały głębokie ciemności. Była zupełnie załamana. Nie potrafiła myśleć jak ojciec. Rozmasowała zdrętwiały kark i postanowiła wziąć prysznic. Może wtedy rozjaśni jej się w głowie.

Stojąc pod strumieniem gorącej wody, jeszcze raz podsumowała wydarzenia ostatnich czterech dni. Próbowwała się skupić na tych paru rzeczach, które ojciec mógł jeszcze zrobić, zanim Conan dostał go w swoje ręce, ale przed oczyma wciąż miała Sheridana oraz ich spotkanie, kiedy zobaczyła go nad sobą na wzgórzu, szaleńczy zjazd tunelem, wreszcie jego uśmiech w samochodzie w Los Angeles. Obrazy, które podsuwała jej wyobraźnia, były wyjątkowo wyraźne i pełne szczegółów. Nagle zobaczyła i niemal poczuła jego muskularne ciało i zachęcający błysk w oku, kiedy się do niej uśmiechnął.

Kiedy zakładała mu czapkę, w szpitalu w Barstow, jej palce na moment musnęły pierś Sheridana. Na wspomnienie tamtej chwili zrobiło jej się gorąco. Czy teraz głowa Connie spoczywa na nagiej piersi Sheridana, a jej ręce błądzą po jego smukłych udach? Zamknęła oczy. Mydło wystrzeliło z zaciśniętej pięści.

Podniosła je i wzięła głęboki oddech. To nie jej sprawa, co Sheridan robi w tej chwili z Connie. Rozczulanie się nad sobą na pewno nie pomoże jej odnaleźć ojca.

Wreszcie doszła trochę do siebie. Wytarła się i ubrała w rzeczy, które kupił jej Maxwell, jasnozielone legginsy i gruby, wełniany sweter. Nie był to może jej ulubiony kolor, ale Maxwell stał nad nią w sklepie w Barstow, oparty o ścianę, z rękoma skrzyżowanymi tak, żeby widzieć zegarek. Nie miała czasu na żadne zakupy. Po prostu porwała, co było pod ręką.

Wyłączyła suszarkę, którą znalazła w jednej z szafek na bieliznę i zaciśnęła usta na widok swojego odbicia w lustrze. Maxwell. Ojciec nalegał, żeby zadzwoniła do Maxwella natychmiast po odłożeniu słuchawki. Może jego nazwisko jest kluczem?

Wyskoczyła z łazienki i pognęła do gabinetu Sheridana. Fax ciągle stukał i dzwonił. Siadając przed komputerem, kątem oka dostrzegła streszczenie wiadomości CNN i zdjęcie szybu wiertniczego, z którego w szare, zachmurzone niebo tryskała fontanna ropy. Wystukała Maxwell

i wcisnęła Enter. Znowu nic.

Zacisnęła zęby.

Spróbowała Max i głośno zakląła, kiedy okazało się, że nie ma takiego zbioru.

Odchyliła się do tyłu i zaczęła bębnić palcami po biurku. Było jeszcze nazwisko, o którym dotąd nie pomyślała.

- Niech cię diabli - szepnęła, wystukała Sheridan i wcisnęła Enter.

Monitor zamrugał, błysnął i na ekranie ukazał się napis: DIR C:SHERIDAN

Drżąc z podniecenia, przeczytała listę nowych plików:

APPLICAI NOTATKI 3 SHERRY2

APPLICA2 PROLOG DOKUM

NOTATKI I SCHEMAT WINKIM1

- Jasny gwint - jęknęła, wpatrzona w migoczący ekran.

Drżącymi rękami sięgnęła po papierosa, naprowadziła kursor na PROLOG i wcisnęła klawisz Enter. Na NOTATKI2 SHERRY1 WINKIM2

ekranie ukazał się list do Sheridana, datowany: wtorek, 6 listopada. Zaczęła czytać. Papieros wyslizgnął się jej z palców i upadł na podłogę.

Drogi Sherry,

Jeżeli chodzi o TAQ, to ty miałeś rację, a nie ja. Bóg mi świadkiem, że bardzo żałuję tego, co się stało, ale czy kiedykolwiek kogoś słuchałem?

Na pewno już wiesz, że przepisałem wszystkie twoje obliczenia, zanim oddałem je ludziom, którzy wyratowali nas wtedy na wyspie. Żałuję, że je zabrałem i nie pozwoliłem im utonąć na dnie Pacyfiku. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo żałuję.

Zwracam ci je w plikach, zatytułowanych SHERRY 1 i SHERRY2. Moje notatki, dokumentacja i schemat obu prototypów TAQ, które skonstruowałem na podstawie twoich obliczeń, znajdują się w plikach o stosownych nazwach. Liczę, że zniszczysz dokumentację i aparaturę i że razem z Maxwellem nie dopuścicie do tego, by Winston Kimball, sponsor mojego projektu, zdążył urzeczywistnić swoje plany związane z TAQ. Nie mogę być przy was, żeby wam pomóc, ale szczegóły znajdziecie w plikach WINKIM1 i WINKIM2.

Kimballa karmiłem przez cały czas po trochu, tylko na tyle, żeby podpisywał czek. Trzy miesiące temu zażyczył sobie zmian w prototypie. Mogę się tylko domyślać, że znalazł kogoś, kto miał zająć moje miejsce i kontrolować moją pracę. Z początku myślałem, że to ty, póki nie nabrałam pewności, do czego Kimball chce użyć TAQ.

Kimball wydzierżawił wielkie obszary roponośne w północnej Mryce. Złoża są tak bogate, że mogłyby przejąć kontrolę nad światowym rynkiem naftowym. Problem tkwi w tym, że są

położone zbyt głęboko. Po przeanalizowaniu zmian, które chciał wprowadzić do prototypu TAQ, jestem pewien, że zamierza użyć aparatury do wywołania wstrząsów, żeby wypchnąć złoża w górę, ku powierzchni ziemi. Bardzo ryzykowne posunięcie. W praktyce może się okazać wręcz katastrofalne. Przeczytaj pliki APPLICAL i APLICA2 - tam znajdziesz szczegóły.

Podzieliłem się wczoraj z Kimballem moimi podejrzeniami, kiedy po raz pierwszy w życiu - i mam nadzieję po raz ostatni - rozmawiałem z nim przez telefon. Spodziewałem się, że wszystkiemu zaprzeczy i będzie mi groził - i tak się rzeczywiście stało - zwłaszcza kiedy powiedziałem mu, że kończę z nim i z TAQ. Nie spodziewałem się, że będzie groził mojej córce.

Wiesz, że niełatwo mnie przestraszyć, ale groźby pod adresem mojej córki śmiertelnie mnie przerażają. Ona nic nie wie o TAQ. Mówiłem to Kimballowi, ale chyba nie słuchał. Rockie jest w tej chwili w Hiszpanii. Chciałbym wierzyć, że to wystarczająco daleko, mimo to się martwię. Wraca za dwa tygodnie. Zostawiłem jej wiadomość, żeby zadzwoniła do Maxwella, ale nie mam pewności, że to zrobi. Jest równie uparta jak ja. Poza tym boję się, że Kimball wyśle kilku typków, żeby na nią czekali na lotnisku.

Błagam, nie dopuść do tego, żeby coś stało się Rockie. Zaopiekuj się nią. Jest najlepszą częścią mojego życia. Obym mógł jej to kiedyś sam powiedzieć.

Byłeś głupcem, Sherry, że mi zaufałeś, ale ja byłem jeszcze większym głupcem, że zaufałem Kimballowi. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Addison Wexler

ROZDZIAŁ 16

Rockie siedziała bez ruchu, wpatrzona w kursor, migający w środku listu. Była zbyt oszołomiona, żeby płakać. Nawet oddychanie przychodziło jej z trudem, nie mówiąc już o myśleniu.

Fax w pokoju Sheridana znowu się rozdzwonił.

Jego przenikliwy dźwięk wyrwał wreszcie Rockie z otępienia. Gwałtownie zamrugła i podniosła wzrok. Nad monitorem zobaczyła ekran telewizora stojącego w jadalni. Materiał filmowy ukazywał zalany wodą Piccadily Circus i pękniętą kopułę katedry świętego Pawła. U dołu ekranu przesuwiał się napis: Londyn, Anglia.

Kiedy na ekranie, na tle oświetlonego reflektorami, popękanego dziedzińca pałacu Buckingham pojawił się reporter w szarym trenczu, Rockie poderwała się z krzesła i rzuciła do telewizora.

„Katakлизм, który dotknął dziś Londyn, można porównać do nalotów podczas II wojny światowej mówił reporter do mikrofonu. - I choć jak dotąd mamy doniesienia tylko o lekko rannych i niewielkich zniszczeniach, trzęsienie ziemi o sile 4,2 stopnia, które zaskoczyło brytyjską stolicę po południu, parę sekund po tym, jak Big Ben wybił godzinę drugą, zaszokowało londyńczyków i zaskoczyło naukowców.”

Rockie też początkowo była zaskoczona. Aż do chwili, kiedy na ekranie ukazały się zdjęcia, które już widziała, przedstawiające szyb naftowy i tryskające gejzery ropy.

„Oto platforma wiertnicza na Morzu Północnym, należąca do Winstona Kimballa. – Reporter kontynuował relację: - Miała być zamknięta i zdemontowana. Tymczasem dziś, tuż przed drugą, nastąpił wytrysk, który teraz oglądamy. Zakotwiczona u wschodnich wybrzeży Szkocji platforma jest oddalona około dwudziestu mil morskich na południowy wschód od epicentrum trzęsienia, które nawiedziło Londyn zaledwie kilka minut później. Odwiert został skutecznie zaczopowany wkrótce po nakręceniu tych zdjęć przez

- odbywający rutynowy lot helikopter Marynarki Królewskiej. Wyciek ropy został już opanowany i w minimalnym stopniu dotknęło okoliczne łowiska. Brytyjcy ekolodzy z uznaniem wyrażają się o załodze platformy. Ich błyskawiczna akcja uratowała wody Morza Północnego przed katastrofą ekologiczną.”

Rockie wygodnie rozsiadła się na kanapie. To jasne, że załoga zwijała się jak, w ukropie. Przecież lada moment wszyscy spodziewali się wybuchu. Sheridan powiedział, że jeśli ojciec ma dość rozumu w głowie, powinien pójść na współpracę. Miała nadzieję, że ojciec wywoła trzęsienie ziemi, kiedy przystawia mu lufę do głowy. Teraz, po przeczytaniu listu, ogarnęły ją poważne wątpliwości.

Ojciec twierdził, że nie znał planów Kimballa, ale ona nie da się na to nabrać. Przecież ukradł plany Sheridana i nawet się do tego przyznał. Dokładnie wiedział, co robi dla Kimballa i w jakim celu. Conan powiedział jej to samo.

Z westchnieniem ukryła twarz w dłoniach. Nic dziwnego, że Sheridan tak jej nienawidził. Przez ostatnie cztery dni nie robiła nic innego, tylko wychwalała pod niebiosa ojca - świętego Addisona Wexlera, złodzieja, kłamcę i oszusta.

W kuchni zadzwonił telefon. Uniosła głowę i wzięła głęboki oddech. Miała ochotę rozplakać się albo krzyknąć, jednak postanowiła odebrać. Weszła do kuchni, podniosła słuchawkę i powiedziała:

- Mieszkanie doktora Sheridana.

- Tu Maxwell. Daj mi Sherry'ego.

- Nie ma go w domu. Wyjechał kilka godzin temu

ze swoją asystentką. Widziała mnie. Pojechał z nią, żeby jej wyperswadować telefon do FBI.

- Perry, jesteś na linii?

- Tak, proszę pana - odezwał się rześki, młody głos.

- Idź do panny Wexler i zostań z nią aż do powrotu doktora Sheridana.

- Już leczę.

W słuchawce rozległ się cichy brzęk, a potem Maxwell zapytał:

- Wszystko w porządku, Rockie?

Łzy napłynęły jej do oczu. Otarła je i spojrzała na migoczący monitor z listem ojca. Mogła go zmasakrować z dysku i nikt - no, może poza jakimś światowej sławy specjalistą - nie byłby w stanie go odzyskać albo w ogóle domyślić się, że kiedykolwiek istniał. Ale nie chciała postępować jak ojciec.

- Właśnie widziałam w telewizji trzęsienie ziemi w Londynie - zaczęła, biorąc głęboki oddech. - Znalazłam ukryte pliki na dyskietkach ojca, kiedy przez przypadek wystukałam: Sheridan. Jest na nich wszystko. Dokumentacja TAQ i plany Kimballa.

- Jakie plany?

Rockie wszystko mu opowiedziała.

- Jadę do ciebie. Zgarnę po drodze Sheridana..... oznajmił, kiedy skończyła. - A ty siedź z Perrym i nigdzie się nie ruszaj.

N a linii zapadła cisza. W tej samej chwili odezwał się dzwonek przy drzwiach. Rockie odłożyła słuchawkę i poszła otworzyć. W progu stał młody chłopak w czarnej kurtce i zielonej czapce narciarskiej. Miał zaczerwienione policzki i trząsał się z zimna.

- Dzień dobry. Jestem Perry - przedstawił się. - A to Louie - dodał, podnosząc w górę kij baseballowy.

Zaczął otrzepywać śnieg z butów. Powiew mroźnego powietrza wtargnął do domu. Rockie zdała sobie sprawę, że stoi boso. Nagle zrobiło jej się zimno. Wstrząsana dreszczem, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na zasuwę.

- Max ciągle mi powtarza, że powinienem mieć broń. - Perry przetarł zaparowane okulary w złotych oprawkach, a potem oparł kij o ścianę. - Ale ja się boję broni.

- Ja też - przyznała Rockie.

- Jak. tu miło i ciepło. - Perry zdjął narciarską czapkę. Naelektryzowane włosy sterczały mu na wszystkie strony. - W mojej furgonetce nawet z grzejnikiem jest piekielnie zimno.

Piwnie oczy spojrzały na nią z przyjaznym zaciekawieniem. Był niewiele od niej wyższy i wyglądał niewiarygodnie młodo. Jak to możliwe, że taki dzieciak pracował dla Maxwella?

- Mam więcej lat, niż na to wyglądam - powiedział. - Naprawdę.

Rockie uśmiechnęła się zmieszana. Kiedy znowu zabrzączał fax, podskoczyła ze strachu. Perry głośno się roześmiał.

- To tylko papier się skończył. - Wsadził rękawiczki do kieszeni, zdjął kurtkę i rzucił ją na krzesło.

- Założę nową rolkę.

Zdjął buty i w samych skarpetkach ruszył w głąb korytarza. Rockie weszła do pokoju gościnnego, usiadła na macie i zaczęła naciągać wełniane skarpety Sheridanana.

Marzła, odkąd przyjechała do Missouri. Zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu będzie jej ciepło. No i co powie Sheridan, kiedy zobaczy list od jej ojca.

Wróciła do holu, a potem przez uchylone drzwi zajrzała do gabinetu. Fax znowu pracował. Perry stał przy biurku Sheridanana i układał wydruki, które przyszły do tej pory. Na widok Rockie wyciągnął rękę z arkuszem.

- Kroją się niezłe kłopoty. - powiedział. Nagłówek, Amerykański Instytut Seismologiczny, był nieco zamazany, ale pozostała część listu od doktora Freda Eddingsa była jasna i czytelna. - Podobnie jak ostry, kategoryczny ton pięciu krótkich akapitów:

„Kiedy pozwoliłem ci wziąć w tym udział, obiecałeś, że odpowiesz na wszystkie moje pytania. Wobec tego żądam odpowiedzi.

Po pierwsze, wyjaśnij mi, dlaczego wszystkie stacje sejsmiczne na świecie wyznaczyły epicentrum trzęsienia ziemi, które nawiedziło Londyn, ale żadna z nich nie była w stanie określić punktu krytycznego pod powierzchnią ziemi. Wyjaśnij mi, jak to jest możliwe, żeby

źródło wstrząsów znajdowało się na powierzchni Morza Północnego.

Wyjaśnij mi również, jak to możliwe, że wtórna fala sejsmiczna, której prędkość rozchodzenia się jest o 2,05 mili na godzinę mniejsza niż prędkość fali pierwotnej, dotarła do platformy wiertniczej u wybrzeży Szkocji dokładnie w tym samym czasie? Jak to możliwe, że fale wtórne, które nie rozchodzą się w cieczach, przemierzyły ten przeklęty ocean?

Dlaczego fale pierwotne obumarły w zetknięciu z linią umocnień wybrzeża, a wtórne nie? Jak to się stało, że zmieniły kierunek i przemierzyły całe wybrzeże Anglii, docierając aż do Londynu?

Przyznaj się, Sherry, czy aby znów nie eksperymentujesz z T AQ? A jeżeli tak, dlaczego nie miałbym zadzwonić do FBI i CIA i wysłać ich do Springfield, żeby cię aresztowali? Odpowiedz mi do jutra do dziewiątej albo zabieraj stąd tyłek i leć pierwszym lepszym samolotem do Brazylii.

Fred PS. Nie zapomnij wziąć ze sobą TAQ.”

- O Boże - jęknęła Rockie, oddając Perry'emu fax.

- Mam nadzieję, że Sherry wróci w porę - odpowiedział.

Czy spojrzenie, którym ją obrzucił, było pełne wyrzutu, czy też w błyskawicznym tempie rosło w niej poczucie winy? Doszła do wniosku, że jedno i drugie, więc szybko wycofała się z gabinetu.

Usiadła przy komputerze, wykasowała list ojca z ekranu monitora, potem przeszła do salonu i zgasła telewizor.

Zapas informacji, które przyniósł dzisiejszy dzień, wystarczy jej do końca życia.

Na chwilę w domu zapanowała kompletna cisza.

Ale trwała nie dłużej niż dwadzieścia sekund. A potem usłyszała ten dziwny dźwięk: Nie dochodził z wnętrza domu, tylko gdzieś z ulicy. Najpierw cichy jednostajny szum, który, w miarę jak się przybliżał, stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu szyby zaczęły drżeć, a Rockie przerażona podbiegła do okna i wyjrzała na dwór.

T o nie był czołg, tylko wielka, żółta ciężarówka z zardzewiałym błotnikiem. Po chwili Rockie zrozumiała, że to pług śnieżny, który oczyszczał ulicę i rozsypywał sól na jezdni.

Podeszła do drzwi, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Przez cały czas myślała o liście od ojca. Ojciec dał jej do zrozumienia, że rząd wiedział wszystko o T AQ. Być może zajmie im trochę czasu, żeby złożyć wszystkie fragmenty układanki w jedną całość, ale Fredowi Eddingsowi już się to udało. Jeżeli w porę nie odnajdą jej ojca i nie zdemaskują Winstona Kimballa, doktor Leslie Sheridan stanie się równie niesławny, jak Frankenstein. A wtedy nigdy więcej nie zobaczy jego uśmiechu.

Oparła czoło o zamarznąłą szybę. Może trzeba było zostać w Hiszpanii? Może gdyby się wtedy rozebrała, reżyser przekonałby się, że gra niewarta świeczki. Nie zrobiłaby kariery, ale przynajmniej miałyby pracę. No i co najważniejsze, byłoby jej ciepło.

Ciężarówka dojechała do końca ulicy i zawróciła.

Mimo iż dochodziła dopiero czwarta, było już prawie całkiem ciemno. Kilka ostatnich płatków śniegu zawirowało w świetle reflektorów. Nagle kierowca opuścił pług i wcisnął gaz.

Zgrzyt metalu o lód przyprawił Rockie o dreszcz.

Pług pędził z prędkością, od której włos zjeżył jej się na głowie. Jeżeli ten typ natychmiast nie zwolni, gotów roztrzaskać samochód Connie. Ledwie to pomyślała, pług przejechał na drugą stronę ulicy i staranował tył niebieskiej furgonetki.

Ostrze odgarniające śnieg wbiło się z hukiem pod furgonetkę i wyrzuciło ją w górę. Przejechała jeszcze z pół metra na przednich kołach, a potem jej opony uderzyły o krawężnik. Wóz przekoziółkował dwa razy i wylądował na boku ze spłaszczonym dachem i rozbitą szybą.

- Rany boskie! - jęknął Perry w głębi domu.

Rockie usłyszała jego kroki w korytarzu, ale była zbyt oszołomiona, żeby się ruszyć z miejsca. Nagle drzwi szoferki otworzyły się i kierowca pługa wyskoczył na ulicę. Był ubrany w szary ocieplacz i pomarańczową kamizelkę. Miał krótko przystrzyżone ciemne włosy i największe łapy...

Rockie głośno westchnęła.

- To nie może być on. To niemożliwe. Zacisnęła powieki, odliczyła do trzech i znów otworzyła oczy.

To jednak był on - Conan.

Zdjął kamizelkę, wrzucił do szoferki i zatrzasnął drzwi. A potem ruszył powoli przez ulicę. Na jego twarzy gościł uśmiech, tak dobrze znany Rockie.

- Max mnie zabije. - Perry stanął za plecami Rockie. Wyjrzał przez okienko i głośno przełknął ślinę. - Cholera, o ile Conan go nie uprzedzi.

- Zniszcz stacje dysków - powiedziała Rockie. - Nie zwracaj sobie głowy monitorami.

Perry nie zadawał niepotrzebnych pytań. Porwał swój kij baseballowy i wyrzucił go w komputer, a potem popędził do gabinetu. Rockie chwyciła ze stołu dyskietki ojca, pobiegła do salonu i wrzuciła je do kominka. Mogła tylko mieć nadzieję, że Maxwell rzeczywiście je skopiował. Potem podeszła do okna i zobaczyła, że Conan stoi już przed domem.

- Chodź tu i spróbuj mnie złapać, sukinsynu - mruknęła, odwróciła się i stanęła oko w oko z Perrym.

- Niech pani ucieka tylnym wyjściem. - Rzucił jej buty i popchnął w stronę drzwi

wychodzących na patio. - Nie! - gwałtownie zaprotestowała, chwytając go za rękę.

- Niech pani posłucha. - Perry znowu zaczął ją pchać. - Nawet gdyby Conan mnie nie zamordował, na pewno zrobi to Max, jeżeli coś się pani stanie. Ja i Louie jakoś sobie poradzimy.

- Ty i Louie nie macie najmniejszych szans. - Rockie chwyciła Perry'ego za ramiona i teraz ona zaczęła go popychać w kierunku wyjścia na patio. - Szefowi Conana zależy na mnie, więc nic mi nie mogą zrobić. Natomiast jeśli ty wejdiesz mu w drogę, zabije cię. Jestem tego pewna w stu procentach. A przecież ktoś musi powiedzieć Maxwellowi, co się ze mną stało. Kto to robi, jeżeli Conan cię zabije?

Perry przygryzł wargi. Rockie widziała, że się waha.

T o był jeszcze dzieciak i bez względu na to, co mówił, na pewno się bał. Nie mogła mieć do niego pretensji. Ona sama też była przerażona. Niezdecydowanie Perry'ego trwało może dwie sekundy. Potem usłyszeli głośnie walenie do drzwi.

- Jest pani przekonana, że nic pani nie zrobią?

- Absolutnie - zapewniła go Rockie, modląc się, żeby to była prawda. - Uciekaj.

- Dobrze, już idę, ale następnym razem wezmę broń.

Łomot do drzwi frontowych powtórzył się. Perry otworzył szklane drzwi na końcu korytarza. Nim się wymknął do patia, Rockie szepnęła:

- Przekaż Sheridanowi wiadomość ode mnie. Powiedz mu: C, dwukropek, kreska, Sheridan, kreska. On to zrozumie.

- Zrobi się. - Perry skinął głową i skoczył w głąb podwórka.

Rockie patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za płotem. Potem zamknęła drzwi i odwróciła się w momencie, kiedy drzwi frontowe wyleciały razem z futryną.

W progu stał uśmiechnięty Conan. Rockie wczepiła się kurczowo w oparcie kanapy, żeby ukryć drżenie rąk. - Witam, panno Wexler - powiedział, wchodząc do salonu. Na widok rozbitego komputera i płonących w kominku dyskietek wymownie pokiwał głową.

- Myślę, że zniszczyła też pani sprzęt doktora. Sheridana.

- Jasne - mruknęła Rockie. - Chcesz sprawdzić, Conan?

- Nie, wierzę pani. A gdzie się podział chłopak?

- Wyszedł stąd dawno temu - skłamała.

- Panno Wexler - Conan popatrzył na nią z wyrzutem - jak na aktorkę kiepsko pani kłamie.

Ruszył korytarzem, ze wzrokiem utkwionym w drzwi prowadzące do patia. Rockie zastąpiła mu drogę.

- Nie rób mu krzywdy. W niczym wam nie zagraża. Conan popatrzył na nią z góry. Jego

oczy były podobne do oczu Maxwella - martwe, bez cienia współczucia albo litości.

- Mój pracodawca jest zdania, że zawsze trzeba się zabezpieczyć. Chyba nie muszę jeszcze raz o tym przypominać?

- Proszę - powiedziała Rockie błagalnym tonem - to jeszcze dzieciak.

W oczach Conana pojawił się krótki błysk. Potem odwrócił się i zdjął z krzesła kurtkę Rockie.

- Dobrze, panno Wexler, robię to dla pani. Ale tylko tym razem.

Bez uśmiechu podał jej kurtkę.

- Musimy się śpieszyć, ojciec czeka na panią.

ROZDZIAŁ 17

Z mieszkania Connie do domu Sheridana jechało się dwadzieścia minut. Sheridan pokonał tę drogę w dwanaście. Gdyby ulice nie były oblodzone, przyjechałby jeszcze prędzej.

Już mieli iść do łóżka, kiedy zatelefonował Perry.

Sheridan wskoczył w spodnie, porwał kurtkę, nasunął baseballową czapkę na czoło i wybiegł z domu. Jeszcze na ulicy ścigały go okrzyki zawiedzionej Connie.

W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno. Connie dała mu jasno do zrozumienia, jaka jest jej cena za milczenie. Miał tylko dwa wyjścia: zapłacić albo ją zwięzać i unieszkodliwić. W końcu doszedł do wniosku, że łatwiej będzie poradzić sobie z nią, zdejmując spodnie, i wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Jaka szkoda, że nie posłuchał swojej matki. Zawsze mu powtarzała, że nie można wierzyć kobiecie, która się nie maluje. Albo Maxwella, który uważał, że cel uswięca środki. Trzeba było od razu iść z Connie do łóżka i w pięć minut byłoby po wszystkim.

Tak, powinien był to zrobić i zaraz potem wracać.

I pewnie tak by postąpił, choćby dla własnej wygody, gdyby nie ta przeklęta pewność, że nie będzie potem w stanie spojrzeć Rockie w oczy. A teraz może się tylko modlić: żeby było mu dane jeszcze ją kiedyś zobaczyć.

N a myśl o tym, co mogło stać się z Rockie, ogarnęło go przerażenie, które jeszcze się wzmogło na widok roztrzaskanej furgonetki. Zabije za to Conana. Nawet jeśli byłaby to ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobi.

Zostawił samochód na podjeździe i popędził do domu. Przebiegł przez jasny kwadrat światła na śniegu i przez wyłamane drzwi wpadł do holu. Zerwał z głowy czapkę, a z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął dyskietki. To właśnie one były w przesyłce, którą przywiozła mu Connie.

Maxwell już wcześniej skopiował osobiste dyskietki Addisona Wexlera. Potem Sheridan nadał je sam do siebie z Barstow. Dyskietki, które Rockie próbowała wymienić za ojca, były fałszywe. Nie tylko Winston Kimball uważał, że zawsze trzeba się zabezpieczyć. Sheridan miał nadzieję, że Kimball regularnie opłacał swoje ubezpieczenie. Jego spadkobiercom może się bardzo przydać.

Rzucił kurtkę na krzesło. Pod stołem leżała zapalniczka Rockie, jej papierosy i pełna niedopalków kamienna popielniczka. Pozbierał wszystko i zajrzał do kuchni.

Zegar na mikrofalowej kuchence wskazywał czwartą czterdzieści siedem. Sheridan wiedział od Perry'ego, że Conan staranował furgonetkę swoim pługiem dokładnie o godzinie czwartej. Mając samolot i prawie pięćdziesiąt minut przewagi, mógł już być o dobre kilkaset

kilometrów stąd. Kierunek się nie liczył, tylko punkt docelowy.

Sheridan sam jeszcze nie wiedział, co zrobi, jeśli dyskietki Wexlera nie powiedzą mu, gdzie mogła znajdować się Rockie. Albo przynajmniej nie podsuną jakiegoś pomysłu. Nie miał zamiaru teraz nad tym się zastanawiać. Pomyśli o tym wtedy, kiedy to będzie konieczne.

- Perry! - zawołał, nakładając okulary. - Czy udało ci się odłączyć tę stację dysków?

- Właśnie skończyłem - odpowiedział Perry, zgarniając na stos. w rogu pokoju strzaskaną plastikową skorupę ze zwisającymi metalowymi częściami.

Sheridan wbiegł do gabinetu i smętnie pokiwał głową na widok czegoś, co kiedyś było jego 1200 MG CD - ROM za pięć tysięcy dolarów.

- Dobra robota - powiedział.

- Mogę to naprawić, nie ma problemu. - Perry odwrócił się do niego. - Przepraszam, Sherry. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

- To nie był dobry pomysł, Perry. To był genialny pomysł. - Sheridan osunął się na krzesło i włączył zapasową stację dysków. Nie była to co prawda jego 1200 MG, ale w tej sytuacji musiała wystarczyć. - Gdyby Conan położył łapy na dokumentacji Wexlera, nie mielibyśmy już czego szukać.

- To nie był mój pomysł, tylko panny Wexler.

Spaliła też dyskietki.

Sheridan zdumiał się. Nie dlatego, że Rockie pomyślała o wszystkim. Zdziwił go ton Perry'ego. Ten chłopak musiał mieć jakieś problemy. Sheridan znał to z własnego doświadczenia. Wsunął dyskietkę do szczeliny i odwrócił się do Perry'ego.

- Nieważne, kto na to wpadł.

- Przestraszyłem się, Sherry. - Perry usiadł na kanapie i splótł ręce. - Panna Wexler powiedziała, że Conan nic jej nie robi, a mnie zabije. I kto wtedy powie Maxwellowi, co się stało? Kazała mi uciekać, więc uciekłem...

- Miała rację. - Chcąc nie chcąc, Sheridan musiał to przyznać. Trudno mu było nawet sobie wyobrazić, w jakim stanie była wtedy Rockie. - Dobrze zrobiłeś, że jej posłuchałeś.

- T o daczego czuję się jak tchórz?

Sheridan chciał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Nie pora na wyrzuty. Conan miał już nad nimi dobrą godzinę przewagi.

- Jestem pewny, że Conan porachowałby ci kości twoim własnym kijem baseballowym, gdybyś próbował go zatrzymać.

- To właśnie powiedziała mi panna Wexler.

Nikt nie znał Perry'ego lepiej niż on, ponieważ on sam był kiedyś takim Perrym. Mógłby

to teraz chłopcu powiedzieć, ale i tak by mu nie uwierzył.

- Muszę już iść - westchnął z żalem Perry.

- Jak chcesz, ale zrób jeszcze coś dla mnie. Weź mój wóz i kup mi paczkę papierosów. - Przecież nie palisz.

- Teraz palę. Czerwone Marlboro. Kluczyki są w stacyjce. - Sheridan wyjął pierwszą dyskietkę i włożył następną. - Tylko się pośpiesz. No, leć.

Perry wyszedł. Sheridan rozsiadł się w fotelu, zapalił papierosa Rockie, zaciągnął się i czekał. Pierwsza reakcja była jak wstrząs. Już raz przeżył coś podobnego, kiedy po raz pierwszy zobaczył Rockie. Wysiadała wtedy z dżipa, śmiertelnie przerażona, ale tak bardzo starała się zachować spokój. Może jej papierosy pozwolą mu z zimną krwią dotrzeć do momentu, w którym będzie mógł zacisnąć palce na gardle Conana.

Przekopiował po kolei pozostałe dyskietki. Potem zaczął czytać fax od Freda Eddinga. Napisał odpowiedź i wysłał ją Fredowi do domu międzynarodową linią. Po dziesięciu minutach nadeszła odpowiedź w trzech zdaniach:

Chyba zwariowałem, ale niech ci będzie. Trzy dni.

Potem zawiadamiam policję.

Mało czasu, ale musi mu to wystarczyć. Na pewno wystarczy, przysiągł sobie, wystukując C: Sheridan. Kiedy ukazała się lista plików, zacisnął szczęki. Wystukał PROLOG, a potem zaczął czytać list Wexlera.

- A niech to! - mruknął, kiedy skończył, pocierając podbródek.

Nawet nie próbował się pocieszać, że Rockie tego nie czytała. Kiedyś chciał jej to wszystko sam powiedzieć. Ze złośliwą satysfakcją czekał na właściwy moment, by osobiście podrzucić jej tę bombę. Conan go uprzedził. Sheridan nigdy nie zapomni oczu Rockie, kiedy usłyszała, że jej ojciec jest oszustem.

Chciałby wiedzieć, co Rockie teraz myśli o swoim ojcu albo o nim, ale nie miał czasu, żeby sobie tym zaprzętać głowę. Z każdą sekundą Conan oddala się od nich i coraz trudniej będzie go namierzyć. Przejrzał pliki WINKIM, porobił jakieś notatki przy SCHEMAT i DOKUM, a potem skoncentrował się na APPLICA.

Perry przywiózł papierosy i zaparzył kawę. Była wyjątkowo słaba. Sheridan zdążył wypić cztery filiżanki tej lury i wypalić pół paczki, nim wreszcie zjawił się Max; Miał na sobie czarne sztruksowe spodnie, czarny sweter i czarną skórzaną kurtkę. Jego szafirowe oczy mroziły chłodem.

- Co się tu dzieje? - zapytał.

Sheridan wciąż siedział przy komputerze, tyłem do Perry'ego. Nie musiał na niego

patrzyć, żeby wiedzieć, że chłopak trzęsie się jak galareta.

- Nie musisz się kajać - rzucił. - Po prostu powiedz, jak było.

Perry zaczął. Sheridan, nastawił kursor na plik, którego szukał, jednocześnie uważnie słuchając Perry'ego.

- Znam tego faceta z wieży na lotnisku – zakończył Perry. - Prywatny odrzutowiec wystartował poza rozkładem o piątej dwadzieścia. Dziesięć minut później ochroniarze znaleźli na parkingu porzucony pług śnieżny, z odpryskami niebieskiej farby.

- Wspaniale - odezwał się Maxwell, ściągając kurtkę. - Winston Kim bali jest absolutnie czysty. Tak jak jego firma Kimball Oil. Za to trzy podległe im spółki mają brud za paznokciami. Dyrektorem jednej z nich, spółki wiertniczej w Oklahoma City, jest Greer Hanlon. Wpadłem dziś do niego, ale rano wyjechał do Egiptu. Zabrał żonę, żeby jej pokazać piramidy. Tak przynajmniej powiedziała mi sekretarka.

Maxwell usiadł na brzegu biurka, oparł łokcie na kolanach i uśmiechnął się. Tym razem uśmiech prawie dosięgnął jego oczu. Tak się przynajmniej Sheridanowi zdawało.

- Teraz twoja kolej, Sherry. Co my tu mamy?

- Puskę Pandory. - Sheridan odwrócił się do monitora i kilkoma dotknięciami klawiatury wywołał na ekranie schemat budowy TAQ.

Max stanął za nim, żeby lepiej widzieć obraz.

Perry przyłączył się do nich. W pewnej chwili gwizdnął.

- Wygląda na bardzo skomplikowane urządzenie, ale sama zasada...

- Streszczaj się - przerwał mu Max. - Nie ma czasu na wykłady.

- Chwileczkę. - Perry stuknął wskazującym palcem w ekran. - To jest oscylator, prawda?

- Genialne - pochwalił go Sheridan. - Postanowiłem posłużyć się oscylatorem, by zmienić kształt fal sejsmicznych. To znaczy spłaszczyć je i przyśpieszyć. To właśnie te wielkie, powolne pętle powodują najstraszniejsze zniszczenia. - Wywołał na monitorze następny schemat i czubkiem ołówka wskazał dwa dziwnie wyglądające fragmenty. - Te małe diabły to wynalazki Addisona. Nazwał je wyznacznikami kierunków, ale tak naprawdę niczego nie wyznaczają. Z tego, co wiem, stabilizują tylko fale sejsmiczne.

- Rozumiem - mruknął Perry. - Cel i pal.

- Mniej więcej - westchnął Sheridan.

- Czy to właśnie w ten sposób wtórnej fali, która

dotarła do Londynu, udało się przepłynąć ocean? - spytał Max.

- Tak to. sobie mniej więcej wyobrażam. Podejrzewam, że Addison nacisnął guzik na tankowcu Kimballa, zakotwiczonym dwadzieścia mil morskich na południowy wschód od

platformy wiertniczej. Stąd to wrażenie, że źródło wstrząsów znajdowało się na powierzchni Morza Północnego. - Sheridan wstał i potarł bolące żebra. - Wiem, jak: posługiwać się wyznacznikami. Dajcie mi dwadzieścia cztery godziny...

- Nie obchodzi mnie, jak one działają, chcę tylko wiedzieć, czy potrafisz je rozbroić.

- Każdy to potrafi. TAQ ma wbudowany system samoniszczący. Wystarczy obłuzować trzy śrubki na pokrywie i urządzenie automatycznie zamrozi swój mózg. Popatrzcie na to.

Sheridan pochylił się nad klawiaturą i wywołał kolejny plik, datowany 17 października.

- Laboratoryjne testy wyznaczników kierunków zakończyły się niepowodzeniem - przeczytał na głos Sheridan. - Wszystko wychodzi na odwrót. Muszę jeszcze rai sprawdzić obliczenia. Jak dotąd jestem spóźniony o osiem miesięcy i przekroczyłem budżet o pół miliona. Smith wściekły z powodu przekroczenia terminów. Następny test wyznaczony na 10 listopada.

- T o znaczy na jutro - odezwał się Perry.

- Bardzo dobrze. TAQ musi jeszcze przejść kontrolę laboratoryjną i próbę w terenie. Ma więcej słabych punktów niż teleskop Hubble'a. Dlatego Addison zniszczył schemat urządzenia w laboratorium. Prawdopodobnie chciał też zniszczyć prototypy, ale Conan go zaskoczył. : - Sheridan wręczył Maxwellowi fax od Freda Eddingsa. - Amerykański Instytut Sejsmologiczny wykrył anomalie w londyńskim trzęsieniu ziemi. Wysłałem fax do Freda. Daje nam trzy dni.

- Jakie są szanse na to, że Addison nie wiedział co robi, i nie znał planów Kimballa?

- M usiał wiedzieć - odpowiedział Sheridan zgodnie z prawdą. - Natomiast pół na pół, że nie znał planów Kimballa - skłamał, mając na uwadze Rockie.

- Dlaczego Kimball tak naciskał na terminy?

- Bo mu się kończył czas. - Sheridan wywołał na monitorze mapę obejmującą fragment Sahary w zachodnim Egipcie koło granicy z Libią. - Trzy czerwone punkty oznaczają złoża ropy, dzierżawione przez Kimball Oil, których licencje wygasają w przyszłym roku.

- Jak myślisz, które z nich zamierzają wypchnąć do góry przy pomocy TAQ?

- Wszystkie. Są wystarczająco blisko siebie. Rzecz w tym, gdzie zaplanują epicentrum wstrząsów.

- Trzeba zgadywać...

Sheridan nienawidził tego słowa, nienawidził wszelkiego zgadywania, zwłaszcza w sytuacji, kiedy życie Rockie wsiądo na włosku. Życie kobiety, w której na pewno mógłby się zakochać, gdyby mieli dość czasu żeby zaprzestać walki.

- Tutaj. Tu jest oaza. - Sheridan wskazał ołówkiem punkt w centrum ekranu. - Będą

potrzebowali wody i cienia. Nawet w zimie temperatura w dzień przekracza 40 stopni. Są tam też jakieś ruiny i grobowce, które mogą im służyć jako schrony.

- Macie ważne paszporty? - spytał Maxwell. Sheridan skinął głową. Perry z wrażenia głośno przełknął ślinę.

- Pakujcie się, za godzinę wyruszamy. - Maxwell podniósł kurtkę z fotela. - O ile dobrze zrozumiałem

TAQ może zmienić kształt i kierunek fal sejsmicznych, ale nie może ich wytwarzać.

- Dokładnie tak - potwierdził Sheridan, zapalając papierosa.

- T o tłumaczy rolę Conana. - Maxwell energicznie wciągnął kurtkę. - Spotkamy się na lotnisku.

Kiedy zniknął za rozbitymi drzwiami. Sheridan wziął pustą filiżankę i poszedł do kuchni. Za nim wszedł Perry z wyrazem zdumienia na twarzy.

- Jak to: „tłumaczy rolę Conana”? - spytał, siadając przy stole. - W końcu na czym polega ta rola Conana?

Sheridan nalał sobie ostatnią filiżankę kawy i poprzez błękitny kłęb papierosowego dymu spojrzął na Perry'ego:

- Co jeszcze prócz trzęsień ziemi wywołuje ruch skorupy ziemskiej i fale sejsmiczne?

- Chwileczkę. - Perry pochylił się do przodu i podparł głowę rękami. - Wulkany, pociągi towarowe, materiały wybuchowe... - zamrugał gwałtownie, zbladł. - To znaczy, że Conan podłożył bombę, a doktor Wexler skieruje fale sejsmiczne we właściwym kierunku?

- Skoro matka ziemia tak się grzebie, trzeba to jakoś przyśpieszyć. Co o tym myślisz, Perry?

- Myślę - powiedział Perry i głos mu się załamał - że trzeba było uciekać, kiedy jeszcze miałem tę szansę.

ROZDZIAŁ 18

Zastanów. się dwa razy, nim wypowiesz życzenie, zwykła mawiać matka Rockie. A nuż któreś z nich się spełni. I miała rację. Jeszcze parę godzin temu Rockie życzyła sobie, żeby było ciepło. Dostała, czego chciała. Smażyła się teraz żywcem w zimowe egipskie popołudnie.

Wciąż miała na sobie wełniany sweter i legginsy, co jeszcze pogarszało sprawę. Conan pozbył się szarego ocieplacza na lotnisku w Nowym Jorku i teraz prezentował się niezwykle elegancko w wyprasowanej koszuli i popelinowych spodniach.

Nim wsiedli do samolotu Egipskich Linii Lotniczych, którymi mieli polecieć do Kairu, Conan wręczył jej parę ciężkich złotych koleczków. Nie chciała ich założyć, ale stanowczo nalegał. Kiedy w końcu ustąpiła i wpięła je w uszy, wyjął z kieszeni miniaturowy nadajnik.

- Te koleczki mogą powodować elektrowstrząsy. Wystarczająco silne, żeby pozbawić panią tchu, i do tego bardzo bolesne. Mówię to na wypadek, gdyby miała pani zamiar popełnić jakieś głupstwo. Na przykład krzyżeć... Mam zademonstrować, jak działa to urządzenie?

Rockie poddała się i potulnie weszła do samolotu.

To było w Nowym Jorku. Teraz znajdowali się już na lotnisku w Asuanie. Jeszcze tylko kilka metrów dzieliło ich od czerwonego helikoptera z białym napisem Kimball Oil.

Zły znak; pomyślała Rockie. To znaczy, że już dłużej nie muszą się ukrywać ani nie udawać.

- Strasznie mnie bołą nogi - westchnęła, żeby ukryć niepokój, kiedy Conan wysunął się przed nią i otworzył drzwi kabiny. - Buty wojskowe są wygodne, ale nie na każdą okazję.

- Tam, dokąd się wybieramy - odpowiedział Conan - będą jak najbardziej na miejscu.

- Ach tak? A gdzie to jest?

- Panno Wexler - popatrzył na nią z góry Conan. - proszę wsiadać.

- Gdybym nie zapytała, byłbyś rozczarowany.

- Prawdę mówiąc, byłbym pani wdzięczny.

Omal się nie uśmiechnęła, ale zdołała się opanować i z obojętną miną wsiadła do helikoptera. Nawet jeżeli Conan miał jakieś poczucie humoru - wolała o tym nie wiedzieć. Bała się tego bardziej niż świadomości, że jednym kopniakiem potrafi wyłamać drzwi. A tak w ogóle czuła, że nie ma najmniejszych szans na ucieczkę.

Conan obszedł maszynę i wsiadł z drugiej strony.

Zapiął pasy, nałożył słuchawki i podał Rockie zapasową parę. Odczekał, aż je włożyła, uruchomił silnik i powiedział:

- Egypciologia to pani hobby, prawda? Więc skoro, już jesteśmy w sąsiedztwie...

- Nie mam żadnego hobby.

- A powinna pani. Nie byłaby pani wtedy taka spięta.

Obdarzył ją promiennym uśmiechem. Słoneczne okulary o lustrzanych szklach ukrywały jego oczy przed wzrokiem Rockie. Terminator we własnej osobie. Mimo piekielnego upału zdrząła i zakryła oczy ochronnymi okularami, które Max kupił jej w Barstow.

Kiedy maszyna wzbija się w powietrze i poszybowała nad szarozółtą, bezkresną pustynią, Conan włączył coś co chyba żartem nazwał klimatyzacją. Rockie zaczęła się wiercić w fotelu. Starła się nie pocić, ale z równym powodzeniem mogłaby próbować nie oddychać.

Conan podał jej manierkę i chusteczkę do nosa.

- Proszę się napić i zwilżyć sobie twarz.

Pomogło, ale tylko na chwilę. Rockie zatrzymała manierkę. Przez cały czas ukradkiem przypatrywała się Conanowi. Helikopter sunął tuż nad ziemią. Wielkie dłonie Conana pewnie trzymały drążek steru a jego oczy, skryte za okularami, bacznie rozglądały się na wszystkie strony.

Sprawdza, czy nikt nas nie ściga, pomyślała Rockie. Może tym razem znowu jej się uda, choć podejrzewała, że jej dobra passa dawno już się skończyła. Nawet gdyby Maxwell domyślał się, gdzie jej szukać, nie ma żadnej pewności, że się na to zdecyduje. A już Sheridan na pewno nie będzie chciał. Może lepiej było nie szukać zaszyfrowanych zapisków ojca?

Jeżeli Maxwell umyje ręce od tej sprawy, nie będzie mu miała za złe. Nawet gdyby przekazał dyskiety FBI. Może oni poczują się w obowiązku ratować ją i ojca. Z drugiej strony trudno się spodziewać, że z entuzjazmem ruszą na pomoc człowiekowi, który okazał się złodziejem i oszustem. Prawdopodobnie dojdą do wniosku, że zasłużył sobie na to, co go spotkało. A jeżeli nawet ktoś się zainteresuje losem Addisona i Rockie Wexlerów to tylko z powodu TAQ.

Łzy napłynęły jej do oczu. Otarła je ukradkiem lecz z determinacją. Wexlerowie nigdy się nie poddawali. Już raz uciekła Conanowi, teraz też sobie poradzi. Machinalnie uniosła rękę i dotknęła złotego kolczyka.

Silny, bolesny wstrząs na chwilę pozbawił ją tchu.

Przerażona, omal nie wyrwała kolczyka z ucha.

- Bardzo proszę, panno Wexler, nie chciałbym tego robić jeszcze raz. Jestem człowiekiem interesu, nie sadystą.

Z łomoczącym sercem i bolącym uchem szarpnęła się w jego stronę.

- Jak możesz nazywać to, co robisz, interesem? Conan spojrzął z ukosa na Rockie.

- Za swoje usługi pobieram pensję. Nie kieruję się żądzą sławy, jak pani ojciec, ani chęcią

zemsty, jak doktor Sheridan.

- Oni przynajmniej są ludźmi i mają jakieś uczucia. Conan uśmiechnął się.

- A ja kim jestem, pani zdaniem?

- Jakimś nieszczęśnikiem - odparła Rockie.

- Czemu nie, pomyślała. Tak czy owak mnie zabije.

- Myślę, że ktoś musiał cię kiedyś skrzywdzić.

- Jest pani jeszcze bardzo młoda, panno Wexler. - Uśmiech Conana nagle zmiękł. - I bardzo naiwna.

- Akurat, naiwna. W końcu mieszkam w Los Angeles - odcięła się Rockie.

Chciała go zdenerwować, ale Conan tylko odwrócił się i wbił wzrok w horyzont. Rockie też wpatrzyła się w pustynię. Nie dostrzegła niczego ciekawego, ale przynajmniej mogła udawać, że coś robi, i zapomnieć o bolesnym skurczu żołądka.

Sądząc po słońcu, lecieli mniej więcej na północny zachód nad wyschniętymi korytami potoków, usypiskami kamieni i podłużnymi wydmami, które w pierwszej chwili wzięła za karawany wielbłądów. Dopiero kiedy wyteżyła wzrok, zrozumiała, że to tylko fatamorgana: Podróż musiała już trwać ponad dwie godziny, kiedy helikopter przeleciał nad kolejnym pasmem wydm i na horyzoncie zamajaczyła oaza.

W pierwszej chwili pomyślała, że to kolejne złudzenie. Zamknęła oczy, ale kiedy je otworzyła, oaza wciąż była na swoim miejscu, drżąca i zamazana w rozżarzonej powietrzu. Z każdym obrotem śmigieł rosła w oczach.

Pas soczystej zieleni ciągnął się u podnóża skalnego wzniesienia, położonego wśród monotonnej równiny, poprzecinanej gdzieniegdzie półksiężycami wydm. Rockie dostrzegła kępy palm i rozbite wokół nich namioty. Na północnym krańcu oazy królowały dwie budowle z wypalanej gliny, otoczone wałem z potężnych głazów i strzaskanych kolumn. Kiedy helikopter zniżył lot, Rockie zrozumiała, że kiedyś musiał to być fragment większych umocnień, które się rozpadły, być może z powodu jakiegoś trzęsienia ziemi.

Przelecieli nad namiotami. Sprytnie to urządzili, pomyślała Rockie. Namiotów było co najmniej dwanaście. Uszyto je z prążkowanej bawełny w ochronnym kolorze, jak namioty Beduinów.

Kiedy wylądowali, Conan wysiadł z helikoptera. Rockie poszła w jego ślady. Lejący się z nieba żar był jak cios pięścią w głowę. A potem zobaczyła Gina. Wyłonił się z namiotu i szedł w ich stronę. Miał na sobie przepocony podkoszulek w kolorze turkusowym i wystrzępione szorty. Na jego lewym policzku widniał przybrudzony opatrunek.

- Cholera! - zakłęła Rockie. Myślała, że szum śmigła zagłuszy jej słowa, ale Conan nagle

powiedział:

- Proszę się nie martwić, panno Wexler. On nic pani nie zrobi.

- Tak. Przynajmniej do czasu, kiedy pan zmieni zdanie - odcięła się Rockie.

- Witaj w piekle, Rockie - odezwał się Gino ze złowieszczym uśmiechem. - Już ja się postaram, żeby twój pobyt u nas był możliwie krótki i bolesny.

Był niższy od Conana o jakieś dziesięć centymetrów, ale na pewno ze dwadzieścia kilo cięższy. Rockie sama nie wiedziała, jak to się stało, że nagle głowa Gina znalazła się na poziomie oczu Conana.

- Panna Wexler jest naszym gościem - powiedział Conan uprzejmym, dobitnym tonem. - I dopóki nie dostaniesz innych poleceń, masz ją traktować z szacunkiem. Zrozumiano?

- Tak - wycharczał Gino przez zaciśnięte zęby. Conan rozluźnił uścisk. Gino potknął się, ale nie upadł. Wielka szkoda, pomyślała Rockie. Chciałabym zobaczyć, jak ląduje tyłkiem na piasku.

- Gdzie pan Kimball i doktor Wexler?

- Jeszcze ich tu nie ma - wyjaśnił Gino, wygładzając podkoszulek.

Rockie była bardzo zawiedziona, chociaż wciąż nie wiedziała, jak się zachowa, kiedy zobaczy ojca. Pewnie najpierw go uściśnie, a potem uderzy. Zauważyła, że ręce Gina drżą.

- Ich wylot z Londynu się opóźnił. Hanlon czeka na nich w Kairze. Przed chwilą dostaliśmy wiadomość. Jego helikopter miał jakieś kłopoty. Piasek w silniku, czy coś takiego. Masz wziąć swojego ptaka i lecieć po nich.

- Na pewno tak zrobię - odpowiedział Conan.

- Tylko najpierw nabiorę paliwa i radiooperator potwierdzi depezę Hanlona.

- Nie jestem kłamcą - warknął Gino.

- Oczywiście. Jesteś tylko strasznym bandziorem. - Conan ujął Rockie za łokieć. - Proszę tędy, panno Wexler.

Rockie nawet po omacku mogłaby trafić do radiooperatora. Co prawda nigdzie nie było widać nadajnik ów, ale z większego budynku dochodził ich monotonny szum. Musiały być ukryte za skrzynkami, pod zwisającym z dachu baldachimem.

Mniejszy budynek stał na skraju oazy. Na jego drzwiach widniała tablica z angielskim i arabskim napisem „Materiały wybuchowe”. Wejścia pilnował arabski strażnik z uzi, w przepoconym mundurze polowym.

Conan zastukał do drzwi większego budynku. Otworzy! im kolejny strażnik. Rockie minęła go i omal nie zemdląła z wrażenia, kiedy owiało ją chłodne, wilgotne powietrze. Widocznie klimatyzacja działała bez zarzutu. Pod ścianami stały stoły, a na nich cztery radia,

kilka komputerów z drukarkami i faxy, wypływające z siebie najświeższe dane z sejsmografów. Trzej mężczyźni przy monitorach kontrolowali pracę urządzeń. Czwarty, w białym kitlu, siedział w rogu, przy biurku, tyłem do drzwi.

- No tak - mruknęła Rockie. - Witamy w centrum dowodzenia.

Na widok wchodzących człowiek przy środkowym stole zdjął słuchawki i wstał. Conan podszedł do niego, zostawiając Rockie na progu. Chyba niema oczu z tyłu głowy, pomyślała. Uniosła prawą rękę do kolczyka i zamarła, bo nagle mężczyzna w białym kitlu odwrócił się twarzą do drzwi.

To był Rodney Webster, młodszy asystent ojca z laboratorium. Wstał i podszedł do Rockie, z rękami w kieszeniach i niepewnym uśmiechem na piegowatej, chłopięcej twarzy. Rockie opuściła rękę i zacisnęła pięści. W pierwszej chwili miała ochotę trzasnąć go w ten jego zadarty nos. Potem zdała sobie sprawę, że Webster nie był ani trochę gorszy od jej ojca.

- Przykro mi, że ciebie też w to wciągnęli, Rockie - powiedział Rodney. - Mówiłem Hanlonowi i Kimballowi, że nie masz o niczym pojęcia, ale mi nie uwierzyli.

- Jestem tu jako zabezpieczenie, Rod. Kimball uważa, że to konieczne. Pewnie dlatego kupił i ciebie.

- Nie chodzi o pieniądze - zdenerwował się Rodney. - Nie zdajesz sobie sprawy, co to jest praca z twoim ojcem. Wszystko idzie na jego rachunek. Beze mnie nie byłoby TAQ. To ja wymyśliłem wyznaczniki kierunków. To był mój pomysł, ale wielki Addison Wexler...

- Jeżeli panna Wexler naprawdę o niczym nie wie

- odezwał się nagle Conan za jego plecami - to niech lepiej tak zostanie. Dobrze?

Rodney odwrócił się na pięcie, zobaczył Conana i głośno przełknął ślinę. Potem uśmiechnął się i wsunął jakąś karteczkę do kieszonki kitla.

- Ma pan przy sobie broń, panie Webster?

- Tak, mam.

- Mogę zobaczyć?

Rodney sięgnął pod kitel i podał Conanowi pistolet.

Conan uważnie go obejrzał, a potem zatknął Rodneyowi za pasek dzinsów. - Niech pan nosi broń z przodu, żeby pan ją w każdej chwili miał pod ręką. Inaczej to mija się z celem. Czy będzie pan w stanie jej użyć?

- Jeżeli będę musiał. Hanlon ostrzegał nas przed pustynnymi plemionami. Mówił, że to straszni złodzieje i że powinniśmy uważać...

- Muszę lecieć do Kairu - przerwał mu Conan.

- Powierzam pannę Wexler pańskiej opiece. Proszę dopilnować, żeby wzięła prysznic,

przebrała się, a potem coś zjadła. I zawsze musi mieć pod ręką zapas wody. Potem niech zostanie tu z panem, bo tu jest chłodno. Przydzielę wam strażnika. Są jakieś pytania?

- Tak. - Rodney nagle zbladł. - Kiedy pan wraca?

- Przed zmrokiem - odpowiedział Conan i zwrócił się do Rockie:

- Proszę mi oddać kolczyki.

- Nic nie rozumiem. - Rockie wyjęła z uszu złote kółka. - Przecież jeżeli Kimball ci każe, zastrzelisz mnie bez zmruczenia oka.

Ale tymczasem nie musi pani cierpieć.

Conan wsunął kolczyki do kieszeni i otworzył drzwi. W progu zatrzymał się i po raz ostatni obrzucił Rodneya groźnym spojrzeniem.

- Gdyby Gino próbował coś zrobić pannie Wexler, ma pan go zastrzelić. Strażnik dostanie te same instrukcje. A jak go pan nie zastrzeli, będzie gorzko tego żałował.

ROZDZIAŁ 19

Conan zatrzasnął za sobą drzwi, wzniecając chmurę kurzu. Rockie usłyszała, jak mówi coś podniesionym głosem, chyba po arabsku. Kiedy odszedł, odetchnęła z ulgą i zwróciła się do Rodneya:

- Ale sobie dobrałeś towarzystwo, Rod.
- Nie zaczynaj, Rockie. - Rodney wytarł ręce o kitel. - Zaczekaj chwilę.

Przez następną godzinę czy półtorej rozmawiał z mężczyzną przy monitorach, który odczytywał wy - . druki z sejsmografu i notował coś na tablicy. Rockie rozsiadła się na skrzynkach i patrzyła na sejsmografy. Linie na wydrukach były prawie proste. Czasem tylko któraś z igieł lekko drgnęła.

Na ekranach trzech komputerów ukazały się fotografie przedstawiające przekrój skorupy ziemskiej w podczerwieni. Między warstwami skalnymi widniały czerwone zatoki. Obraz był drżący i niewyraźny. Po dłuższej chwili Rockie zrozumiała, że to zdjęcia złóż naftowych, uwięzionych między warstwami skalnymi. Tych, które znajdowały się zbyt głęboko, żeby można się było do nich dowiercić tradycyjną metodą.

Być może po to potrzebny im dynamit, pomyślała, odrywając wzrok od monitorów, kiedy Rodney wreszcie odłożył skoroszyt i podszedł do niej z krótkim:

- Idziemy!

Wysoki, muskularny Arab z uzi, który stał przed drzwiami, zaprowadził ich na drugi kraniec bazy.

Obóz rozbito tak, żeby z oddali lub z samolotu wyglądał jak koczowisko Beduinów. Jakiś Arab karmił trawą stado wielbłądów. Kilku robotników kręciło się po oazie. Jeden z nich ciągnął gruby, czarny przewód do namiotu stojącego trochę na uboczu. Prawdopodobnie w tym właśnie namiocie był magazyn paliwa. Nigdzie nie było widać ani Gina, ani czerwonego helikoptera.

Mieszkańcy oazy czerpali wodę z błotnistej sadzawki, otoczonej płaskimi kamieniami. Obok postawiono drugi duży namiot. Rockie rozchyliła jego poły i zajrzała do środka. Wewnątrz paliła się słaba żarówka.

- To jest nasz prysznic - powiedział Rodney.

- każdy ma trzy minuty na mycie, bo woda jest racjonowana. Radzę ci jej nie pić. Jest czysta, ale ma smak wielbłądziego łajna.

Rockie weszła do namiotu. Na drewnianej ławce znalazła mydło i biały kombinezon z cienkiej bawełny.. Prysznic miał szorstką, drewnianą podłogę i plastikowe zasłony, umocowane na drucie pod sklepieniem. Szybko rozebrała się i pociągnęła za łańcuszek.

Umyła się i wytarła, a potem sięgnęła po świeże ubranie. Kiedy rozwinęła kombinezon,

na ziemię wypadły: dezodorant, biustonosz, majtki i para skarpetek. Podniosła bieliznę i sprawdziła metki. To był jej rozmiar. Oczywiście, czekali tu na nią. Cicho zakłęła. Już ona im pokaże.

Po kąpieli rozpostarła mokry ręcznik na ławce i włożyła nowe ubranie. Kombinezon miał długie rękawy i już po sekundzie lepił jej się do pleców. Wyszła z namiotu, rozczesując włosy palcami. Kiedy wyschną, będzie wyglądała jak sierotka Marysia.

- Napij się. - Rodney podał jej plastikową szklankę z wodą. - To woda butelkowana.

Woda była co prawda letnia, ale wydała się Rockie wyjątkowo smaczna. Wypiła ją jednym haustem, oddała Rodneyowi szklankę i ruszyli w drogę powrotną, do centrum dowodzenia. Za nimi w pewnej odległości kroczył strażnik.

- Czy on mówi po angielsku?

- Nie. - Rodney podniósł rękę do oczu i zaczął się przyglądać małej chmurze pyłu, sunącej powoli w dół zbocza.

- Goście z wizytą? - spytała Rockie.

- Tubylcy. Gnają owce do wodopoju. Hanlon ich nie znosi. To straszni złodzieje, ale odciecie im dostępu do źródła grozi rozlewem krwi.

- Hanlon chyba to lubi. W końcu zniszczył laboratorium mojego ojca, Rod. I przy tej okazji posłał na śmierć ośmiu swoich ludzi.

- To było trzęsienie ziemi - zaprzeczył z uporem Rodney i przyspieszył kroku.

- Akurat! Dobrze wiesz, że to TAQ. Conan podłączył bombę do jednego z prototypów. - Rockie szarpnęła Rodneya za rękę i zmusiła go, żeby na nią spojrział. - Byłam tam, Rodney, i wszystko widziałam na własne oczy.

- Hanlon to biznesmen. Dlaczego miałby robić coś takiego?

- A po co trzyma tu Gina? Albo Conana? Po co ta broń? Co chce ukryć?

- Sabotaż przemysłowy, Rockie.

- Bzdura. Ojciec zostawił list, w którym przyznał się, że ukradł Sheridanowi TAQ. Przyznał się również do tego, że zrobił kopię wyników swoich badań, zanim rząd skonfiskował TAQ jako urządzenie zawodne i niebezpieczne.

- TAQ wcale nie jest niebezpieczny. Wczoraj pomyślnie przeszedł praktyczne testy na Morzu Północnym. Udało się ponownie uruchomić odwiert, który miał być zamknięty.

- Tylko że przy okazji wywołaliście trzęsienie ziemi, które dotarło aż do Londynu.

Rodney z wrażenia zamrugał. - Kłamiesz!

- Ja kłamię? Radiooperator ma krótkofalówkę.

Nastaw ją na CNN i posłuchaj wiadomości.

- Hanlon się nie zgodzi - przerwał jej Rodney i desperackim ruchem przeczesał włosy. - Cholera jasna.

- Uważaj, Rodney, żebyś nie popełnił tego samego błędu co mój ojciec. Razem możemy się stąd wydostać. - : - Rockie złapała go za rękę. - Ty i ja. Spróbujemy wezwać pomoc.

- Nie mogę. - Rodney odepchnął Rockie. - Utkwiłem w tym po uszy. - Rodney...

- Odsuń się, Rockie, mówię poważnie.

Minał ją, przeczesując włosy. Nie próbowała go zatrzymać. Mogła tylko mieć nadzieję, że udało jej się zasiać w jego duszy ziarno wątplenia. Być może pierwsze plony zbierze jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu, kiedy Conan wróci z Hanlonem, Winstonem Kimballem i ojcem. Gdyby jej tu nie zastali, nie mogliby jej użyć przeciwko ojcu. Musi się stąd wydostać przed zachodem słońca. Wszystko jedno, w jaki sposób.

Rodney czekał na nią przed budynkiem. Kiedy do niego dołączyła, skinął w kierunku najbliższej palmy powiedział coś po arabsku do strażnika i poszedł za Rockie.

- Powiedziałem mu, że chcesz zobaczyć owce - wyjaśnił. - Cały czas zastanawiam się nad jednym. Nawet jeżeli masz rację, kto nam uwierzy?

- Na początek Amerykański Instytut Sejsmologiczny. - Serce Rockie zaczęło bić szybciej. Spojrzała w stronę nadchodzącego w obłoku kurzu stada owiec.

- Sejsmografy zarejestrowały pewne anomalia w londyńskim trzęsieniu ziemi.

Pokrótkie streściła Rodowi treść faxu Freda Eddingsa do Sheridanana i opowiedziała, co się wydarzyło od wtorku. Rodney zadumał się głęboko. Rockie znów spojrzała w stronę stada. Teraz była już w stanie rozróżnić poszczególne zwierzęta.

- Wyznaczniki kierunków ciągle są nie dopracowane. Nie przeszły testów laboratoryjnych. Mówiłem Addisonowi, jak je zainstalować, siedziałem nad tym dwa tygodnie, ale on jest uparty jak osioł i zawsze musi mieć rację.

Słyszała już to wszystko tyle razy, że w którymś momencie przestała słuchać Rodneya i zaczęła się zastanawiać nad środkiem transportu. Stada pilnowali jeźdźcy na koniach. Owiec było ze czterdzieści, jeźdźców o połowę mniej. Mężczyźni byli ubrani w długie, czarne galobije. Na głowach mieli turbany, których luźne końce zwisały tak, by można sobie nimi było zasłonić od kurzu usta i nos.

- Gdzie jest TA Q? - spytała Rockie.

- Addison ma go ze sobą. Kimball chce go :mieć w zasięgu wzroku.

- Umiesz prowadzić helikopter?

- Nie. A ty?

- Też nie, ale umiem jeździć konno. - Skinęła w stronę pasterzy, którzy byli już bardzo

blisko. - Myślisz, że udałoby nam się wymienić kilka wielbłądów na konie?

- Może. Ale musimy być bardzo ostrożni. Tutaj nikt nikomu nie wierzy. - Rodney popatrzył na stado i zmarszczył czoło. - Zaraz, zaraz... Odkąd to potrzeba aż dwudziestu Beduinów, żeby upilnować czterdzieści owiec?

Krzyknął coś do strażnika. Jeździec na czele stada sięgnął po karabin przy siodle i strzelił w powietrze. Jeszcze dwa wystrzały i owce popędziły w stronę sadzawki, becząc jak oszalałe. Potem padły kolejne strzały i Rockie usłyszała pasterzy, którzy jodłując, popędzali konie do galopu.

Arabscy robotnicy zaczęli coś krzyczeć, ale nie strzelali. Kątem oka Rockie spostrzegła, że rzucają się do wielbłądów. Chłopcy z Kimball OH wybiegli z budynku i zdezorientowani patrzyli na jeźdźców, szarżujących na czele ogarniętego paniką stada. Nagle dwaj jeźdźcy wyjęli pistolety, a trzeci sięgnął po UZI.

- Dlaczego tak pędzą? - wrzasnęła Rockie, żeby przekrzyczeć hałas.

Rodney chwycił ją za rękę i odciągnął na bok..

- To tubylcy - krzyknął. - Nie mają zwyczaju. strzelać do swoich ani do obcych, chyba że to sprawa honoru. Wtedy zaczynają się krwawe jatki.

Kilka przerażonych owiec przebiegło tuż obok nich.

Rockie poczuła dotyk szorstkiej wełny. Jakiś koń zarżał dziko, przeraźliwie. Potem znów rozległa się seria z uzi, i wtedy wokoło rozpętała się strzelanina. Rockie, na wpół ogłuszona, zatkała uszy. Serce podeszło jej do gardła.

- Dokąd idziemy? ; - krzyknęła, kiedy rzucili się do ucieczki.

- Ty idziesz tam. - Rodney wskazał ruiny na szczycie wzgórza. - Tu na pustyni nadal działają handlarze niewolników. I to białych. Uciekaj, zanim cię zobaczą. Przyjdę po ciebie, jak będzie po wszystkim.

Klepnął ją po ramieniu i Rockie popędziła przed siebie. Wzgórze wydało jej się nagle nieprawdopodobnie wysokie, wręcz niemożliwe do pokonania. Conan powiedział jej wcześniej, że buty wojskowe jeszcze jej się przydadzą. Teraz była szczęśliwa, że je ma na nogach. Biegąc, słyszała za plecami beczenie stada, strzały i mrozące krew w żyłach krzyki pasterzy. Nim wyrazisz życzenie, pomyśl dwa razy, przypomniało się jej. Chciała się stąd wydostać, to prawda, ale przecież nie w taki sposób.

Zdażyła już przebiec jakieś sto metrów, kiedy eksplodował zbiornik paliwa. fala uderzeniowa podcięła jej kolana. Potknęła się, ale złapała równowagę i dalej biegła. Jeżeli teraz upadnie, nie będzie już się w stanie podnieść. Ktoś krzyknął. Wydało jej się, że to Rodney. Ostatkiem sił dopadła ruin i dysząc, oparła się o mur.

Na skraju oazy pasterz w czarnej galobii spał nagle konia, karego ogiera z czarną grzywą i ogonem. Rozszalałe płomienie oświetliły postać jeźdźca pomarańczową poświatą. Rockie zobaczyła jego wysokie, skórzane buty i maskę ochronną na twarzy, złote chwosty przy końskiej uprzęży i odbłask ognia na lufie karabinu.

Był to najbardziej przerażający widok na świecie.

Może tylko Conana bała się jeszcze bardziej. Nagle jeździec odwrócił głowę, zobaczył Rockie i galopem puścił się w jej stronę.

Oszalała ze strachu, rzuciła się do ucieczki. Tętent kopyt narastał za jej plecami. Jeździec krzychał coś za nią, ale nie słyszała jego słów, bo krew głośno tętniła jej w uszach. To bezsens biec tak przed siebie, ale Wexlerowie nigdy się nie poddają. Podkowy konia waliły o skalisty grunt. Nagle czyjeś mocne ramię pochwyciło ją i uniosło do góry.

Przycisnęła łokcie do żeber, kopiąc, wierzgając i tłukąc piętami w koński bok. Mężczyzna chrząknął, koń zarżał, przysiadł na tylnych nogach i zaczął się ześlizgiwać w dół po stromym zboczu. Rockie zaczęła okładać pięściami opasujące ją stalowe ramie, a potem odchyliła się do tyłu i głową wyrznęła swojego prześladowcę w szczękę.

- Auu! - zawył. - Rockie, oszalałaś? Przestań, to przecież ja!

Zastygła, z paznokciami wbitymi w jego nadgarstek, w którym właśnie miała zatopić zęby. To chyba był głos Sheridana, stłumiony maską, ale jednak jego. Nie miała pewności, bo wciąż była na wpół ogłuszona. Może to fatamorgana? A jeśli nie?

Wstrzymując oddech, odwróciła głowę. Znad zakurzonej maski spoglądały na nią ciemne oczy. Potem zobaczyła, że wcale nie są ciemne, tylko jaspisowe.

- Sherry! - krzyknęła i omal nie skręciła sobie karku, obejmując go rękami za szyję. Ukryła twarz na jego ramieniu i drżąc wyszeptała:

- To ty, nie jakaś zjawka, prawda?

- To ja - powiedział cicho. - To naprawdę ja.

Wtuliła się w jego pierś. Poczula zapach piasku i potu. Słyszała głucho bicie serca, swojego, a może Sheridana. Wiedziała, że przyszedł po TAQ, nie po nią, ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko, że tu był.

Strzelanina już się skończyła. Tylko od czasu do czasu odgłos pojedynczego strzału wybijał się ponad ryk płonących zbiorników z benzyną, oszalałe beczenie owiec, przenikliwe krzyki Arabów.

- Posłuchaj, Rockie - powiedział Sheridan, próbując oswobodzić się z jej uścisku. - Musimy stąd uciekać.

Oderwała się od jego piersi, ściągnęła mu maskę. i dotknęła jego policzka. Pod palcami

poczula twardy zarost.

- Mój bohaterze - szepnęła z uśmiechem. - Mój Leslie z Arabii.

- Z Egiptu - poprawił ją i szarpnął za lejce, bo koń nagle zaczął się rzucać. - A może nawet z Libii. O ile wiem, jesteśmy bardzo blisko granicy. Trzymaj się, wezmę cię na siodło.

Objęła go mocno za szyję i z całych sił pocałowała w usta. Może to ostatnia szansa i nie ma zamiaru jej zmarnować. Nie będzie przez resztę życia zastanawiać się, jak smakują jego pocałunki albo czy wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby go choć raz pocałowała.

Jego usta były miękkie i leniwe, ale tylko przez sekundę. Potem Sheridan przyciągnął ją do siebie i zaczął oddawać pocałunki, mocno i natarczywie, aż koń pod nimi zaczął tańczyć.

Wtedy Sheridan uniósł głowę, owinął lejce wokół lewej ręki, żeby powściągnąć konia, spojrzał na Rockie i uśmiechnął się. Co prawda tylko kącikiem ust, ale jego oczy zrobiły się zupełnie zielone.

- Szkoda, że nie zrobiłaś tego dwa dni temu - odezwał się stłumionym głosem.

- Też żałuję - mruknęła Rockie, gładząc go po policzku.

Huknął kolejny strzał. Kula przeleciała obok, trafiając w pobliską skałę. Kilka ostrych odłamków rozprysnęło się obok konia, który zarżał i stanął dęba. Ponad ramieniem Sheridana Rockie zobaczyła dwóch chłopaków z Kimball Oil biegnących w ich stronę.

- Trzymaj się - krzyknął Sheridan, przekładając lejce do prawej ręki. Obrócił Rockie w siodle, tyłem do siebie, i spiął konia.

Koń parsknął i ruszył z kopyta. Sheridan ramieniem otoczył kibić Rockie. Tak ciasno, że czuła jego oszalały puls.

Słońce chyliło się ku zachodowi, niebo przybrało kolor ciemnej purpury. Tym razem Rockie dostała dokładnie to, co chciała. I ani o sekundę za wcześnie.

ROZDZIAŁ 20

Gdy zapadł zmierzch, zobaczyli w oddali słabe światelko. To dopalała się lampa, którą Sheridan postawił przed glinianą chatką, ukrytą w głębi wąskiego, krętego wąwozu, na południowy zachód od oazy. Lampę zapalił na wszelki wypadek, gdyby musiał wracać bez Alego. Teraz dziękował Bogu za swoją przezorność.

Wyczerpany koń uniósł głowę, parsknął, a potem cicho zarżał. Z zagrody przy chacie odpowiedziała mu czarna klacz, której sylwetka rysowała się na tle ciemniejącego nieba.

Sheridan dawno już powinien zejść z konia i nawet chciał, ale po prostu nie był w stanie się ruszyć. Tak dobrze było siedzieć z Rockie, trzymać ją wtuloną w siebie i od czasu do czasu czuć, jak jej pierś ociera się o jego ramię.

Podjechał do zagrody. Klacz wyciągnęła szyję nad ogrodzeniem i zaczęła trącać konia chrapami. Rockie westchnęła i oparła głowę o ramię Sheridana. Czuła jego gorący oddech na swoich włosach i marzyła, żeby jej dotknął. Sheridan też tego pragnął, ale tkwił bez ruchu.

- Chyba muszę zsiąść - odezwała się wreszcie Rockie. - Boję się tylko, że nogi odmówią mi posłuszeństwa.

- Złap mnie mocno za ręce - powiedział Sheridan. Chwyciła go za nadgarstki i przerzuciła nogę nad końską grzywą. Sheridan wychylił się z siodła i postawił ją na ziemi. Syknął cicho, bo złamane żebra znowu dały o sobie znać.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Rockie oparła się o rozgrzany koński bok.

- Tak - skłamała.

Całe szczęście, że było już całkiem ciemno i Sheridan nie mógł widzieć jej łez. Przytuliła twarz do jego kolana. Nie chciało jej się ruszyć z miejsca.

- Na lewo jest toaleta, a przed nią znajdziesz dzbanek z wodą do mycia. Trafisz tam? - Sheridan poczuł, że Rockie kiwa głową. - Nie pij tej wody. Woda do picia jest w chacie. Przyjdź, kiedy będziesz gotowa, i napij się. Ja muszę zająć się końmi.

Znowu skinęła głową i niechętnie oderwała się od konia. Przeniknął ją zimny dreszcz. Zatarła zgrabią ręce. Rześkie nocne powietrze pomogło Sheridanowi ochłoniąć. Czekał długo. Wreszcie usłyszał, że Rockie zatrząskuje za sobą drzwi chaty. Dopiero wtedy zeskoczył na ziemię. Zdjął z konia siodło, rzucił je na kozioł i otworzył zagrodę. Koń wbiegł do środka i zaczął obwąchiwać łeb klaczy.

Sheridan napoił konie i nasypał ziarna do żłobu.

Łapczywie zanurzyły w nim pyski. Zasłużyły sobie na to, pomyślał. Ogier miał za sobą ciężki dzień, a oba.. konie czekała jeszcze długa nocna jazda.

Kiedy wyszedł ze stajni, popatrzył na niebo. Nad jego głową zapalały się pierwsze blade

gwiazdy. Księżyc dopiero co wzniósł się nad krawędź wąwozu i rozsiewał srebrzystą poświatę. Rozstając się z Alim przed wyprawą do oazy, ustalili, że spotkają się w chacie po zachodzie księżyca.

Miał więc jeszcze jakieś trzy, no, może cztery godziny na to, żeby przeprosić Rockie. I kochać się z nią, jeżeli też będzie tego chciała. To była jego ostatnia szansa i nie miał zamiaru jej zaprzepaścić. Chyba że tam, nad oazą pocałowała go tylko odruchowo albo żeby okazać mu wdzięczność.

Zmył z siebie pot, na ile to było możliwe, wytarł się w galobję Alego i ruszył do chaty, szcękając zębami z zimna i zdenerwowania.

A jeżeli nie będzie go nawet chciała wysłuchać? Z bijącym sercem przystanął, ale zaraz sobie przypomniał, że przecież go pocałowała. To mu dodało odwagi. Zdecydowanym ruchem pchnął drzwi i wszedł do środka.

Spodziewał się, że Rockie poda mu wodę, i tak też się stało. Odwróciła się od stołu i drżącą ręką wyciągnęła ku niemu wyszczerbiony kubek. Jego ręce też drżały, kiedy pił. Potem Rockie jeszcze dwa razy dołała mu wody destylowanej z plastikowego kanistra.

- Dziękuję. Tego właśnie było mi trzeba.

- To ja chciałam ci podziękować - odezwała się

cicho Rockie, nie patrząc mu w oczy - za to, że mnie z tego wyciągnąłeś.

- Leslie Z Egiptu, do usług.

Podniosła na niego wzrok. Twarz miał spaloną słońcem, policzki pokryte szorstkim zarostem, ale uśmiechał się do niej jak wtedy w Los Angeles. Gdyby nie to, że wiedziała, jak jest naprawdę, byłaby gotowa przysiąc, że jej obecność go cieszy.

- Strasznie tu zimno - powiedziała, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

- Nie możemy ryzykować rozpalenia ognia, ale mam mały turystyczny piecyk. - Sheridan wydobyl go spod stołu i wskazał na gliniane palenisko pod ścianą. - Na razie usiądź tam, może popiół jest jeszcze gorący.

Popiół niestety był ledwo ciepły. Rockie najpierw rozsiadła się na podłodze, ale deski były za zimne. Nawet kiedy rozpostarła koc i oparła się o stare siodło, ciągle było jej zimno. Wobec tego usiadła na jedynym kulawym krześle i narzuciła koc na ramiona.

- Conana nie ma w oazie - powiedziała do Sheridana. - Wziął helikopter i poleciał do Kairu po tatę, Kimballa i Hanlona.

- Wiem. - Sheridan zapalił piecyk i wstawił go w palenisko. - Ali zainstalował podsłuch w oazie już parę miesięcy temu. On też pracuje dla Maxwella. Siedzi kilku tubylców Kimballa. Libijskich szpiegów.

- Czy Ali był wśród tych pasterzy?

- Tak. Reszta to jego kuzyni. Wrócą tu, kiedy

zajdzie księżyc i będzie na tyle ciemno, żeby można było bezpiecznie poruszać się po pustyni.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Przeczytałem zapiski Addisona. - Sheridan wrócił do stołu, wyjął z plecaka kilka foliowych torebek, rozstawił kubki i sięgnął po wodę. - Podaje w nich trzy lokalizacje złóż, których. dzierzawa wkrótce wygasa. To miejsce, ze względu na bliskość oazy, wydało mi się najbardziej prawdopodobne.

Ciekawe, czy wszystko przeczytał, pomyślała Rockie. Serce zaczęło jej gwałtownie tłuc się w piersi. Już miała go o to zapytać, kiedy Sheridan rzucił jej foliową torebkę.

- Chrupki jarzynowe dla alpinistów - powiedziała z podziwem. - Nigdy nie myślałam, że będę aż tak głodna, żeby to jeść.

Głodna, to mało. Chyba raczej wygłodniała, pomyślał Sheridan, patrząc, jak rozdziera torebkę i błyskawicznie pochłania jej zawartość. Nalał wody do kubków i wziął z ławy kilka wełnianych derek. Jedną zarzucił Rockie na ramiona, drugą sobie na plecy, a resztę położył na podłodze i usiadł na nich, patrząc, jak Rockie je.

Mimo iż włożył nowe baterie, lampa nie chciała się zapalić. Ogień na malutkiej kuchence tworzył przytulną enklawę ciepła i rozświetlił włosy Rockie tak, że zaśniły jak skrzydła kruka. Chciała go poczęstować suszonymi jabłkami, ale potrząsnął głową. Był za bardzo spięty, zbyt podniecony.

- Nie licząc tego, co podali w samolocie, to mój pierwszy posiłek od czasu jajecznicy, którą sobie zrobiłam u ciebie w domu - wyjaśniła.

Albo przynajmniej wydało mu się, że tak powiedziała. Trudno było zrozumieć, o co jej chodzi, bo policzki miała wypchane jak chomik, ale mówiła bez przerwy. Opowiedziała mu, jak Conan ją porwał, jak się tu dostali, o zdjęciach złóż ropy i o tym, co Rodney Webster powiedział jej o wyznacznikach kierunków, wreszcie o budynku pełnym środków wybuchowych.

- Myślę, że zamierzają ich użyć do wywołania fal sejsmicznych - zakończyła. - O ile dobrze rozumiałam wyjaśnienia taty, nie da się tego zrobić przy pomocy TAQ.

- Wszystko dobrze rozumiałaś - skwitował Sheridan i napełnił kubki wodą. - T o tłumaczy obecność Conana. W końcu materiały wybuchowe to jego specjalność.

Rockie spytała:

- Gdzie jest teraz Max?

- Razem z Perrym sprawdzają dwa pozostałe miejsca. Powinni tu być koło północy.

- Cieszę się, że Perry'emu nic się nie stało. - Rockie pociągnęła łyk wody.

- A więc to Web ster - pokiwał głową Sheridan.

- Addison wiedział, że Kimball znalazł kogoś, kto miał zająć jego miejsce. Wychodzi na to, że wyhodował zmię na własnym łonie.

Rockie głośno zakrztusiła się wodą. Jeżeli Sheridan o tym wie, to znaczy, że przeczytał list.

- Obawiam się - zaczęła cicho - że to samo ty mógłbyś powiedzieć o moim ojcu.

Sheridan zamarł w pół gestu i popatrzył na Rockie:

Potem spokojnie odstawił kubek i podparł głowę rękami.

- Chyba tak - przyznał, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Przeczytałeś list.

- Tak, przeczytałem - potwierdził. Ona też musiała go przeczytać. Poznał to po jej drżącym głosie.

- Podjąłeś tak wielkie ryzyko i wszystko na nic.

- Spuściła głowę i zaczęła skubać róg derki.

- Co to znaczy: wszystko na nic?

- Chodzi mi o atak na oazę i odebranie TAQ..

Rodney twierdził, że Kimball przez cały czas trzyma przy sobie ojca i TAQ i nie spuszcza ich z oczu.

- Nie przyjechałem tu po TAQ.

- Nie? - Rockie spojrzała na niego ze zdumieniem.

- To po co?

Sheridan wyprostował się. Jego jaspisowe oczy zrobiły się prawie zielone. Mimo dwudniowego zarostu i zakurzonych, sklejonnych potem włosów był na prawdę uderzająco przystojny. Nagle poderwał się, ukląkł przed Rockie i zaczął ją całować.

Pocałował ją mocniej, niż zamierzał, ale nie tak długo, jakby chciał. Oderwał usta od jej ust, otoczył ramionami oparcie krzesła i popatrzył na Rockie. Serce dziko łomotało mu w piersi. Rockie spojrzała mu w oczy i przygryzła wargi.

- I co teraz? - zapytał. - Chcesz mnie znowu uderzyć?

- Nie. - Dotknęła jego policzka. Sheridan poczuł, że wstrząsa nim dreszcz. - Chcę, żebyś mnie jeszcze raz pocałował.

Sheridan spełnił jej życzenie. Tym razem jego pocałunek był gorący, zachłanny. Całował ją tak długo, aż wargi jej nabrzmiały, a potem pochylił głowę i dotknął ustami jej szyi.

- Przepraszam cię, Rockie. - Każde słowo przypieczętowywał pocałunkiem. Pod wargami

czuł jej oszalały puls. - Przepraszam, że nie zrobiłem tego od razu, kiedy po raz pierwszy miałem na to ochotę..

- A kiedy to było? - spytała szeptem i znów delikatnie pogładziła go po policzku.

- Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem.

Ze śmiechem przytuliła się do niego. Sheridan powiódł ustami po jej dekolcie. Rockie westchnęła i drżącymi palcami zaczęła rozpinać guziki kombinezonu. Kiedy usta Sheridana dotknęły koronkowego staniczka, z jej ust wyrwał się cichy jęk.

Sheridan językiem okrążył twardniejący sutek.

Usłyszał przyspieszony oddech Rockie, ale nie śmiał posunąć się dalej, jeszcze nie teraz. Uniósł głowę

i spojrzał jej w oczy.

Były zielone i lśniły wilgotnym blaskiem. Sheridan widział w półmroku jej piersi falujące pod białą koroną i twarde, różowe wzgórki. To jego zasługa. Sprawily to jego usta, jego gorące pragnienie... Poczul, że zbiera w nim fala pożądania.

Rockie dotknęła jego policzka i zadrżała, kiedy pocałował ją w zagłębienie dłoni.

- : Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę - powiedziała drżącym głosem.
- Chciałabym, a nie mogę.

- Dopóki księżyc nie zajdzie, nie mamy nic lepszego do roboty. - Sheridan zamknął jej usta powolnym pocałunkiem. - Możemy tylko nadrabiać stracony czas.

Znowu zaczął całować wewnątrz jej dłoni. Widział jej trzepoczące rzęsy i czuł napięte mięśnie. Pochylił głowę i ustami dotknął białej koronki. Rockie odsunęła się lekko i rozpięła stanik.

Oddawała się w jego ręce, rozpalona i drżąca. Choć była drobnego wzrostu, piersi miała duże i pełne.

Powiódł ustami wokół twardych sutek. Wydało mu się, że Rockie rozplywa się pod wpływem jego pieścizot. Nagle zsunęła się z krzesła na podłogę. Podniósł ją i ułożył na derkach, a potem zagarnął pod siebie i zamknął jej usta głębokim pocałunkiem.

Czuł, że Rockie drży, ale wiedział, że to nie z zimna, bo ich ciała były rozpalone. Niecierpliwymi rękami zaczęła mu rozpinać koszulę. Jej palce delikatnie badały wszystkie bruzdy i blizny na jego piersi.

Chwycił dłonie Rockie i położył sobie na sercu tak; żeby poczuła jego głuche bicie. Jej serce biło równie mocno i głośno. Przybliżył wargi do jej ucha. - Rochelle - powtarzał gorącym szeptem - Rochelle.

Potem cicho wymruczał coś, czego nie zrozumiała.

Powtórzył to jeszcze raz, ale wciąż nie wiedziała, o co mu chodzi.

- Nic nie słyszę. Ogłuchłam od tych eksplozji.

- Wcale nie jesteś głucha - zachichotał Sheridan - tylko nie znasz francuskiego.

- A co znaczy, to co powiedziałaś?

- To znaczy - powiedział, unosząc się lekko na łokciach - że chciałbym, żebyś pomogła mi się rozebrać, a potem ja bym ci pomógł i...

- Nie musisz mówić. - Rockie z uśmiechem zasłoniła mu usta. - Lepiej mi pokaż.

Kiedy zdjęli buty, Sheridan zaczął rozwiązywać tasiemki przy szarawarach, które dał mu Ali. Rockie pomagała mu, a potem jej dłonie zaczęły wędrówkę po jego nagim ciele. Błądziły po jego plecach, pośladkach, a kiedy zawędrowały ku udom, poczuł, że nie jest w stanie dłużej czekać.

Odwrócił się na plecy. Rockie uklękła nad nim, a on wyłuskał ją z kombinezonu. Była wilgotna i gorąca, i jękiem witała każdą jego pieszczotę.

Wreszcie opadła na podłogę i pociągnęła go na siebie. Nim sobie to w pełni uświadomił, wchłonął go aksamitny żar.

Nie miał zamiaru się spieszyć, ale Rockie go ponaglała, wijąc się pod nim i ciasno oplatając udami. Wnikał w nią coraz głębiej i głębiej, szepcząc jej imię, Rochelle, aż wreszcie poczuł, że jej ciało wygina się w łuk, a potem opada, wstrząsane falą spazmów. Wtedy zmiążdżył Rockie w uścisku i w sekundę później wzleciał do nieba.

Ocknął się z policzkiem wtulonym we włosy Rockie. To była najszczęśliwsza chwila w jego życiu. Zamknął oczy i chłonął ją całym sobą. Nagle uświadomił sobie, że jeszcze nie powiedział Rockie, że ją kocha. Ciekawe, co by mu na to odpowiedziała? Otworzył usta i wtedy przypomniał sobie, co ich czeka po zachodzie księżyca. Przybliżył wargi do ucha Rockie i szepnął:

- Cudownie znasz francuski.

Rockie roześmiała się. Sheridan pocałował ją w czoło i, uniósł się na łokciach, żeby na nią spojrzeć. Uśmiechnęła się do niego i koniuszkami palców musnęła jego podbródek.

- Już mi nie jest zimno.

- Ale zmarzniesz, jeżeli się nie ubierzesz. - Podniósł się i sięgnął po plecak. - Mam tu dla ciebie ciepłe ubranie. A poza tym, przykryj się.

- Po co? - roześmiała się. - Nie mam się czego wstydzić.

- Wiem. - Sheridan pocałował Rockie, a potem starannie otulił ją kocem. - Musisz zmagazynować w sobie trochę ciepła.

- Chętnie się nim z tobą podzielę - mruknęła.

- Och, Rockie - westchnął, sięgając po ubranie, które nosił, nim się zmienił w Leslie'ego z Egiptu.

- Dobrze już, dobrze.

Usłyszał szelest otwieranego plecaka i uśmiechnął się. Nałożył żółty podkoszulek, flanelową koszulę w kratkę, dzinsy, skarpetki i buty.

- Dokąd jedziemy - odezwała się Rockie - że mam się ubrać w tyle warstw?

- Po Addisona i TAQ. Conan już chyba wrócił z nimi z Kairu.

I pewnie się teraz wścieka mi. widok płonącego zbiornika z paliwem, bo to znaczy, że na dobre utknęli. w oazie. To był plan jego i Alego, żeby zatrzymać wszystkich, dopóki Maxwell nie sprowadzi posiłków. Ale na razie nie chciał o tym mówić Rockie.

Rockie wyjrzała spod koca. Była ubrana w szary podkoszulek i szarą flanelową koszulę.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że wracamy do oazy?

- Nie. Myślę, że Kimball zamierza wysadzić wszystkie złoża. Ale w tym celu musi się wkopać bardzo głęboko w ziemię. - W jaki sposób dostaną się do tych złóż, żeby. podłożyć ładunki?

- . Za ruinami na wzgórzu kilometrami ciągną się podziemne korytarze.

Nie tylko korytarze, ale i katakumby, ale Sheridan też tego Rockie nie powiedział. Po co ma o tym. wiedzieć, skoro i tak ich nie zobaczy? Trzej kuzyni Alego mieli dopilnować, żeby została w chacie.

- Jak dotrzemy do ruin? Przecież nas zobaczą - spytała Rockie.

- Okrezną drogą, od tyłu. A tak w ogóle, to mam coś dla ciebie. - Sheridan z uśmiechem sięgnął do plecaka i podał Rockie paczkę papierosów. Takich, jakie paliła.

- Och, Sherry! - poderwała się i uściskała go, a potem przysiadła na piętach i spojrzała na niego z niepokojem. - Chyba nie każesz mi teraz wyjść na dwór?

- Nie. Pozwalam ci palić w domu.

Rockie sięgnęła po zapalki. I wtedy zobaczyła, że Sheridan pochyla się nad kuchenką i odpala papierosa od płomienia. Ze zdumienia otworzyła usta. Odwrócił się, dmuchnął jej w twarz dymem i śmiejąc się, cmoknął ją w policzek.

- Rzuciłem palenie trzy miesiące temu - wyjaśnił. - A potem spotkałem ciebie.

Rockie roześmiała się i jeszcze raz go uściskała.

- Palenie to ohydny, niezdrowy nałóg - powiedziała, z lubością zaciągając się dymem.

- O, tak - zgodził się Sheridan, wydmuchując dym nosem.

- Ale ja to tak lubię - mruknęła Rockie.

- Ja też. - Sheridan przyciągnął ją do siebie i pocałował, a potem oznajmił:

- Czas siodłać konie. Ali powinien zaraz tu być. Pomógł Rockie wstać i podał jej długą sztruksową kamizelkę, a sam nałożył dżinsową bluzę i swoją czapkę. Zrzucił plecak na ramiona, otworzył drzwi i wyszedł na dwór.

Przed chatą, w poświacie księżyca, zamajaczyła jakąś barczysta postać z uzi na ramieniu. Sheridan zdążył tylko dostrzec błysk uśmiechu na dobrze znanej twarzy, a potem ktoś wymierzył mu potężny cios w potylicę. Powoli osunął się na kolana, mając jeszcze w uszach rozdzierający krzyk Rockie. I wtedy Gino uderzył go jeszcze raz.

ROZDZIAŁ 21

Ocknął się z głową na zimnym, wilgotnym kamieniu. Zamrugał i zobaczył ściany, pokryte kolorowymi, malowidłami i hieroglifami. Ostrożnie odwrócił głowę. Rockie leżała obok niego, śmiertelnie blada w blasku zatkniętych w ściany pochodni. Miała zamknięte oczy i lekko rozchylone usta.

Podarwał się i jęknął z bólu, który rozsadzał mu czaszkę. Nachylił się nad Rockie i przycisnął drżące palce do jej szyi. Puls był powolny, ale równomierny. Odetchnął z ulgą i pocałował ją w czoło.

- Dali jej jakiś narkotyk - odezwał się z tyłu Addison Wexler. - Tobie też, kiedy cię tu wieźli.

Sheridan odwrócił się. Świat zawirował mu w oczach. Pod ścianą, na kamieniu, siedział Wexler. W pomiętym ubraniu, brudny, zarośnięty i z olbrzymim sińcem pod okiem.

- A tobie? - spytał Sheridan. Wexler palcem wskazał podbite oko.

- Jak myślisz, skąd to mam?

- To znaczy, że nie wiemy, jak się stąd wydostać?

- Absolutnie nie.

- Kiedy to przestałeś być im potrzebny?

- Kiedy mój asystent Rodney Webster powiedział Kimballowi, że skonstruował wyznaczniki kierunków.

Zainstalowałem nowy program. Rodneya przed próbą na Morzu Północnym. Niech to wszyscy diabli - Wexler przesunął dłonią po zakurzonych włosach - on namieszał jeszcze gorzej niż ja.

- Oczywiście powiedziałaś o tym Kimballowi, a on ci nie uwierzył.

- Pewno, że nie. On wierzy tylko w to, co chce słyszeć.

- No tak. - Sheridan wyjął z kieszeni zgniecionego papierosa i ostrożnie wstał, żeby go odpalić od najbliższej pochodni. Ból znów zaczął rozsadzać mu skronie, ale nie zważał nań. - Przynajmniej teraz wiesz, jak to jest pracować dla ciebie.

- N o cóż, jak to mówią, co ma być, to będzie - westchnął Wexler jakimś starczym, zmęczonym głosem.. Nagle Sheridan zobaczył, że stoi twarzą w twarz z figurą w stylu egipskim, obdarzoną ludzkim ciałem, z nagą, czaszką zamiast głowy. Przeszedł go dreszcz. Odwrócił się do Wexlera, który patrzył na Rockie. Broda mu drżała.

Gniew, który od tak dawna przepelniał duszę Sheridana, ustąpił głębokiej litości.

- Czy te korytarze są bardzo niebezpieczne?

- Ten labirynt zadziwiłby nawet budowniczych Gazy. Znałem czterech archeologów,

którzy przepadli w nim na zawsze. Nie wiadomo, jak Kimball znalazł przejście, ale mu się to udało.

Wexler wstał i rozpostarł ręce. Jego migoczący cień na ścianie wyglądał jak upiorna zjawa jakiegoś faraona.

- To dlatego Kimball chce TAQ. Odkąd odkryto te katakumby, Ministerstwo Kultury Egiptu starało się o cofnięcie Kimballowi licencji. Jak dotąd udawało mu się blokować ich w sądzie, ale trzy tygodnie temu przegrał kolejne odwołanie. Tym razem definitywnie. Wobec tego wykombinował sobie, że jeśli te katakumby zostaną zniszczone przez trzęsienie ziemi, rząd Egiptu odnowi mu dzierżawę.

- Co za typ! - Sheridan potrząsnął głową, zgasił papierosa i popatrzył na kamienne sklepienie. - Szkoda, że po drodze nie rzucałem okruchów chleba. Masz jakiś pomysł, jak się stąd wydostać?

- Przychodzi mi na myśl jedynie teleportacja - uśmiechnął się smętnie Wexler. - Albo deus ex machina.

Nagle Rockie cicho jęknęła i poruszyła głową.

- Przychodzi do siebie. Całe szczęście - powiedział Sheridan. - Nie trzeba jej będzie nieść.

- Słuchałeś mnie, Sherry? - spytał Wexler z niedowierzaniem.

- Tak, słuchałem. - Sheridan ukląkł obok Rockie i ujął ją za rękę.

- Nie zostawili z nami strażnika, bo nie trzeba nas pilnować. I tak się stąd nie wydostaniemy.

Rockie głęboko odetchnęła i zatrzepotała rzęsami. Sheridan pocałował ją, wstał i spojrzał na jej ojca.

- Podobno Wexlerowie nigdy się nie poddają, Addison?

- Jakim prawem całujesz moją córkę? - Wexler nagle poczerwieniał z gniewu.

- Bo ją kocham i chcę z nią spędzić resztę życia. Dlatego będę szukać wyjścia, a kiedy je znajdę, zabiorę stąd i Rockie, i ciebie. Co prawda ciebie chętnie bym zostawił, ale Rockie by mnie za to zabiła, a ja nie chcę umierać. Chcę się z nią ożenić i zabrać ją do Missouri...

- Akurat! - wtrąciła Rockie. - Wolałabym umrzeć, niż mieszkać w Missouri.

- No to się świetnie składa, Rockie - odezwał się Greer Hanlon. - Będzie tak, jak sobie życzysz.

Jego głos i kroki, odbijające się echem od ścian, do reszty otrzeźwiły Rockie. Powoli wstała, chwiejąc się i zataczając. Gdyby ojciec jej nie podtrzymał, upadłaby na twarz.

:... - Tatusiu! - szepnęła, chwytając go za rękę. Łzy dusiły ją w gardle. Zarzuciła ojcu rękę na szyję i zacisnęła zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Co za wzruszająca scena - powiedział Hanlon.

- Odsuń się na bok, Rockie.

Była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, ale odsunęła się od ojca i złapała Sheridana za rękę. Całe szczęście, bo zaraz potem zobaczyła Gina z uzi i Hanlona, z twarzą pozbawioną brwi i rzęs. Różowa blizna szpeciła mu czoło, zachodząc wysoko na czaszkę.

- Tak mi przykro - odezwała się Rockie..

- Przykro to ci będzie dopiero potem - powiedział Hanlon. - Teraz pójdiesz ze mną.

- Jakbyśmy mieli jakiś wybór - mruknął Sheridan, ściskając jej rękę.

Hanlon zaśwyczał latarkę i poprowadził ich gęsiego przez szereg wąskich, ciemnych korytarzy. Wreszcie znaleźli się w sali tak ogromnej, że nie mogli dostrzec jej przeciwległego końca. Rzędy kolumn pokrytych hieroglifami podpierały niskie, kamienne sklepienie. Gdzieniedzie w żelazne kinkiety zatknięto pochodnie.

N a środku sali, w skale, wykuto krąg. Osiem stopni prowadziło w dół do masywnego filaru, z wyrzeźbionymi hieroglifami. Przy filarze stał Conan, w czerwonym kombinezonie Kimball Oil. W rękę trzymał dwie pary kajdanków. Na jednym ze stopni siedział Rodney. Obok stało czarne, trumienne pudło z TAQ. Było podłączone do laptopa na kolanach Rodneya i do bomby trzy razy większej niż ta, którą Rockie i Sheridan znaleźli w laboratorium.

Rodney jak oszalały dwoma palcami stukał w klawiaturę. Czoło miał zmarszczone z wysiłku i podniósł wzrok dopiero, gdy usłyszał kroki nadchodzących.

Proszę tędy, doktorze Sheridan, doktorze Wexler - odezwał się Conan.

Z uczuciem kompletnej bezradności Rockie patrzyła, jak Gino wypchnął do przodu ojca i Sheridana, a Conan spiął ich ręce kajdankami wokół filaru. Błagalnie spojrzała na Rodneya. Rodney zaczerwienił się i spuścił wzrok.

Wsunęła ręce do kieszeni, żeby ukryć ich drżenie.

I wtedy poczuła ukłucie w palec. Ze zdumieniem wyciągnęła ściereczkę do zmywania naczyń na metalowym haczyku i szybko ją schowała. Nie miała pojęcia, jak się otwiera zamki kajdanków, ale pewno będzie próbować. Gdyby tylko udało jej się w jakiś sposób zbliżyć do mam.

- A gdzie szef? - spytał Sheridan, sprawdzając kajdanki, które wpijały mu się w nadgarstki.

Hanlon odwrócił się do niego.

- W drodze do Kairu - powiedział.

- Lizbona byłaby lepsza - zaczął się głośno zastanawiać Sheridan. - Albo nie. Madryt. Tak. Zdecydowanie Madryt. Tam najlepiej się znaleźć, kiedy to wszystko wyleci w powietrze.

- Proszę cię, Sheridan - przerwał mu Hanlon znużonym głosem - Wexler wciska nam ten kit od tygodnia. T o bzdura.

- Zobaczymy.

- Ty nic nie zobaczysz. Ani Wexler. - Może ona. Hanlon z uśmiechem odwrócił się do Rockie. - Jeżeli będzie dla mnie miła. - Podskoczyła z przerażenia i znowu ukłuła się w palec. Rodney podniósł wzrok znad klawiatury.

- Powiem ci śmieszną rzecz, Rockie - ciągnął dalej Hanlon - odkąd mi to zrobiłaś, moja żona nie chce nawet spojrzeć na mnie. Myślę, że coś mi się należy od ciebie. - O Boże. Więc o to mu chodzi. Rockie usłyszała głuchy jęk. To jej ojciec walił głową o kamienny filar.

Rodney przestał nagle pisać i zastygł, ze zmarszczonym czołem.

- Po moim trupie, Hanlon - ryknął Sheridan.

- Ależ proszę bardzo. Co ty na to, Rockie?

- Myślę, że twoja żona jest niegłupią kobietą - powiedziała, prostując w kieszeni haczyk od ściereczki.

- A ja myślę, że ty jesteś głupią dziwką. I zapłacisz mi tak, jak płacą dziwki, za to, co mi zrobiłaś. Zmuszę cię do tego.

- Nie zrobisz tego, Hanlon. - Conan wysunął się o krok do przodu. - Mamy umowę, która precyzyjnie określa...

- Masz umowę z Kimballem - uciął Hanlon.

- Obaj pracujemy dla niego i ta umowa obowiązuje nas obu. - W głosie Conana pojawił się ton, którego Rockie dotąd nie słyszała. - Trzeba ją sobie było dokładnie przeczytać. Jest tam powiedziane, że nie wyrażam zgody na gwałt.

- To mnie podaj do sądu - zarechotał Hanlon.

- Bierz ją, Gino.

Gino zdążył zrobić tylko dwa kroki, kiedy Rodney poderwał się i wyrznął go w głowę komputerem. Rockie nie czekała, aż Gino upadnie, tylko rzuciła się w stronę filaru. Hanlon skoczył, żeby ją złapać, ale Conan podciął mu nogi.

Kątem oka Rockie dostrzegła, że Conan jednym ramieniem ściska Hanlona za szyję, a drugą ręką chwyta go za podbródek. Więcej nic nie widziała, bo dopadła Sheridana, złapała go za nadgarstek i wyjęła z kieszeni haczyk. Już wsuwała go w zamek kajdanków, kiedy nagle ziemia zatrzęsa jej się pod stopami. Tak gwałtownie, że haczyk wypadł jej z rąk i musiała się mocno uchwycić Sheridana.

- Cholera! - powiedział, ściskając rękaw Rockie, kiedy mur zaczął się trząść.

- Idioci! - krzyknął Wexler. - Mówiłem, żeby tego nie robić! Tyle razy mówiłem.

- Kimball cofnął rozkaz. - Rodney starał się przekrzywić huk pękającej skały. - Właśnie go usłyszałem.

Ziemia przestała się trząść, ale ściany wciąż jęczały i ten upiorny dźwięk rozchodził się echem po przyległych komnatach. Krztusząc się od kurzu, Rockie przykucnęła i zaczęła po omacku szukać haczyka.

- Pozwoli pani, panno Wexler. - Ogromne łapsko wysunęło się zza jej pleców, podając jej srebrne kółko

z kluczykiem.

Wstała i rozejrzała się wokoło. Hanlon leżał na ziemi, z głową skreconą pod bardzo dziwnym kątem. Domyśliła się, że nie żyje i że ma złamany kark. Głośno przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. Conan podszedł do

filaru i otworzył kajdanki.

- Czy to prawdziwe trzęsienie ziemi, panowie?

- zapytał.

- Wyobraź sobie, że tak. - Sheridan zaczął rozcierać ścierpnięte nadgarstki. - Co za ironia, nie uważasz?

- Uważam, że powinienem rozbroić bombę - powiedział ze spokojem Conan - a pan, doktorze Sheridan unieszkodliwi w tym czasie TAQ. To na wypadek kolejnych wstrząsów.

- A twój kontrakt z Kimballem?

- Anulowany. - Conan wyjął z kieszeni kombinezonu dwa śrubokręty i wręczył jeden Sheridanowi.

- Rodney, ty wyprowadzisz stąd pannę Wexler i jej ojca. My dołączymy do was później.

- Nie! - krzyknęła Rockie, kurczowo obejmując Sheridana.

- Tak! - powiedział z naciskiem, rozplatając jej ręce. - Nie bądź głupia, Rockie. Zobaczymy się za chwilę.

- Pamiętasz, co się zdarzyło, kiedy powiedziałeś mi to ostatnim razem? - Rockie wspięła się na palce i pocałowała go w usta. - abyś się tym razem nie mylił.

- Boże, co za maruda. - Sheridan też ją pocałował, a potem klepnął w ramię. - A teraz zjeżdżaj stąd.

Posuwali się w kompletnych ciemnościach. Tylko latarka Rodneya rzucała smugę światła. Labirynt zdawał się nie mieć końca. Wreszcie korytarz zaczął wznosić się w górę. Z każdym krokiem droga robiła się coraz bardziej stroma. Rockie poczuła, że nogi zaczynają jej odmawiać posłuszeństwa. Za plecami słyszała spazmatyczny oddech ojca.

Wspinaczka zakończyła się tak raptownie, że Rockie omal nie upadła na twarz. Nagle

znaleźli się na płaskim podłożu. Dzielne światło wpadało z góry i oświetlało spękane schody. Przystanęli na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, a potem przebiegli ostatnie dwadzieścia metrów i po schodach weszli na górę, do zrujnowanej świątyni.

Panorama ze szczytu wzgórza zapierała dech w piersiach. Podobnie jak morderczy upał i widok pracowników Kimball Oil, wsiadających do ciężarówek pod czujnym okiem egipskich żołnierzy. Na skraju oazy stał dobrze znany Rockie helikopter.

- Ciekawe, kto ich tu przysłał? - zdenerwował się Rodney.

- Nevin Maxwell - odetchnęła z ulgą Rockie - z firmy „Maxwell i Spółka, Prywatni Konsultanci”.

- No, to już po mnie - odezwał się Wexler, a potem zwrócił się do Rodneya: - Będę milczał jeżeli ty nie puścisz pary z ust. Powiem im że byłeś moim asystentem i zostałeś porwany razem ze mną.

- Dziękuję panu, doktorze Wexler. - Rodney pokornie skłonił głowę. - Nie zasłużyłem sobie na to.

- Obaj na to nie zasługujecie - krzyknęła z furią Rockie. - Kłamaliście, oszukiwaliście i patrzyliście przez palce, jak...

Głos jej się załamał. Jakie to miało znaczenie? Czy wysłanie ich do więzienia cokolwiek zmieni? Co się stało, już się nie odstanie.

- W porządku. Nie puszcze pary z ust, ale tylko - ostrzegawczo uniosła palec - jeżeli Sherry i Maxwell też będą milczeć.

- Stawiasz sprawę uczciwie. - Wexler nieśmiało uśmiechnął się do córki. - Nie zasłużyłem sobie na to. Zwłaszcza po tym, co przeszłaś przeze mnie.

- Jestem na ciebie wściekła, tato. - Rockie pogroziła mu palcem. - Ale mogę z tym jeszcze poczekać.

Rzuciła się, żeby go uściskać. W tym momencie ziemia znów zadrżała im pod nogami. Tuman kurzu wznosił się do nieba. Jedna z kamiennych kolumn podtrzymujących ruiny świątyni runęła i potoczyła się w dół wzgórza.

- Sherry! - Rockie oderwała się od ojca i podbiegła do włazu schodów.

- Nie, Rockie! - Rodney złapał ją za rękę i odciągnął na bok. - Nie możesz tam wejść.

- Właśnie że mogę, puść mnie!

Nagle z czeluści dobiegł ich odgłos ciężkich kroków i przerażający kaszel. Rockie wyrwała się i uknęła przy włazie.

- Witam, panno Wexler. - Spod ziemi wyłonił się uśmiechnięty Conan. Był brudny, spocony i ciężko dyszał. Przez ramię miał przerzucone bezwładne ciało Sheridanana.

- O Boże! - jęknęła Rockie. - Och, nie...

- Nic mu nie będzie - uspokoił ją Conan. - Ale trzeba go zabrać do szpitala.

- Jak to się stało? - Rockie cofnęła się, żeby zrobić przejście.

- Dostał kamieniem w głowę. - Conan ostrożnie ułożył Sheridana na ziemi. - A przecież już przedtem, po ciosach Gina, doznał wstrząsu mózgu.

Sheridan był blady jak kreda. Włosy miał zlepione krwią. Rockie uklękła przy nim i pocałowała go.

- Idę po Maxwella - powiedział Wexler. - Chodź ze mną, Rodney.

Conan też przyklęknął przy Sheridanem i uniósł jego bezwładną rękę. Zmierzył puls, a potem zajrzał mu pod powieki.

- Tętno ma trochę wolne, ale mocne i regularne.

Jednak źrenice są rozszerzone. Weźcie go natychmiast do szpitala.

Uśmiechnął się do Rockie i wstał. Rockie też się podniosła.

- Dziękuję - powiedziała, wyciągając do niego rękę: - Dziękuję ci za to, że mi go zwróciłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Wexler. Aha, mam coś dla pani. - Sięgnął do kieszeni i podał Rockie złote kolczyki. - Chciałbym, żeby je pani nosiła.

- Ja... - Głos jej się załamał, w oczach stanęły łzy.

- Na pewno będę. Dzięki.

Conan skinął głową i ruszył przed siebie. Za ruinami, na szczycie umocnień, Rockie zobaczyła helikopter. Wokół kręciło się kilku umundurowanych mężczyzn. Przypomniała sobie, że są bardzo blisko granicy.

- Już wiem - zawołała za Conanem. - To o twoi kumple z Libii?

Conan odwrócił się i popatrzył na nią. - Nie należy odkrywać wszystkich kart.

- Zaczekaj - pobiegła za nim. - Jak to się stało, że przeżyłeś eksplozję w laboratorium ojca?

- Tajemnica służbowa. - Conan uśmiechnął się.

- Życzę pani dużo szczęścia w życiu.

Jeżeli wszystko dobrze się skończy, pomyślała, a słowa Sheridana nie okażą się wytworem jej wyobraźni...

- Ja tobie też - szczerze zapewniła Conana.

- Jest pani bardzo młoda. - Conan uśmiechnął się jakimś zupełnie innym, ciepłym uśmiechem. - I ciągle jeszcze bardzo naiwna.

ROZDZIAŁ 22

Rockie już kiedyś przeżyła coś podobnego. Tylko że tym razem nie znajdowali się w szpitalu w Barstow, lecz w Asuanie. Ostrożnie popchnęła drzwi. Sheridan otworzył oczy, popatrzył na nią i zaczął się uśmiechać. A potem przypomniał sobie, kim jest, i wyciągnął rękę.

Chciała do niego podbiec, ale tego nie zrobiła.

Sheridan miał wstrząs mózgu i szesnaście szwów pod gazowym bandażem na głowie. A ona miała kamień w żołądku. Albo tak jej się tylko wydawało.

Przez całą noc zastanawiała się, czy Sheridan rzeczywiście powiedział ojcu, że chce się z nią ożenić. A jeśli się tylko przesłyszała? Chyba go wtedy zabije. - Nic z tego - powiedziała surowym tonem, podchodząc do łóżka. - Nie ruszaj się. Masz wstrząs mózgu.

- Od ciosu w głowę się nie umiera. - Sheridan złapał ją za rękę i pociągnął na łóżko. - Od wielu lat jestem stuknięty i jakoś żyję. To publiczna tajemnica. - Podobnie jak to. - Rockie sięgnęła po pilota i włączyła telewizję.

Na ekranie ukazał się spiker, mówiący coś po arabsku;

- Wczoraj w Kairze został aresztowany Winston Kimball, amerykański przemysłowiec z branży naftowej. Zarzuca mu się próbę zniszczenia bezcennych zabytków starożytnego Egiptu - powiedziała Rockie.

- Nie wiedziałem, że znasz arabski.

- Nie znam. Max mi przetłumaczył. Oglądałam już to dziś ze trzydzieści razy i nauczyłam się na pamięć.

Sheridan zmarszczył brwi.

- Co z Addisonem? - zapytał.

- Max dał mu szansę. I Rodneyowi też. Mają być

koronnymi świadkami Ministerstwa Kultury Egiptu. Bardzo by chcieli wrócić do domu, ale muszą tu jeszcze jakiś czas zostać.

Sheridan jeszcze bardziej się zasepił. Ostre słońce wpadające przez uchylone zasłony zapaliło czerwone błyski w jego oczach. Zły znak, pomyślała Rockie. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- No a ty? - odezwał się po chwili Sheridan. - Zostajesz z ojcem?

- Chyba żartujesz. - Rockie aż się zachłysnęła.

- Tu jest gorąco i niebezpiecznie, i do tego nie mówię po arabsku. Egipt ma tylko jedną zaletę. - Mianowicie jaką?

- Jest bardzo daleko od Missouri.

Sheridan wyciągnął rękę, ale Rockie ze śmiechem poderwała się z łóżka. Włosy znów

miała skręcone w gęste loczki i była ubrana w swoją motocyklową kurtkę. Co powie wytworna Eleanor Sheridan, kiedy się dowie, że narzeczona jej syna ubiera się w sklepie dla motocyklistów i nosi wojskowe buty?

- Mam coś dla ciebie. - Rockie sięgnęła do patchworkowej torby i wyjęła zupełnie nową czapczkę Chicago Cubs.

Sheridan roześmiał się.

- Skąd, u diabła, wytrzasnęłaś taką czapczkę w Egipcie?

- Nie pytaj. - Rockie znów przysiadła na brzegu łóżka. Oderwała metkę z ceną i nałożyła mu czapczkę na obandażowaną głowę. - Istna mumia. Bardzo cię, ogolili?

- Trochę, ale to nie szkodzi. - Sheridan ujął dłoń Rockie. - Za to będzie z nas oryginalna para. Hare Kriszna z motocyklistką.

Oryginalna para, pomyślała Rockie i serce szybciej zabiło jej w piersi. Więc będziemy parą. Nagle zapragnęła znaleźć się w objęciach Sheridana. Jeżeli będzie zwlekał z oświadczeniami, chyba sama poprosi go o rękę. O ile przedtem go nie udusi.

- Ładne kolczyki. - Sheridan dotknął złotego kółka w uchu Rockie. - Mogę zapytać, skąd je masz?

- Raczej nie. - Nie teraz, pomyślała, powie mu później. - Jak mam do ciebie mówić, Leslie czy Sherry? - spytała.

Sheridan uśmiechnął się. Czekał na tę okazję. Od rana ćwiczył dowcipne oświadczyzny.

- Mów mi drogi mężu.

Nareszcie. W pierwszym odruchu chciała mu się rzucić na szyję. Potem uznała, że trzeba go chwilę potrzymać w niepewności.

- Czy po to, żeby cię tak nazywać, muszę się przeprowadzić do Missouri?

Sheridan też się nad tym zastanawiał. Miał już nawet gotową odpowiedź, ale czemu Rockie nie miałyby chwilę na nią zaczekać? Popatrzył na błękitną żyłkę pulsującą przy obojczyku Rockie i zapragnął ją pocałować.

- Niekoniecznie - powiedział wreszcie. - Jeżeli zechcesz mnie tak nazywać, możemy mieszkać byle gdzie. Pod warunkiem, że nie ma tam trzęsień ziemi.

Rockie roześmiała się. Jej oczy zajaśniały szczęściem. Sheridan widział już te szmaragdowe oczy lśniące ze strachu, zamglone z pożądania, ale teraz podobały mu się najbardziej.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał.

- Z ciebie, ty wielki geologu, co się boi trzęsienia ziemi.

- Pamiętaj, że jestem też nieznośnym szabrownikiem.

- Jak mogłabym zapomnieć? A tak przy okazji, pytałam ojca o tę wyspę, o której wspominał w liście, ale powiedział, że mam zapytać o to ciebie.

- Pocziwy stary Addison - mruknął Sheridan z kwaśną miną. - Czy będzie ci bardzo przykro, jeżeli nie zaprosimy go na ślub?

- Będzie mi okropnie przykro. - Rockie położyła mu głowę na piersi. - No, to jak było z tą wyspą? - Najpierw mi obiecaj, że za mnie wyjdiesz.

- Jeszcze mnie oficjalnie nie poprosiłeś o rękę.

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak. A teraz mów.

- Dobrze już, dobrze - westchnął Sheridan - No więc, krótko mówiąc, zatopiłem ją.

- Co zatopiłeś? - zdumiała się Rockie.

- Tę cholerną wyspę - odezwał się Max.

Rockie uniosła głowę. Max stał w drzwiach i uśmiechał się. W jego nieruchomych oczach na ułamek sekundy pojawił się jakiś” błysk. Sheridan głośno jęknął.

- Jaką wyspę? - nie ustępowała Rockie.

- Ona nawet nie miała nazwy. - Maxwell podszedł do łóżka z rękami w kieszeniach.

Rockie nigdy dotąd nie widziała go tak rozluźnionego. Był ubrany w elegancką jedwabną koszulę, rozpiętą na piersi. Na szyi miał złoty łańcuszek z jakimś wisiorkiem.

- Tak naprawdę, to był atol - ciągnął Max. - Kupka piachu na Pacyfiku. Marynarka USA wysłała tam twojego ojca i pana Wizarę. Mieli przez pół roku badać wstrząsy sejsmiczne. Ja byłem ich jednoosobową eskortą. Pewnej nocy miałem dziwny, na pół erotyczny sen. Kiedy się obudziłem, mój materac dryfował po morzu.

- Och, nie! - Rockie z trudem starała się zachować powagę. - Tylko mi nie mów, że to sprawka TAQ.

Maxwell skinął głową.

- To był prototyp - wyjaśnił.

Sheridan znów jęknął, zsunął się w dół łóżka i naciągnął sobie na twarz czapeczkę. Rockie spojrzała na Maxa. Tym razem była prawie pewna, że jego uśmiech dosięgnął oczu. Jej samej zresztą też chciało się śmiać, choć właściwie nie bardzo wypadało.

- W porządku, Rockie - powiedział Maxwell. - Wtedy to rzeczywiście było bardzo śmieszne.

- Tak, ale potem ojciec wziął TAQ w swoje ręce - odpowiedziała.

- Daj spokój, Rockie. - Sheridan usiadł i ujął ją za podbródek tak, by na niego spojrzała. - Myślę, że Addison, dostał już nauczkę. Bo ja na pewno. Nigdy więcej nie będę igrał z matką

naturą.

- Jutro będziesz musiał odpowiedzieć na dziesiątki pytań - zauważył Max. - Polecimy z tobą do Kairu. Addison i Rodney wyjeżdżają dzisiaj z urzędnikami Ministerstwa. Addison wie, że zostajesz z Sherrym – zwrócił się do Rockie - i chciałby się z tobą zobaczyć przed wyjazdem.

- On o tym wie? - Rockie zarumieniła się.

- Nawet ja o tym wiem. - Maxwell serdecznym gestem położył Rockie dłoń na ramieniu. -

- Wyślijcie mi zaproszenie na ślub.

- Na pewno wyślemy - obiecała Rockie. - Jak tylko znajdziemy jakieś miejsce bez trzęsień ziemi.

- Będzie mi potrzebny drużba - odezwał się Sheridan - A ty jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam.

- Nie, Sherry. Nie mogę. Nawet dla ciebie. - Maxwell uśmiechnął się do Sheridana. - Zaczekam na zewnątrz - zwrócił się do Rockie. - Nie musisz się spieszyć. Jak będziesz gotowa, zawiozę cię do hotelu.

- Żadnych pytań - oświadczył Sheridan, kiedy za Maxem zamknęły się drzwi.

- Nie miałam zamiaru o nic pytać - skłamała Rockie. - Chciałam cię tylko pocałować.

- Nareszcie! - Sheridan z westchnieniem otworzył ramiona. Rzuciła mu się na szyję i przycisnęła usta do jego ust. Całował ją tak długo, że zabrakło jej tchu. - Nigdy nie przypuszczałem, że papierosy mogą mieć taki podniecający smak - mruknął. - Nie masz dla mnie chociaż jednego?

Rockie roześmiała się. Sheridan ujął w dłonie jej twarz i spojrzał w oczy. Wreszcie znalazł osobę z rodziny Wexlerów, która umiała dawać, nie tylko brać. I dawała mu więcej, niż na to zasługiwał.

- Jak na tak nieznośnego faceta mam wyjątkowe szczęście - powiedział cicho.

- Mnie też się poszczęściło. - Rockie położyła głowę na piersi Sheridana i wsłuchiwała się w rytm jego serca. - A wracając do ojca i ślubu, żartowałeś, prawda?

- Jasne, że żartowałem - skłamał i pogłodził ją po policzku.

- Kocham cię, Sherry.

Sheridan pocałował ją w czubek głowy. - Kocham cię, Rockie.

- Kocham cię, Leslie.

- Powiedziałem ci już, że cię kocham, Rockie.

- Nie złość się. Muszę wypróbować, co brzmi lepiej.

Uniosła głowę i przez chwilę po cichu poruszała wargami, a potem spojrzała na niego z uśmiechem. Jej zielone oczy lśniły jak szmaragdy.

- Kocham cię, mężu.